

# IWONA BANACH

Duchy bywają pomocne,  
można je nieźle wykorzystać.  
No chyba że istnieją naprawdę...

**KOMEDIA  
KRYMINALNA**



# ŚWIĄTECZNE DUCHOBRAKIE

**IWONA  
BANACH**

**ŚWIĄTECZNE  
DUCHOBRAŃIE**



SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Świąteczne duchobranie

Redakcja  
*Monika Orłowska*

Korekta  
*Bożena Sigismund*

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

Zdjęcie wykorzystane na okładce  
©AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023  
© Copyright by Iwona Banach, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83293-04-2



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera.s.c.](http://eLitera.s.c)

Słuchajcie, mamy superzlecenie! – zawołał Robert, wpadając do Justyny, gdzie wcale nie przypadkiem siedział też Łukasz.

Oboje popatrzyli na niego ze skrzywionym zaskoczeniem, bo po pierwsze Robert zawsze miał głupie pomysły, po drugie oni nigdy żadnych zleceń nie brali.

Nadchodziły święta. Ruch w interesie zamarł, bo jednak w święta hulają tylko duchy Bożego Narodzenia, czyli te od Ebenezera Scrooge’a, a te się nie liczyły, bo nikt jakoś nie próbował ich ani rejestrować, ani nagrywać.

– He? Że co powiesz? Zlecenie? Dla nas? Na co? – zapytała Justyna zgryźliwie, bo Robertowi zdarzały się pomysły, których nikt nie akceptował.

– Hotel Astoria, coś wam to mówi? – Zastygł w oczekiwaniu, ale nie doczekał się spodziewanej reakcji.

– Hoteli Astoria są w Polsce setki, więc co ma nam to mówić? Nie jesteśmy firmą sprzątającą, żeby nam hotele dawały zlecenia, choć gdybyśmy byli... Też bym nie chciała, bo jak czegoś nie ogarniają we własnym zakresie, to musi być syf, że szkoda gadać!

– Nie, żadne sprzątanie, coś ty! Co do nazwy to macie rację, chodzi o Borkowo Pokutne. Spory hotel.

Nadal niewiele im to mówiło, tym bardziej że nazwy miejscowości też nie znali, ba, nawet im się chyba nigdy nie obija o uszy.

– I? – zapytała Justyna, wzdychając.

– I nawiedzony! – zawołał z entuzjazmem.

– Ale zlecenie? O co chodzi z tym zleceniem?

Sprawa była o tyle ciekawa, że rzeczywiście żadnych zleceń nigdy nie brali ani też nie dostawali, w ogóle zlecenia jako takie nie istniały w ich słowniku, choć inni, owszem, brali. Hieny brały wszystko, nawet egzorcyzmy, a ci z parciem na szkło tylko to, co na pokaz. W ich dziedzinie, czyli działalności skierowanej na duchowe objawy życia po śmierci, było wiele grup i te grupy nie były jednorodne. Jedne podchodziły do sprawy komercyjnie i usiłowały się za pomocą duchów sprzedać czy wypromować się, inne usiłowały sprzedawać duchy, twierdząc, że są w stanie zapewnić ich przychylność, oczywiście za pieniądze, a jeszcze inne stawiały na seksezoterykę. Duchowe orgazmy bywały w cenie.

Justyna i jej dwaj koledzy stanowili odgałęzienie paranaukowe i bardzo byli z tego dumni, oni chcieli tylko udowodnić, że duchy istnieją, co też z pewnością by się im opłaciło, choć może mniej bezpośrednio.

Zlecenie było o tyle dziwne, że oni duchów nie pacyfikowali, nie przeprowadzali, nic z nimi nie robili, sprawdzali tylko, czy są, to tak jakby wezwać specjalistę od szczurów, który miałby jedynie stwierdzić, że one istnieją, a potem nie próbował ich nawet wytępić.

– No tak się jakoś złożyło, że akurat my dostaliśmy zlecenie, ale przecież to żaden problem. Nie będziemy płacić za noclegi i wyżywienie i jeszcze zarobimy, i nie ma żadnych kruczków typu, że jeżeli znajdziemy, to to, a jeżeli nie znajdziemy, to nie, całkowita swoboda działania, jest tylko jeden kłopot.

Od razu miny im zrzedły, bo jeżeli Robert oświadczał, że jest kłopot, i oświadczał to na samym końcu, to na ogół ten kłopot był poważny, a często nie do przeskoczenia.

– No, dawaj – zachęciła go Justyna. – Jeżeli to zlecenie jest aż takie super jak opowiadasz, to ten kłopot musi być naprawdę spory.

– No więc... tak jakby... No, to duży hotel. – Robert zaczął dukać, jakby bał się powiedzieć, o co chodzi.

– Już mówiłeś. Dawaj dalej! Weź tego byka za rogi... Mów!

– Bo ja już podpisałem umowę.

Justyna i Łukasz aż prychnęli ze złości. Niby byli przyjaciółmi i ufali sobie nawzajem, więc to, co Robertowi odpowiadało, powinno odpowiadać także im, ale... Istniało jedno ale. Tak się po prostu nie robi.

– Weź nie świruj! Za nas? Ociptałeś?! Mów, o co chodzi. – Dotychczas nic takiego nie miało miejsca, jako że nigdy nie działali na żadne zlecenia, więc jakoś nie przyszło im do głowy, że Robert może odstawić taką samowolkę, ale najpierw chcieli się dowiedzieć, w czym rzecz. Zamordowanie go lub ewentualnie skopanie mu tyłka zostawiali sobie na potem.

– Bo oni brali też pod uwagę Duchaczy! Musiałem! Zrozumcie, mam cholerny kredyt, muszę zacząć zarabiać, a i wam się nie przelewa – Robert zaczął się bronić. Że miał kredyt, wiedzieli wszyscy, choć uczciwie rzecz biorąc, zaciąganie kredytu na harleya davidsona, kiedy nie ma się nawet mieszkania, jest durne, ale Robert taki był, lubił luksus. Oni sami też nie narzekali na nadmiar gotówki. Może Robert trochę za bardzo kochał pieniądze, ale kto ich nie kocha?

– Czy mógłbyś wreszcie powiedzieć, co to za problem? – Łukasz zdenerwował się tym przydługim wstępem.

– Chodzi o to, że mamy tam przebywać przez tydzień.

To nie mógł być ten problem, bo tydzień to nawet w lesie by wytrzymali, a co dopiero w hotelu. Oczywiście mogli sobie to i owo odmrozić, ale czuli, że nadal są jakieś niedopowiedzenia.

– No i?

– Od dwudziestego piątego grudnia – wypalił Robert i aż się skulił. Teraz już było wiadomo, o co chodzi, ale zdecydowanie przeceniał ich uwielbienie do domowych świątecznych klimatów.

– Oszalałeś? – zapytała Justyna dla przyzwoitości, bo tak wypadło, ale odetchnęła z ulgą.

– Nie ja, nie ja, te ich pieprzone duchy! – zawołał Robert z radością w głosie, bo duchy bardzo ich cieszyły. Należeli do grupy DrDuch, to znaczy nie tak, nie należeli – tworzyli ją.

Byli nią wszyscy troje.

W takich grupach utarło się, że jest dwóch facetów i dziewczyna. Oni są od „poważnej” roboty, dziewczyna od stacjonowania, wyglądzania i pisków, bo przecież duchy są straszne, a facetom piszczeć nie wypada, a jeżeli nikt nie piszczy, to efekt wizualny jest bardzo marny i niewiarygodny.

I wcale nie byli, jak to się często uważa, „pogromcami duchów” tak jak z filmu, wcale nie. Żadnej agresji, żadnego łapania, przetrzymywania, nic z tych rzeczy, nie należeli też do grup mistycyzujących, nie chcieli nikogo przeprowadzać na drugą stronę (drugą, piątą czy jakkolwiek inną), nawracać czy pomagać w spełnianiu duchowych misji, też nie. To nie były ich priorytety, ba, w ogóle tego nie brali pod uwagę.

Oni pożąдали wiedzy.

Uważali, że jak każdy byt trwały, a duchy są trwalsze nawet niż budynki czy ludzka pamięć, duchy mają prawo do samostanowienia. Nie tylko prawo do samostanowienia, ale też wolną wolę. Wolność w każdym, nie tylko duchowym, pojęciu. Skoro chcą coś nawiedzać, to mogą. Wolno im, to znaczy nie każdemu to się musi podobać, ale mają do tego prawo.

Żywi tego nie lubią, ale to też nie do końca prawda, żywi to lubią, tylko nie ci, co trzeba. Właściciele często nie chcą w domu obecności takich istot, ale że inni chętnie płacą za dreszczyk emocji, to ci właściciele z tego korzystają. To swoiste rozdwojenie jaźni.

Jeżeli chodzi o grupę DrDuch, to oni nie chcieli na te duchy w żaden sposób wpływać.

Czyli niech sobie te duchy nawiedzają, ale też niech się dadzą zarejestrować, żeby oni mogli się pochwalić, że tak, owszem, duchy istnieją. Chcieli wiedzieć, że są, a nie wierzyć, że istnieją.

Oni chcieli tylko udowodnić. Coś udowodnić, bo to trochę było jakoś tak, że udowadniając istnienie duchów, mogliby udowodnić też, że są najlepsi w swojej branży, a to się liczy.

Ludzie niezwiązani z branżą myślą sobie, że to zbieranina pokręconych amatorów, wśród których prym wiodą osoby z chorobami psychicznymi, lękami, albo choć zwidami, ale to nieprawda. W tej niszowej dziedzinie można zarobić spore pieniądze, owszem, najczęściej na oszustwie, ale kto by się tym przejmował, skoro to nie jest nawet kradzież?

Wmawianie komuś, że duchy są mu przyjazne albo będą za niewielką opłatą, też nie jest karalne.

Dopiero groźby w stylu: „jeżeli nie zapłacisz, to duchy zaczną cię nawiedzać albo sprowadzą na ciebie nieszczęście” mogą być karalne, o ile ktoś udowodni, że coś takiego podlega pod... No bo czy duch jest niebezpiecznym narzędziem albo przedłużeniem ręki?

Szybka i pozbawiona żalu eliminacja rodzinnych świąt przy zdechłej nieco choince i trzech naprutyh wujkach oraz ciotce wciąż pytającej o ciążę albo choć o ślub sprawiła, że Justyna poszła nieco dalej.

– Ale... Jak ty sobie to wyobrazasz? – zapytała. – Coś mi tu nie gra. Jeżeli jest zlecenie, to co? Będziemy je eliminować? Nie tak się umawialiśmy!

– Nie będziemy! – zapewnił pośpiesznie Robert.

– To po jaką cholerę ktoś nas wynajął? – Łukasz też nie za bardzo wiedział, o co chodzi. Zlecenia obejmują nie tylko zapłatę, ale i jakąś pracę, która trzeba wykonać. – Co w takim razie będzie naszym zadaniem?

– Mamy udowodnić, że są. Że istnieją. To proste. Nie rozumiesz? Czysty, żywy marketing!

Pokręcili głowami, ale słuchali dalej.

– Hotel finansowo – Robert miał im dużo do powiedzenia – trochę pada. Pandemia, ceny energii... Wszystko to sprawiło, że nie wiążą końca z końcem, ale gdyby mieli duchy, toby zaczęli wychodzić na swoje. Proste? Proste. Turysty chcą mieć atrakcje, ale mają już po dziurki w nosie nawiedzonych miejsc, które wcale nie są nawiedzone. Oni chcą mieć prawdziwe duchy.

Wszelkie Białe Damy i Czarni Rycerze, o których opowiada się to tu, to tam, mają jedną wadę. Nie pojawiają się. Niby ktoś gdzieś coś widział, ale tylko podobno, dlatego miejsca, gdzie można zobaczyć prawdziwe duchy, są bardzo pożądane.

W tej branży nawet syn konkubenta sąsiadki szefa ochrony jest lepszy niż „dawno, dawno temu”.

– Oni? Właściciele?

– No i jedni, i drudzy, turyści i właściciele! – Robert czuł, że idą w dobrym kierunku.

– Przecież ci właściciele podobno te duchy mają?

– No przecież mówię. Hotel jest jak najbardziej nawiedzony, więc mają.

– Czyli? – Tego już nie pojowali, jeżeli ktoś ducha widział, to oni nie byli już konieczni.

– Oni chcą mieć duchy certyfikowane! – zawołał rozeźlony ich nieogarnięciem Robert. – Mamy je znaleźć i zostać w spokoju, ewentualnie dać im do zrozumienia, że są w dobrym miejscu i mogą hasać, a ludziom mamy powiedzieć: „hej, patrzcie, one istnieją naprawdę”. Certyfikowane duchy, czyli poświadczenie autentyczności nawiedzenia, czy jakoś tak.

– Ale...

Autentyczność nawiedzenia to była sprawa wagi ciężkiej, idealne zlecenie, idealny pomysł, na dodatek jeszcze płatne (do tego noclegi i wyżywienie), no cud-miód i trochę jakby smród... Bo co, jeżeli się nie uda? Dodatkowym problemem były święta, ale one akurat problemem nie były.

Święta każdemu coraz mniej kojarzą się ze świętami, a coraz bardziej z nachalną reklamą w telewizji, sprzedają śmieciowych gadżetów w śmieciowych sklepach i ryczącymi kolędami w supermarketach. Często, kiedy już po koszmarnym listopadzie i wyniszczającym grudniu w końcu święta nadchodzą, ludzie po prostu oddychają z ulgą, że wreszcie się to skończyło, choć mają jeszcze dogrywkę z sylwestrem. Awanturę o karpie zamienia się na awanturę o fajerwerki, biedne maltretowane ryby znikają z programów informacyjnych i talerzy, za to pojawiają się zestresowane kotki i pieski, na szczęście nie na talerzach, ale pod łózkami. Sąsiedzi z parteru grożą śmiercią sąsiadom z drugiego z powodu Zenka, a tamci latają z siekierą po piętrach z powodu umc, umc, umc techno.

Potem i tak wszystko skupia się na tych z pierwszego, bo kto przy zdrowych zmysłach słucha Chopina?

No ale to dopiero w sylwestra. Święta i tak są straszniejsze.

Zresztą nikt przy zdrowych zmysłach nie marnuje czasu na rodzinne święta, jeżeli może tego nie robić, ale czas się trochę marnuje sam. Nie ma żadnej alternatywy. Znajomi się rozjeżdżają po rodzinach, wszystko zamiera, więc nawet gdyby człowiek chciał w tym czasie robić cokolwiek innego, to po prostu nie ma jak.

I jak już się zostaje w domu, to trudno – barszcz, uszka, karp, pasterka i pochłaj są jedyną możliwością.

Ciotki i wujkowie się mnożą, dzielą, pączkują, gadają głupoty, pytają o rzeczy, które nikogo nie powinny interesować, i wkurzają wszystkich.

– Czy ty, moja kochana, nie jesteś przypadkiem tą, no... – zaczyna ciotka.

– Feministką? – dopowiada z chichotem wujek, choć ciotka miała zapytać o weganizm, ale się zacięła, a wujek wykorzystał i co robić? Powiedzieć, że nie, nie wierzą, powiedzieć, że tak, nie wierzą...

– Ale dlaczego?

– Bo te fioletowe włosy, buty wojskowe i taka mało kobieca jesteś...

– A, to nie, lesbijką jestem – odpowiedziała złośliwie, żeby ich wkurzyć, i zrobiła się awantura na pół rodziny.

Dlatego taki świąteczny wyjazd do pracy był nawet pożądany.

– Duchacze też się załapali – powiedział Robert po dłuższej chwili. Wiedział, że nie spotka się to z zachwytem przyjaciół.

– No, ale mówiłeś...

– To ma być taka certyfikacja krzyżowa. Tak to facet nazwał. Że jak nie my, to oni, ale płatne z góry, więc problemu nie ma – uspokoił przyjaciół, tyle że oni wcale nie poczuli się spokojni.

Duchacze byli konkurencyjną grupą łowców duchów, jednak nie o samą konkurencję tu chodziło. Duchacze to była żenada w czystej formie. Wstyd dla poważnych ludzi nauki. Masakra intelektu.

Latali gdzie się da w koszulach ze swoim logo i robili mnóstwo hałasu, żeby tylko ktoś ich zauważył.

W branży przebąkiwano, że wkrótce powstanie kilka nowych programów telewizyjnych w stylu reality show, takich jak *Duch szuka żony* albo *Duch od pierwszego wejrzenia*, nie mówiąc już o *Duchowych rewolucjach*.

Gdyby powstały, z pewnością ktoś by się załapał. Ktoś medialny, niekoniecznie kompetentny, dlatego niektóre grupy podkreślały swoje walory aż nadto.

Koszulki z logo to był pryszcz, chwalili się najdroższym i największym sprzętem, latali jak porąbani, a ich dziewczyny dosłownie świeciły cyckami.

Robert, Łukasz i Justyna, czyli DrDuch, nie zniżali się do tego poziomu. Justyna nigdy nie lowiła duchów w bikini, jak to nagminnie, nawet zimą, robiła Kaśka z Duchaczy.

\*\*\*

– Załapaliśmy się! – wykrzyknął znad laptopa Maks zaraz po tym, jak odczytał maila od właściciela hotelu Astoria w Borkowie Pokutnym. – Mendy z DrDucha też, ale damy sobie radę. Już dzwoniłem do lokalnych stacji, żeby nas pofilmowali w akcji. Będziemy mieli wsparcie antenowe!

– A jeżeli ich też pofilmują? – zapytała Kaśka z niepokojem.

– No co ty? Nawet jeżeli, to nie problem. Jak oni wyglądają?! Ta ich cizia nawet kawałka ciała nie chce pokazać, takich do telewizji nie biorą! I ona nie piszczy, a o łzach mowy nie ma. Coś takiego się nie spodoba!

Łzy w stylu amerykańskim były ostatnio bardzo pożądane w telewizji. Nieważne, czy to były łzy strachu, wzruszenia czy zachwytu, łzy były konieczne!

Zwiększały oglądalność.

Same duchy Duchacze mieli w głębokim poważaniu, choć na ich plecach mieli zamiar wybić się na celebryckie ścianki. Ćwiczyli nawet niektóre sceny nagrywane za pomocą kamer termowizyjnych, żeby wyglądać w nich jak najładniej.

\*\*\*

No i sprawa załatwiona – pomyślał Winicjusz Warkot, właściciel hotelu Astoria, dość wysoki i zdecydowanie postawny mężczyzna w kwiecie wieku, co zawsze podkreślał. Dla postronnego obserwatora miał około metra siedemdziesięciu, sporą nadwagę i sześćdziesiąt lat, co czyniło ten kwiat wieku nieco przywiedłym.

– I jak myślisz, oni to potwierdzą? – zapytała jego żona, kobieta o dwadzieścia lat młodsza, w nieco podobnym stanie, tylko odrobinę niższa i bardzo biuściasta.

Kiedy dziesięć lat wcześniej wychodziła za hotelarza, myślała, że jej przyszły mąż jest, no właśnie, hotelarzem, ale okazało się w praniu, że jest chałturnikiem, od dziesięciu więc lat była żoną zwykłego chałturnika. Owszem, mogła się rozwieść, ale nawet chałtura jest lepsza od zera na koncie i męczącej pracy przy kasie w Biedronce. Poza tym nawet w czarnej dupie można się jakoś urządzić. Tak też uczyniła. Sprowadziła więc matkę i babkę. W ten sposób czuła się mniej samotna.

Jej babka w wieku szesnastu lat urodziła matkę Mariannę i chciała dla niej jak najlepiej, ale córka zrobiła to samo, tworząc pewnego rodzaju tradycję rodzinną, gdyż w wieku szesnastu lat urodziła córkę Ritę. W ten sposób Marianna uczyniła swoją matkę babcią w wieku lat niespełna trzydziestu dwóch.

Rita z tradycją zerwała, nawet teraz, jako czterdziestolatka, dzieci nie miała i nie zamierzała ich mieć.

W każdym razie nie z Winicjuszem.

Pojawienie się duchów wydawało jej się czymś zdecydowanie nierozsądnym, a posunięcie męża, czyli wezwanie tych grup ducholapów, bo przecież nie łapiduchów, uważała za głupotę.

– A co ty? Zwariowałaś? Przecież duchów nie ma! – Winicjusz należał do ludzi umiarkowanie sceptycznych.

– Nie, no ja wiem, że nie ma, ale wiem też, że są. Te napisy same się pojawiają! I co z tym zrobisz?

Winicjusz skrzywił się odrobinę i sapnął, co zazwyczaj u niego oznaczało zniechęcenie. W tym momencie jednak miał plan.

– Patrz: jeżeli potwierdzą, to na tym zarobimy, jeżeli zaprzeczą, dopadniemy dowcipnisią. I tak dobrze, i tak dobrze. Duchy nie są mi do niczego potrzebne, ale jak to mówi stare chińskie przysłowie, nawet na szraczce da się zarobić.

To, co tak skrętnie wyłożył zatrudnionym przez siebie grupom łowców duchów, nie do końca było prawdą albo było prawdą „na okoliczność”, albo jedynym wyjściem.

Winicjusz duchy miał. Wiedział to, widział i niestety dostawał od tego palpacji, bo się ich bał, problem w tym, że o ile chłopaki nie płaczą, to dorośli mężczyźni nie mają prawa się bać, ba, nawet w duchy nie wolno im wierzyć, bo to bardzo niemęskie.

Kiedy pierwszy raz wspomniał prateściowej, że coś jednak dziwnego się dzieje, ta, choć przerażona, ofuknęła go:

– A ty co, baba jesteś? W duchy to tylko baby wierzą.



Miała rację, ona wierzyła. Może nie w te konkretne, które od jakiegoś czasu hasały po hotelu, ale ogólnie uważała, że są, istnieją, straszą, a przy odrobinie sprzyjających okoliczności mogą wyzreć oczy, bo są zwierciadłem duszy. Wierzyła zresztą też we wszystkie inne krwawe aspekty działalności duchów, czyli urwane głowy i wyprute flaki.

Lubiła makabrę.

Kiedys pracowała w przetwórni ryb i do pewnych rzeczy była przyzwyczajona.

Wydlubywanie oczu opanowała całkiem dobrze.

Winicjusz wszystko przemyślał i nie znalazł innego wyjścia. Ludziom od łapania czy tam łowienia duchów wciśnął pewien kit, który nie do końca był kłamstwem. To prawda, że na duchach można było zarobić, a jemu zarobki były potrzebne jak dziecku pielucha, i to prawda, że każdy tonący w inflacyjnej rzeczywistości brzytwy się chwyta, duchy to darmowy marketing. Nie planował *ghost tours*, bo to marne dochody, obłożenie ledwie na noc czy dwie on planował „ghost turnus”, a to by było już coś. Taki tygodniowy pobyt generowałyby spore dochody, ale...

Już to widział oczyma duszy.

Kilka nocy z wrzaskami, bar opróżniony z ostatnich kropli „czegoś mocniejszego” przez drżące ręce mężów i ojców, omdlenia matek i żon, brzęcząca sława na cały świat, a może i szeleszcząca dolarami i wyciągami z opasłych kont bankowych.

Tego pragnął. Tego pożądał, ale nie było to takie proste; jako biznesmen doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Winicjusz duchów się bał i właściwie wolałby ich nie mieć, wtedy by je sobie spokojnie wymyślił i byłoby z głowy, niestety jakoś tak się stało, że kilka miesięcy temu w hotelu zaczęły się dziać dziwne rzeczy, które niestety nie podpadały pod „pokojówka się upiła i narozrabiała” ani pod „cieć wrzeszczał przez sen”.

Pomyślał więc o specjalistach, którzy z pewnością jakoś to zinterpretują albo go wyśmieją i on wtedy załatwi sprawę po swojemu – może zatrudni detektywa albo zgłosi duchy na policję, albo go utwierdzą, a wtedy goście będą walić pełną parą i pieniądze złagodzą ból istnienia.

Oczywiście możliwe, że pociągnie to za sobą zejście śmiertelne prateściowej, ale cóż, z kosztami trzeba się liczyć.

Matka jego teściowej panicznie bała się duchów i gdyby zostały potwierdzone, z pewnością by zwariowała... Nie, na to już za późno, może by choć wykitowała. Na to też trochę liczył.

Był niekonsekwentny w swoich oczekiwaniach, ale miał rozsądne podejście do tematu. Coś się działo. Wszyscy uważali, że winne są duchy, i teraz, jeżeli to były prawdziwe duchy, to, choć z pewną zgrozą, mógł na nich skorzystać. Owszem, istniało pewne ryzyko, bo jeżeli były nieprawdziwe, to ktoś je udawał i po coś to robił, co mogło też być niebezpieczne, i to niestety o wiele bardziej.

\*\*\*

– No to jak? Kompletujemy sprzęt i jedziemy! – oświadczył Łukasz z zadowoleniem.

– Nie tak szybko! – Robert jak zwykle udzielał się przywódczo. – Ty zajmij się okolicą, historią miasteczka, wsi, archiwami, przejrzyj dawne sprawy, jakieś nawiedzenia. Justyna to samo, ale z naciskiem na hotel i właścicieli, jakieś sprawy, może karne? Cokolwiek wygrzebiecie, może się przydać.

– A ty?

– Ja dotrę przez kumpla do policji i przegrzebię Internet, może tu coś będzie i Google Maps obejrzę, żeby sobie dobrze okolicę przyswoić.

Robert liczył na kumpla z policji, bo choć policja duchami się nie zajmuje, to wiedza, którą dysponuje, bywa przydatna.

– Ale dlaczego w święta? – Justyna zadała pytanie, na które odpowiedzi nie znali.

\*\*\*

– No to jak, kompletujemy sprzęt i jedziemy! – oświadczyła Kaśka z zadowoleniem. – Mają tam jakiś basen? Jacuzzi może, bo nie wiem, co ze sobą zabrać.

– Nie tak szybko! – Maks się roześmiał. – Trzeba wszystko jakoś przygotować, ty obdzwonisz wszystkie portale ezoteryczne, dowiesz się, czy i ile byliby chętni zapłacić, ja wezmę dziennikarzy i stacje telewizyjne, może któraś zechce puścić nasz filmik albo choć wspomni. Tanio się nie sprzedamy, ale coś trzeba jeść. Będą święta, może się zabawimy? Sylwestra też nam zabukowałem.

– Tam?

– No, a jak?! Praca to praca, a taki duch może chcieć się objawić w szczególnym momencie.

– No to przejebane, średnia wieku będzie powyżej setki!

Kaśka dokładnie sobie obejrzała wioskę na zdjęciach, poczytała o niej w Wikipedii, przeleciała wirtualnie po drogach i bezdrożach tej urbanistycznej beznadziei, a potem weszła na stronę hotelu.

– Wiesz, ja marnie to widzę. Po kurwę komuś by się chciało nawiedzać taką pieprzoną stodołę? – stwierdziła ze zgrozą w głosie i w oczach.

W sercu też miała zgrozę, bo spędzenie kilku dni w miejscu takim jak to odcinało ją od sieci, nie że brak zasięgu, wcale nie, ale że jak ona to pokaże?!

Oczywiście, gdyby duchy były, to jeszcze jakoś by to przeszło, ale nie miała większych nadziei.

– No i te święta. Czy ty uważasz, że to dobry moment na duchy? Będą latać z anielskim włosem czy kotłować się pod choinką?

\*\*\*

Duchy, o ile istnieją, raczej powinny unikać miejsc szczęśliwych i radosnych chwil, bo jakoś niezbyt dobrze się w takich miejscach i momentach czują, a Boże Narodzenie, to czas radości par excellence, ale od kiedy zrobiono z niego marketingową wydmuszkę do wyciągania pieniędzy, a rodziny, zamiast się wspierać, wylewają pod choinką wszystkie swoje większe i mniejsze żale, zakąszając traumą i przelykając łzy w kieliszkach, szczęście jakoś nikomu nie klóca spokoju.

Duchom też nie.

\*\*\*

Hotel był rzeczywiście dość osobliwy. Nie był to żaden z tych ozdobnych, zachęcających wyglądem czy otoczeniem albo choć odrobinę luksusowych przybytków. Nie był nawet siermiężny, co mogłoby iść w kierunku rustykalnego i przedstawiać obiekt kryty strzechą, może drewniany, w każdym razie swojski i ciekawy, nie – to był sporych rozmiarów dwupiętrowy klocek. Może i dość ładnie otynkowany, ale na tym się kończyły zachwyty.

Litera s w słowie Astoria oberwała się i zwisała trochę niżej od reszty liter, ale że była to litera s, niczego to nie zmieniało.

Jako dawny hotel robotniczy przypisany początkowo do przetwórci ryb, która znajdowała się obok, czasy świetności miał już za sobą.

Nie było już też przetwórci ryb, nie było nawet robotników, bo większość zakładów pracy zamknięto.

Niczego nie było, ale obiekt stał. Kiedyś był czymś w rodzaju centrum życia, może też i towarzyskiego, ale w sumie po prostu życia.

W końcu go sprzedano.

Hotel zagospodarowano, bo poszedł za bezcen, ale, jak każde takie miejsce, miał swoją historię.

Tę wielką, jak wizyta pierwszego sekretarza partii w lipcu roku '81, kiedy to cieć idiota zamiast na zielono pomalował trawę na białe i dostojny gość myślał, że to przymrozek, i tę małą, doczepioną do każdego pokoju, w którym dochodziło do przeróżnych czynów, od lubieżnych po karalne, a porody, bijatyki i uniesienia miłosne w oparach bimbru nie należały do rzadkości.

Jako hotel robotniczy istniał (oczywiście pod inną nazwą) i miał się doskonale za czasów jak najbardziej przaśnego PRL-u, kiedy w hotelach działy się takie rzeczy, że „Ło, panie... na trzeźwo nie ogarniesz”, i dlatego widział i słyszał bardzo wiele, gdyby tylko jego ściany umiały mówić...

Bo niby ściany mają uszy, ale, tak jak dzieci i ryby, głosu nie mają.

Chociaż... Czy to jest takie pewne?

Miasteczko żyło z przetwórci ryb, a bawiło się w hotelu, ale nie były to jakieś oficjalne obchody, apele czy bale, tam nawet restauracji nie było, za to byli ludzie i każdy sobie rzepkę skrobał, w sumie nawet bardziej rybkę niż rzepkę.

Tu można było spotkać każdego i kupić wszystko, zwłaszcza że do portu było blisko, a choć transatlantyki nie miałyby tu czego szukać, to i tak ludzie sobie radzili.

Nadmorskie miejscowości mają swoją specyfikę i potrafią na niej zarabiać. Czasami nawet sporo i nie zawsze dotyczy to tylko świeżych ryb.

\*\*\*

W pokoju numer dwadzieścia pięć pewna turystka robiła sobie właśnie kąpiel. A potem już tylko biegła z wrzaskiem na ustach, ubrana w tuman pary, trzęsąc brzuchem, podrygując biustem i klaszcząc półdupkami.

\*\*\*

– Sytuacja hotelu w chwili obecnej – zaczęła Justyna, która uwielbiała nowomowę, ponieważ dzięki niej stawała się ważniejsza i mądrzejsza przynajmniej we własnych oczach – nie jest, niestety, najlepsza. Bez perspektyw na rozwój. Te duchy rzeczywiście by im się przydały, ale rzadko widuje się duchy, które straszą w budynkach z wielkiej płyty, no chyba że to residual haunting, po prostu wydarzenia odcisnęły swoje piętno we wnętrzach, a może nie wydarzenia, ale pamięć o nich, ale też nie bardzo.

– Czyli już z góry skazujesz naszą misję na zagładę?

– Nie, ale chcę zrozumieć. Czy ty chciałbyś straszyć w czymś takim?

Podsunęła zdjęcie hotelu Robertowi i oboje się skrzywili.

– Gdybym miał wybór, to chyba nie.

– Może ten duch nie ma wyboru? – zawołał Łukasz od drugiego laptopa. – Czasami nawiedzenia nie mają nic wspólnego z wolą. Są, bo są, bo coś się stało.

Łukasz podszedł do Justyny.

Popatrzył na hotel. Westchnął.

Istnienie, a nawet sens istnienia takiego obiektu w tym miejscu, było bardzo nielogiczne. Hotel nie kusił. Sam w sobie nie był wart przyjazdu, nie posiadał żadnych saun, masaży czy basenów.

Ot, obiekt służący do spania. Nic więcej. Kiedyś był to całkiem dobry i tani przybytek dla ludzi w delegacjach, szczególnie tych, którzy oszczędzali na dietach, ale kto teraz jeździ w delegacje? Internet zabił wszystko, nawet te skromne radości zwykłych pracowników niższego szczebla.

Teraz wszystko można załatwić online, a jeżeli trzeba już coś dopiąć, dogadać, dopieścić osobiście, to jeżdżą ludzie, których stać na gwiazdki w hotelach i restauracjach.

W okolicy atrakcji nie było, a hotel nie dysponował nawet własną plażą. Rodziny z dziećmi nie miały tu czego szukać.

W tej wiosce, która na chwilę stała się miasteczkiem, a potem znów jakby się zwioszczyła, nie było nic, a hotel, jak wiadomo nie od dziś, to przybytek, który musi zarabiać.

Owszem, zdarzali się ludzie, którzy wynajmowali pokoje na noc czy dwie (Winicjusz na godziny się nie zgadzał i wcale nie dlatego, że był romantycznie nastawiony do małżeństwa albo był przeciwny zdradom czy prostytutce), ale po prostu wiedział, że jak klient nie ma gdzie pociupciać, to się przemoże i zapłaci za noc, a to jednak więcej), ale byli to zazwyczaj ludzie z daleka, którzy przyjechali do rodzin, a te rodziny mieszkaly w dwóch pokojach z kuchnią bez balkonu, w których nie dało się przenocować (nie żeby balkon coś zmieniał) nawet kota, a co dopiero ciotkę z Kanady czy dziadka z Niemiec.

\*\*\*

Wrzask na korytarzu pobudził do działania kilka osób z obsługi, które wbiegły na piętro, schwytały roztrzęsioną kobietę, owinęły ją w obrus zerwany ze stolika na korytarzu i złapany w locie, i natychmiast zaczęły ją uspokajać.

Nie było to łatwe.

– Wylazło! – wrzeszczała. – Wylazło na lustrze! Napis! Straszny! Wylazł!

Kobieta była blada i spocona. Dygotała.

Jej dygot nie zrobił wrażenia na ratujących ją ludziach. Byli raczej zniesmaczeni.

– No i widzi pan, panie Kaziu? – zwróciła się pokojowa do ciecia. – Znowu to samo! Myślałam, że jak raz będzie koniec, a tu znowu i znowu. Ech! – Machnęła ręką z rezygnacją, jakby była bardzo, ale to bardzo znudzona, choć sytuacja raczej powinna generować panikę, a nie znudzenie.

Takie podejście wcale nie uspokoiło turystki.

– Jak znowu?! – Kobieta trzęsła się jak osika, choć gabaryty do osiki jej nie upodabniały. – Jak znowu? To to nie pierwszy raz?

– A, gdzież tam, od dawna takie jakieś napisy wylażą. Pani się nie przejmuj!

Takie zapewnienia raczej nie uspokajają, bo jeżeli napisy wylażą od dawna, to przecież coś je robi, możliwe, że duchy, a jeżeli to coś je robi z taką determinacją, to robi to po coś.

– Ale że jak? – Kobieta wcale nie czuła się pocieszona. Mało kto się cieszy tym, że jakieś paskudne zjawisko jest nie tylko paskudne, ale i częste, niby po jakimś czasie powinno spowszednieć, ale to nie zmienia faktu, że nadal pozostaje paskudne.

– No duchy po lustrach piszą, tak już od pół roku! – Ciec pokręcił głową z niezadowoleniem, choć to nie on musiał te lustra potem myć.

– A tam, panie Kaziu, dłużej! – obruszyła się pokojowa.

– I co tam ten duch pani namazał? – zapytał cieć z ciekawości, która jest siłą napędową wielu nieroztropnych zachowań.

– Straszne...

Poszli sprawdzić, choć kobieta za nic w świecie nie chciała wrócić do pokoju.

\* \* \*

– Słuchaj... – Maks z Duchaczy zaczął się poważnie zastanawiać nad misją. – Musimy kogoś dobrać! Nas dwoje to za mało. Wiem, że wolałabyś nie, ale...

– Mowy nie ma! – Kaśka pisnęła wściekle, bo wiedziała, czym to się skończy. – Nawet nie myśl o tej kretynce!

– Ty nie rozumiesz mojego toku myślenia – zamruczał. – Muszę wziąć jeszcze jedną kobietę! To ma sens.

Maks wziąłby kogo chciał i wcale nie musiał pytać Kaśki o zdanie, ale doskonale wiedział, że jeżeli nie zapyta i weźmie, będzie trzecia wojna światowa, a jeżeli zapyta i weźmie (innej możliwości nie było), będą tylko potyczki i wojna podjazdowa.

Obie się w nim kochały, nie było to dla niego żadną tajemnicą.

Należał do tych mężczyzn, których ego przerasta wszelkie wyobrażenie, toteż wiedział, właśnie nie wierzył, ale wiedział, że wszystkie kobiety skrycie się w nim kochają – młode, stare, ładne i brzydkie, nie wyłączając kasjerek w marketach, tracących na jego widok oddech i opanowanie.

Traciły je, bo Maks należał do tych upierdliwców, którzy wyklócają się o dwa grosze, każą ważyć przy kasie każdy produkt i sprawdzać z danymi na etykietach oraz pojawiają się w sklepach w momentach najdłuższych kolejek, żeby kasjerki nie miały czasu go molestować seksualnie.

Obie – i Kaśka, i Oliwia – pracowały w Duchaczach od dawna, ale choć Kaśka była pierwsza, Oliwia była ładniejsza. Maks obiecywał Kaśce wyłączność, ale nigdy nie zamierzał dotrzymywać słowa.

– Jaki znowu sens? – odburknęła Kaśka, zastanawiając się, o co właściwie chodzi.

W chwilę potem wszystko pięknie jej wyluszczył.

– Pomyśl! Robimy tak: śpicie obie w swoim pokoju. Jest noc, nagle wrzask, ty włączasz rejestratory, a ona wrzeszczy, na wpół naga, rejestratory pokazują trupa rękę na jej udzie, a potem na nagim biuście! Ha?!

Maks myślał obrazami. Tworzył sobie w głowie cały plan wydarzeń i nie miało najmniejszego znaczenia, że duchów nie da się upozować ani namówić na duple.

– Ty mógłbyś zrobić to samo! – burknęła, nie całkiem przekonana.

– Nie, nie mógłbym! Zasada numer jeden: jesteśmy singlami! Single przyciągają więcej zachwyty, bo każda baba, każdy chłop wyobraża sobie, że da się nas upolować! Na stateczną mężatkę, nawet cycatą, nikogo nie złapiesz!

– A na niestateczną?

– Żartujesz? Jak pokażesz mężatkę zdradzającą męża, albo jakoś tak, to od razu sieć walnie hejtem! Mężatki muszą być stateczne! Porządne! Nudne i bez zarzutu!

– No to, ale...

– No to, żadne ale! Śpią w pokoju dwie pólnagie dziewczyny, na dwóch oddzielnych łóżkach, żeby nie było, że są lesbami, to wtedy można zaaranżować takiego ducha macanta!

– Wiem, znów chcesz wziąć tę kretynkę! Obiecałeś!

– Nie jest kretynką! Oliwia jest piękną kobietą.

Oliwia oczywiście była piękną kobietą, to logiczne, bez tego Maks by koło niej nawet nie stanął, ale była też kretynką. Co właściwie też miało sens.

Kretynkami łatwiej sterować.

– Czy ty myślisz w ogóle o całości? Nie! Bo nie rozumiesz mediów tak jak ja! Czy sobie wyobrażasz, że ta ich Justyna z tymi fioletowymi kłakami w ogóle kogoś zainteresuje? Nie, bo takich nikt nie chce oglądać, z takich się ludzie śmieją, a my mamy być super! Sutki w górę i do roboty! Weź kilka tych cieniutkich koszulek, to jak będziemy filmować zimne punkty, będzie widać, jak ci sutki sztywnieją.

– Dobra, dobra, a jak nie zeszywnieją?

– To się to załatwi mrożonym kompresem żelowym, nie tak jak wtedy, co wzięłaś kostki lodu i potem wyglądałaś jak mamka karmiąca.

\*\*\*

– Wiesz, że zapowiadają śnieżyce? – Justyna zaczęła szykować buty i kurtki.

– No i co z tego? Nie jedziemy w góry, śnieżyce nad morzem to chyba nie taki wielki problem, plaża i tak odpada. Zasypać nas nie ma jak, najwyżej będzie buro, ale my i tak będziemy działać tylko we wnętrzach – wyjaśnił Łukasz.

– No nie byłbym taki pewny. – Robert się roześmiał. – Hotel ma też park.

– Park?

– Maszynowy.

– I co? Coś im straszy w maszynach?

Tego typu nawiedzenia się nie zdarzają, nie wiadomo dlaczego, ale żaden duch jeszcze nie nawiedził elektrowni jądrowej, odrzutowca czy rakiety kosmicznej, o wózkach widłowych nie wspominając.

Dlaczego tak się dzieje? Możliwe, że duchy nie lubią żelastwa. W końcu wieża Eiffla w Paryżu też chyba nie jest nawiedzona.

A może nie lubią elektryczności? Dlatego tak często podczas nawiedzeń coś wywala korki?

A może są po prostu tradycjonalistyczne? Przywiązane do zapachu lamp naftowych, stearyny i dobrego koniaku?

Do starych bibliotek i sal balowych, a nie do zastawionych monitorami i oblanych światłem jarzeniówek czy żarówek LED biur i sterowni?

Z parkiem maszynowym było tak.

Przetwórnia ryb padła, bo ludzie przeczucili się na żywność wysoce przetworzoną, a ryby nie da się włożyć do hot doga (w każdym razie nie u nas).

Winicjusz Warkot kupił jej resztki z sentymentu i na rozkaz prateściowej, która kiedyś tam pracowała, zresztą prawie każdy kiedyś tam pracował, a sam Winicjusz był też dawnym mieszkańcem swojego własnego hotelu, ale to było w czasach słusznie minionych i nikt się tego nie czepiał ani nie wspominał, bo to nie były najlepsze referencje.

Winicjusz pokombinował i zorganizował wszystko po swojemu.

Teraz więc do hotelu przynależał park maszynowy, który pozwalał im trochę zarabiać, bo miał trzy limuzyny ślubne, dwa karawany, trzy łódki turystyczne, z których tylko jedna była bezwypadkowa, dwie pozostałe straciły kilku turystów, którzy wypłynęli potem, jednak już tylko w charakterze zwłok.

Park miał też koparkę i betoniarkę imprezową, w której na zawołanie można było rozkręcić deszcz kul prezentowych, wysypywanych następnie na młodych przed kościołem. Kiedyś jedna z kul wybiła oko pannie młodej, ale to był przypadek, dlatego zaczęto je wysypywać nie na głowy, tylko pod nogi pary, na efekty nie trzeba było długo czekać, ale nogi to nogi, o wiele łatwiej je poskładać niż oko.

Park miał też trzy dźwigi do zawieszania piniat, bo przecież nie zawsze jest na czym je powiesić, oraz kilka wózków widłowych używanych do transportu uczestników wieczorów kawalerskich.

I to dawało trochę pieniędzy, ale hotel zarabiał marnie.

Park przynosił dochody, choć nie był nawiedzony, a hotel wręcz przeciwnie.

Winicjusz nie umiał zrozumieć ducha, który woli marne łazienki z chińską armaturą i byle jakie pokoje z jakimś tapczanem od wspaniałych limuzyn z siedzeniami z prawdziwej, czerwonej skóry, a nawet dostępem do barku.

On, gdyby już coś miał nawiedzać, to jednak coś luksusowego.

Dodatkowo z hotelem sprawy się miały nieco inaczej niż z maszynami. Maszyny wystarczy wyłączyć i zamknąć. Z hotelem to nie przejdzie. Taki hotel nawet nieużywany żre pieniądze, bo przecież trzeba go ogrzewać, żeby choć rury nie popękały, trzeba płacić za prąd i za sprzątanie, naprawiać okna wywalone przez wiatr (od morza zdarzają się wredne huragany i porywiste wichury), trzeba wreszcie płacić za stronę internetową.

Dodatkowo rodzina Winicjusza i on sam mieszkali w budynku hotelu, na parterze. Nie było sensu kupować domu i potem tracić czas na dojazdy i pieniądze na paliwo.

Toteż na parterze hotelu poza salą jadalną, kuchnią i magazynem oraz nieczynną salą konferencyjną wygospodarowana była strefa prywatna dla rodziny właściciela składająca się z czterech sypialń, kuchni i salonu.

Mieszkali tam Winicjusz z żoną, ale każde w oddzielnej sypialni, matka żony i matka matki żony, czyli prateściowa, osiemdziesięcioletnia hetera, której wszystko przeszkadzało.

Osiemdziesięcioletnia hetera była, zdaniem Winicjusza, małą (nie)miłą, (nie)sympatyczną, zasuszoną staruszką, z pretensjami na pysku, który przypominał mordę wychudłego buldoga.

Dzięki prateściowej teściowa Winicjusza miała nieco lżejsze życie, bo mniej się jej czepiał.

Zresztą dla turystów, którzy czasami na prateściową wpadli w jadalni (nie było sensu stołować się w domu, kiedy pod nosem była hotelowa restauracja) albo w salonie, bo po co oglądać telewizję w domu, jak można w hotelu, prateściowa Winicjusza była miła.

Cieszył się, że nie ma córek (w ogóle dzieci nie miał).

Wystarczyła mu żona, teściowa i prateściowa.

Wszystkie trzy były ze sobą zżyte i to spędzało sen z powiek Winicjusza. Trochę się ich bał. Trochę też im nie wierzył, a zaufania do tej babskiej trójcy to już nie miał za grosz.

Były nawet momenty, gdy podejrzewał je o to, że mają coś wspólnego z duchem.

Gorzej, czasami bał się o własne życie.

Wierzył, że mogą chcieć go zabić.

\* \* \*

– No zobaczmy, co tam ten duch nawywijał – zaproponował cię jeszcze raz. – Idziemy?

– Kiedy ja się boję! To było straszne...

Poszli sprawdzić, choć kobieta trzęsa się jak galareta, ale też i dlatego, że się trzęsała, bo wszystkie jej ubrania zostały w pokoju.

Weszli i naprawdę nic nie zobaczyli, nie było żadnych zniszczeń.

Wszyscy myślą, że jak pokój zostaje nawiedzony, to od razu powinien opływać zielonym glutem, a tu nic. Wszystko było na swoim miejscu.

– W łazience! – Wskazała ręką.

– Zawsze to robi w łazience – zauważyła z westchnieniem pokojowa. – Pewnie kąpiel pani chciała wziąć?

– Taaak – potwierdziła turystka.

– Gorąca? – Pokojowa uśmiechnęła się przebiegle, jakby w grudniu ludzie zazwyczaj brali kąpiele zimne albo nawet lodowate.

– Lubię tak...

– No właśnie. – Pokojowa pokręciła głową, zaciskając usta, co nadało jej twarzy wyraz zmęczonej nagany. Turystka zrozumiała, że zrobiła coś nie tak.

Nie pamiętała, żeby w regulaminie było coś o zakazie gorących kąpiei. Westchnęła zrezygnowana.

Weszli do łazienki.

Była wciąż trochę zaparowana.

Lustro też.

Na nim ktoś namazał słowa. Napis był dość długi i zawijasowaty.

Głosił: „Majteczki w kropeczki, lo ho, ho, ho”.

– No i czego pani się tak trzęsie? To takie straszne? – zapytał, krzywiąc się, cięć, zły na kobietę za niepotrzebne sianie paniki, bo przecież to nawet nie była groźba.

– Pani pewnie z Warszawy, warszawiacy nie lubią disco polo! – stwierdziła pokojowa, wzruszając ramionami. Popatrzyła z dezaprobatą na turystkę. – Pani to się na muzyce nie zna czy co? Toż Bayer Full to całkiem fajny zespół! – dorzuciła karcąco.

Kobieta kręciła głową jakoś tak jakby z niedowierzaniem. Nie miała nic do disco polo, nie żeby tego słuchała, ale tak jak każdy od czasu do czasu, na weselu czy jakimś przyjętku, kiedy to puścili, to i ona ruszała w tany, nie przejmując się wstydem. Zresztą tak jak wszyscy, nawet ci, którzy oburzali się na obniżanie muzycznych standardów i zanikanie kultury wyższej.

– Kiedy nie!

– Niefajny? – warknęła pokojowa wściekle, bo nikt nie lubi, jak ktoś niszczy jego ideały.

– Nie w tym rzecz! Fajny czy nie, to mnie gównem obchodzi! On mnie podgląda! Ten duch! O! – Wskazała gniewnie na leżące na półeczce koło wanny majtki. Były w kropki. – Widzicie?!

Fakt. To było dość intrygujące.

– I ja tak: rozebrałam się, przygotowałam bieliznę na potem, puściłam wodę, odwróciłam się, a tu ciach, patrzę, a on pisze! Rozumie pani! On jest zboczony!

\*\*\*

Nikt nie wie, jakie są lub mają być standardy moralne ducha. Nigdzie nie jest powiedziane, co duchom wypada, a czego nie. Czego nie powinny robić. Możliwe, że istnieje jakiś duszny kodeks moralny, ale ludzie żywi nie mają do niego dostępu.

\*\*\*

– Szefie, ja to nic nie chcę mówić, ale to zaczyna być niebezpieczne – stwierdził cieć. On jeden miał dość odwagi, by stanąć przed Winicjuszem i wspomnieć o duchach.

To znaczy dotychczas inni też wspominali, ale spotykali się ze ścianą milczenia albo, co gorsza, z drwiną.

– Znaczy?

– Bo normalnie duch nawiedza, tak? – Ciec zdał szefowi sprawę z poczynań niewidzialnego nieboszczyka.

Winicjusz niechętnie przytaknął.

Stali teraz razem, cieć i pokojowa, oboje w postawach na chłopów pańszczyźnianych.

– No właśnie, ma prawo, ale jak zacznie ten... no... – Pokojowa, Alberta Kruczyk, zwana tu Bertą (nie bez dwuznaczności), zaczęła się jąkać. Była pokojową, nie pokojówką. Bardzo przywiązywała wagę do tego rozróżnienia. Teraz wyglądała nieśmiało zza pleców ledwie zasłaniającego ją ciecia.

– Co: ten no? – warknął właściciel, bo wiedział, że może sobie na to pozwolić. W takich miasteczkach właściciel hotelu to ktoś, kto tworzy miejsca pracy, a te miejsca pracy są wielce pożądane, bo tak naprawdę niewiele ich jest, a ludzie potrzebują zarabiać. Dlatego wszyscy obchodzili się z nim bardzo ostrożnie.

– No molestować! – Ciec wyrzucił z siebie to straszne słowo. – Tu już się szef od więzienia nie wywinie! Przecież przy molestowaniu duchem to wszystko pójdzie w diabły! Nie dość, że nikt nie przyjedzie, to baby zrobią jakieś demonstracje czy coś i nawet jak ktoś będzie chciał, to go odgonią! Pan dobrze posłucha, duchy przyciągną gości, ale molestowanie to masakra! A on ją podglądał! Musiał! Skąd by wiedział o majtach w kropki? – Ciec kontynuował swoją tyradę.

– A może to chodziło o tę piosenkę? – Winicjusz liczył na łagodny wymiar kary, ale się przeliczył. Nie wyobrażał sobie ducha melomana, ale ducha o skłonnościach do podglądactwa również nie bardzo umiał sobie wyobrazić.

– Też nie najlepiej. Duchy powinny być uduchowione, a nie takie coś. Gdyby jakaś poezja, „Litwo, ojczyzno” czy co tam jeszcze, a nie to!

I to jest ogólne podejście do tych spraw. Nie „tych”, ale tych. Duchy powinny być uduchowione, nie mogą być jakies chamskie czy coś, powinny cechować się kulturą wypowiedzi i w ogóle. Dlaczego? No właśnie z tego powodu, że są duchami.

I nawet taki wredny typ spod budki z piwem, które kiedyś istniały, mógłby się objawić, ale przecież nie mógłby kłać i cuchnąć piwskiem.

Powinien coś sobą reprezentować, coś duchowego.

Możliwe, że jest to przejaw dyskryminacji, ale tak już jest. Cham może być sobie chamem w życiu, ale nie po śmierci!

Jednakże to podglądanie trochę Winicjusza zmartwiło. Postanowił jakoś zrównoważyć problem.

I dlatego właśnie trochę później wynajął Duchaczy. Na ich stronie internetowej Kaśka pokazywała swoje atuty tak dogłębnie, że gdyby coś, to duch zajmie się nią, a jej albo będzie wszystko jedno, albo choć się ucieszy, że jest. To znaczy, że ona jest kusząca, a on jest. Ten duch, że istnieje. Dwa w jednym – i dżem, i musztarda!

Winicjusz zdawał sobie sprawę z zagrożenia.

Niestety nie wiedział, jak temu zaradzić.

Bo przecież takiemu duchowi nie wytłumaczy, że nie wolno. A o ile kampania marketingowa pod hasłem „mamy ducha i nie zawahamy się go pokazać” była w porządku, to taka pod hasłem „mamy ducha, który podgląda gości w kąpielni” już nie.

No i czuł, że ma marne szanse na zejście śmiertelne prateściowej, jej nikt nie chciałby podglądać. A to by było takie piękne... Nie podglądanie, zejście, niestety gdyby duch prateściową podglądał, to sam ryzykowałby zejście śmiertelne.

No owszem, byli też inni goście, ale może faceci skarżyć się nie będą, bo założą, że to duch kobiety, a jaki facet skarży się, że podgląda go baba? Żaden.

Bo mimo pewnych problemów ludzie byli. W każdym razie interes marnie, bo marnie, ale trwał.

Nie darmo przez znajomości w lokalnych mediach Winicjusz sprawił, że nie ukazywały się ogłoszenia typu „mieszkanie na święta dla gości wynajmę”. No i były wieczory kawalerskie, a ich uczestnikom nikt niczego własnego by nie wynajął.

Ludzie chcą zarobić, a nie wpędzać się w remonty.

Mało kto, kto nie był hotelarzem, wie, jak śmierdzi trzyletnia plama rzygowin odkryta pod wykładziną, jak trudno wykrobać kał z fug pomiędzy płytkami i dlaczego żyrandole w pomieszczeniach zagrożonych powinny mieć abażury w dół, a nie w górę.

Choć może nie jest to wiedza tajemna, to jednak mało kto o tym mówi, ale niektórzy ludzie potrafią wytworzyć strzelający ku sufitowi strumień wydzielin i potrafią do tego używać wszystkich możliwych otworów ciała.

\* \* \*

Justyna, Robert i Łukasz wyruszyli w drogę zaraz po odbębnionej (bardzo pobieżnie) w domach rodziców (każde swoich) wigilii, z czego byli nawet zadowoleni, drogi były puste, policja niespecjalnie sprawdzała szybkość, a oni z zachwytem parli ku nowej przygodzie.

Mijane miasta i miasteczka jarzyły się bożonarodzeniowymi ozdobami, gdzieniegdzie w niebo strzelały słupy światła z tego czy innego renifera, który był oświetlony tak, że mógłby służyć za latarnię lotniczkową dla statków kosmicznych.

Migające ozdoby wywoływały oczopląs, szalone, metaliczne dźwięki kolęd elektronicznych przelotem raniły uszy, większe i mniejsze choinki to zapalały się, to gasły, gdzieniegdzie przy użyciu straży pożarnej, ale droga upływała im szybko i spokojnie.

Tu i ówdzie padał śnieg, ale ogólnie pogoda była bardziej jesienna niż zimowa.

Jesienne Boże Narodzenie zdarza się coraz częściej, ale jak zawsze wszyscy liczyli na śnieg. Powinien popadać choć w Wigilię.

Samochód wyladowany był sprzętem. Mierniki, rejestratory, kamery na podczerwień, latarki, wszystko w liczbie po kilka na głowę, sprzęt video i kamery termowizyjne, gdyby się coś udało nagrać, a do tego jeszcze ciuchy i buty.

A samochód był jeden.

Nie było sensu jechać jakąś pieprzoną kawalkadą.

Nie spieszyli się, chcieli dojechać na rano, ale niezbyt wcześnie.

– Słuchajcie, a jeżeli on te duchy ma od kilku miesięcy, to dlaczego wynajął nas teraz, i to w czasie świąt? To jakieś nielogiczne.

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, choć było dość frapujące.

Wjazd do miasteczka nie zrobił na nich specjalnego wrażenia. Wywołał tylko zdziwienie. Zawsze tak jest. Wychowani na amerykańskich filmach o duchach, spodziewamy się, że miejsca nawiedzone będą wyglądać jak miejsca nawiedzone.

A skąd wiemy, jak takie miejsca powinny wyglądać? Ależ oczywiście z amerykańskich filmów.

Zatopione w kłębach mgły gotyckie zamki albo stare, piękne domostwa, jakieś skrzypiące furtki, dziwni ludzie, huśtawki kołyszące się na wietrze.

Prawdziwy schemat.

Tak więc kiedy wjechali do miasteczka i zobaczyli kilka pogierkowskich klocków, odrapany przystanek, przychodnię zdrowia, też oczywiście odrapaną, trzy zwyczajne i mało makabryczne babcie idące do kościoła i dwóch żuli goszczących się na zasypanym śniegiem i śmieciem trawniku, to byli naprawdę zawiedzeni.

W tym miasteczku grozy nie było, to znaczy była, ale nie ta, co trzeba. Była to swojska, skacowana, brudna i wściekła groza małomiasteczkowego kalibru, a nie upiorna i upojna groza amerykańska.

Ciekawe, czy taką grozę da się importować.

Owszem, miasteczko jak wszystkie inne miało swoją historię, ale ona, począwszy od tej przez duże H, a skończywszy na tej małej codziennej, którą z każdego miejsca obiera się jak cebulę z warstw i zależności, była bardzo zwyczajna. Owszem, w czasach minionych (tych słusznie i niesłusznie też, bo jednak młodość nie powinna mijać, nawet jeżeli przypadła na pieprzony PRL) działało tu kilka gangów, zdecydowanie małoletnich, ale wszędzie takie były, cinkciarzy, bo takie były wymogi ekonomiczne rzeczywistości, mniej lub bardziej rzetelnych przedsiębiorców, ale bogaczy nie było. Był jeden poważny gangster, ale marnie skończył w jakiejś strzelaninie, zresztą nie bardzo się udzielał, ponieważ miał na nazwisko Kociołek, a nikt nie chciał być z „gangu Kociołka”, bo to i wstyd, i źle wróżyło. Nie było też wielkich „klimatycznych” zbrodni, napadów na bank, porwań czy wymuszeń, wszystko raczej toczyło się wokół handlu, a handel toczył się wokół morza i wcale, naprawdę wcale, nie chodziło tylko o ryby.



Wszystko to z wierzchu było blade i miałkie, ale ludzie wiedzieli, że pod spodem można się było dokopać czegoś o wiele cenniejszego.

Jedyną stałą i od lat nawiedzającą okolicę zbrodnią było chuligaństwo cmentarne. Nie takie jak wszędzie indziej, w stylu okradania grobów, choć to też istniało, ale o wiele dziwniejsze. Chuligani rozkopywali, nie, nie groby, ale ich okolice. Klomby, alejki, ukwiecone trawniczki, wydłubywali z ziemi tuje, wygrzebywali dziury pod ostrokrzewem, niszczyli bratki, wyrywali róże z korzeniami. No ale głupota to głupota. Policja i ochrona cmentarza wielokrotnie próbowały dopaść przestępców, ale nigdy jakoś się to nie udawało.

Potem pomyślano, że to działalność ogrodnika z za parkanu, który po takich akcjach miał pełne ręce roboty i sprzedawał sporo krzewów.

I przyłapano go kilka razy, jak rozkopywał klomby uliczne.

Twierdził, że to jego praca.

W grę wchodziła jednak mała szkodliwość czynu i nic nie dało się zrobić. Małe miasteczka to najczęściej też mała albo bardzo mierna przestępczość. Mieszkańcy powinni się z tego cieszyć, ale nie cieszą się za bardzo, bo nuda zabija wszystko.

\* \* \*

Takie same przemyślenia na temat obskurnej okolicy i całkowitego braku atmosfery grozy miała ekipa Duchaczy, ale o ile DrDuch po prostu sprawę przyjął do wiadomości, Duchacze popadli w panikę.

Im amerykańska groza była niezbędna. Bez niej nie mieli szans na zaistnienie.

– Nie, no i jak tu filmować? – jęknęła Oliwia. – Przecież to jest całkiem nieodpowiednie tło!

– Tła zabrałem – mruknął Maks z za kierownicy. – Mam trochę, nie wiem, co wziąłem, bo brałem jak leci, ale może coś dopasujemy.

Teraz dziewczyny zrozumiały, co to za rolki, które wystają z za tylnych siedzeń. Tła były przydatne. Dało się z nich wyciągnąć niezbędną grozę, kiedy tej prawdziwej nie było.

Dało się też wyciągnąć trochę niezbędnego romantyzmu, bo nawet jeżeli podstawą jest groza, to romantyzm jest nieodzowny. Facet biegający z nożem po miasteczku jest groźny, ale piękne okoliczności przyrody i jemu potrafią dodać romantyzmu. I nie tylko potrafią, muszą, bo taki facet z nożem to nic ciekawego, ale na odpowiednim tle to już opowieść. Prawdziwa, emocjonująca, romantyczna, krwawa, to fakt, ale jednak z przesłaniem.

Ponieważ Duchacze właściwie nigdy nie przejmowali się interesem innych, a na względnie mieli tylko własny, było im wszystko jedno, czy w tle pokażą romantyczne ruiny w centrum miasta, czy starą wiejską chałupę obok posterunku policji w środku miasta.

Ważne było, żeby oni w tym wyglądali dobrze.

Piękna Oliwia z nagim cycem na tle odrapanego przystanku autobusowego przestaje być piękna, a nagi cyc nagle staje się wyuzdany.

Nie tego potrzebowali.

– Atmosfera czyni duchy – zwykł mawiać Maks i miał rację. – Zobaczysz śmietnik, to zobaczysz i pająka, w zgniłźnie na mur beton znajdziesz robalę, a w lesie grzyby, tak już natura jest nastawiona. Ona po prostu spełnia nasze podświadome pragnienia, nawet jeżeli my sami ich nie znamy. Wibracje Wszechświata. Coś wam to mówi?

Oczywiście, że im mówiło, bo ostatnio Maks stwierdził, że nie można żyć monotematycznie, ale należy się pokażać z kilku interesujących stron.

Dziewczyny naturalnie pokazywały, że mają ładne i tyłki i cycki, ale Maksa to wkurzało.

– Co, tylko dupą umiecie świecić? Do porno chcecie iść?

– Załatwisz? – zapiszczały obie. Porno to przecież aktorstwo, tylko nieco bardziej rozebrane i choć ludzie traktują je tak samo jak prostytutkę, to jednak aktorki porno potrafią zarobić na godne życie na Bahamach i wakacje w Dubaju.

Niestety Maks nie umiałby im tego załatwić.

– O co innego mi chodzi. O wibracje i duchowość. Patrzcie. Mamy sprzęt i całkiem niezłe wejścia duchami, ale w czasie tych nagrań często zdarza nam się gadać o dupie Marynie, a to strata czasu i marnowanie potencjału. Widziałyście, jak upakowane są reklamy? Na ścisk, jedna aż zahacza o drugą, a dlaczego?

– No dawaj, mów. – Oliwia ziewnęła, wcale nie dlatego, że nie wiedziała, wiedziała natomiast, że Maks i tak zrobi im wykład, więc przedłużanie tej agonii nie miało sensu.

– Chodzi o czas antenowy! Jest cenny! – zawołał entuzjastycznie chłopak, jakby właśnie odkrył czarną dziurę we własnej kieszeni.

Maks miał tendencję do łapania szesnastu srok za ogon, bo liczył, że któraś okaże się kukułką znoszącą złote jaja.

– To my też będziemy coś reklamować? – ucieszyła się Kaśka, bo reklamy dawały dochody, nawet jeżeli czasami był to barter i należało potem zagospodarować trzydzieści słoików majonezu bezjajecznego, a często i bezsmakowego, ale od czegoś trzeba zacząć.

– Oczywiście! Siebie! – zakrzyknął Maks z entuzjazmem.

– No ja nie wiem... Że jak? – Oliwia nie miała wielkich osiągnięć w myśleniu.

– No bo patrzcie: siedzimy i czekamy, zanim pojawi się duch, jest dłużyzna, można ją wyciąć, ale po co się pozbawiać czasu antenowego? Czy nie lepiej, zamiast wycinać i skracać filmik, rozmawiać o rzeczach wielkich, pokazując tym samym, jacy jesteśmy...

– O jakich wielkich? Znaczą piramidy masz na myśli czy penisy?

– Kaśka, głupia jesteś, ani piramidy, ani penisy, tylko duchowość, wibracje Wszechświata, dobro, duszę... Idee. I te takie... różne.

– I ktoś nam za to zapłaci?

– No, nie, ale pośrednio...

– O Jezu, aleś nawalił, no zatrzymaj się, bo mnie na kibel ciśnie, jesteś sraczkogenny. – Oliwia mogła sobie pozwolić na o wiele więcej, wiedziała o tym, bo sypiała z Maksem.

Kaśka też mogła sobie pozwolić na o wiele więcej, bo oczywiście też sypiała z Maksem, choć ani jedna, ani druga nie podejrzywała, że nie jest tą jedyną.

Zresztą nawet gdyby.

Maks seks uprawiał kompulsywnie. I wcale się tego nie wstydził.

– No bo patrzcie – powiedział, zjeżdżając na stację benzynową, która była jakimś cudem otwarta mimo tego, że był pierwszy dzień świąt, a plastikowy renifer i mikołaj z workiem prezentów stojący obok wjazdu zostały przez kogoś rozjechane. – Siedzimy, a Kaśka zamiast mówić, że się spociła, daje tekst, że czuje wibracje Wszechświata i że ten Wszechświat jej mówi, że ją wspiera, a na to Oliwia mówi, że jej dusza zaczyna płonąć.

– Dusza czy dupa? – zapytała z zaciekawieniem Oliwia.

– Przestań! Nie pozwolę sobie tego spaskudzić! Mamy szansę się wybić! Przecież z tego hauntingu to normalnie relacje telewizyjne pójdą, może nawet w świat!

I w pewnym sensie miał rację. Wszechświat się postarał. Nawet bardzo się postarał, żeby sprawić mu przyjemność. Co prawda, nie miał najmniejszego pojęcia o jego istnieniu, ale co to ma za znaczenie?

\*\*\*

Oba samochody podjechały pod hotel prawie równocześnie.

Osoby w nich siedzące udawały, że nie widzą niczego zaskakującego w tym fakcie.

Z pierwszego wysiadła Justyna, z drugiego Oliwia, popatrzyły na siebie z wrogością godną lepszej sprawy, potem popatrzyły na zaśnieżony podjazd.

Obie chciały jakoś skomentować dziwną bryłę klocka i jego niezbyt powalającą urodę, ale zamarły wpatrzone w coś, co leżało pod jednym z okien.

Miało rozrzucone ręce i nogi oraz oczy wpatrzone w niebo. Było też bardzo pomarszczone i nieduże.

– Kurwa, zwłoki? – zapytała dość ogłędnie Oliwia.

– No... – odpowiedziała Justyna. Zwłoki zmrzyły oczy. Stęknęły i usiadły.

– Jakie tam zwłoki! Orła sobie chciałam walnąć, ale go wywinęłam! A wy kto? Rezerwacje macie?

– Aaa, ale...

Do otępiałych dziewczyn dołączył Maks.

– No czego? – mruknęły zwłoki, już całkiem żywe, otrzepując się zawzięcie z resztek śniegu. – Właścicielką jestem!

– Bycie babką żony właściciela jeszcze nie czyni cię właścicielką! – W drzwiach pojawiła się postawna sylwetka Winicjusza. Zdecydowanie niezadowolonego. A może nawet wściekłego.

Prawdopodobnie wyszedł powitać swoich gości, ale natknął się na staruszkę i zdenerwował jej zachowaniem.

– A co, miałam im wiązki genealogicznego chrustu jak chłopu na miedzy przedstawiać?

– Tylko po co tarzasz się w śniegu? Żeby ludzi mi straszyć? Nie starczą już twoje popisy w jadalni, o salonie nie mówiąc?

– Konserwuję się jak generałowa Zajączkowa! Zimno odmładza. A ja mam apetyt na życie!

Kobieta może nie wyglądała na zakonserwowaną, ale biła od niej aura zdecydowania i pewności siebie. Winicjusz chyba jej nie lubił.

– No, ciebie to już nic nie odmłodzi! Przecież jesteś zmarszczona jak suszona grucha z wigilijnego kompotu! – Winicjusz wyraźnie nie pałał miłością do swojej... hmm, do babki swojej żony.

– A ty jeszcze starszy ode mnie jesteś, choć młodszy o dwadzieścia lat. Ty nie tylko orła byś nie zrobił, ale nawet o tym nie pomyślał, masz mózg zjełczalej ameby! – wrzasnęła staruszka, zadowolona z zamieszania.

Winicjusz poczerwieniał i zaczął sapać jak lokomotywa.

Zanosilo się na jakieś rękoczyni.

– Proszę państwa, ameba nie ma mózgu! – Robert wysiadł z samochodu i przez chwilę słuchał tej kłótni rodzinnej, która w hotelu nie powinna mieć miejsca, w żadnym hotelu i w żadnym razie, ale tu jakoś chyba nawet pasowała, tych dwoje najwyraźniej od zawsze ze sobą wojowało na słowa. – A my marzniemy!

Wszyscy zaczęli tupać i dreptać w śniegu, który jakimś cudem tu jeszcze był.

To znaczy nie było go dużo, ale w nocy trochę popadało. Nie był to świąteczny kataklizm, a właściwie był, bo śnieg nie padał w Wigilię, a wtedy to się go najbardziej chce, ale popadał nocą. Owszem, było w miarę ładnie, tylko trochę za późno.

I trochę zimno oraz, co najważniejsze, śnieg właśnie powoli zmieniał się w breję, powoli, ale zdecydowanie jego biel zadeptywana przez przechodniów coraz liczniejszych, spieszących do kościoła, zmieniała kolor na burość.

Ludziom trudno dogodzić, jak pada, to „z nieba leci białe gówno”, jak nie pada, to „znów paskudne święta bez śniegu”, jak mróz, to źle, jak upał jeszcze gorzej, ale taka już ludzka natura.

Hotel wyglądał bardzo przeciętnie, a nawet brzydko. O ile tak można powiedzieć o bardzo pospolitych hotelach. Żadnych zdobień, żadnych cudów, klocek i tyle. A właściwie dwa piętra klocka.

Nie było w nim nic ładnego. Nic wyjątkowego, co przykuwałoby wzrok, oprócz może dziwnej postaci na drugim piętrze, która stała w oknie, ale tak jakby na parapecie, bo widać ją było całą i patrzyła na nich, trzymając w ręku jakiś przedmiot.

I była poplamiona czerwienią.

Gdyby nie święta, ktoś mógłby pomyśleć, że to krew, ale tak wszyscy pomyśleli, że ma na sobie szlafrok w gwiazdy betlejemskie.

Dookoła było pusto, trochę krzaków, z boku plac z jakimiś maszynami, parking. Kilka drzew. Była też jakaś rzeźba, ale nie z tych człekokształtnych. Przedstawiała chyba stos kamieni i jako taka była naprawdę wiarygodna, dopóki nie przeczytało się tabliczki, na której napisano, że jest to „Energia Feniksa”.

Jako że nikt nie wie, jak wygląda energia, nikt też nigdy nie widział Feniksa, to ta rzeźba mogła być wiarygodna, a nawet naturalistyczna.

Zarosła jakimś zielskiem, które teraz zeschło i sterczało ze śniegu wcale nie kusząco.

Budynek był oczywiście odświętnie przystrojony. Ta odświętność była nieco chałupnicza. Owszem, ręcznie wykonane ozdoby są w cenie, ale nie wszędzie i nie każdy powinien je wykonywać, a jeszcze mniej pokazywać. Takie miejsca jak hotele powinny jednak być ozdabiane nieco bardziej profesjonalnie, a światelka po 4,90 za kilometr nie powinny być kupowane na kilometry.

Była też choinka na zewnątrz. Z braku choinki było to jakieś inne drzewko, już teraz bezlistne, które ozdobiono papierowymi łańcuchami, gnijącymi wcale nie uroczo we wszechobecnej wilgoci.

Idąc za właścicielem, wszyscy weszli do środka.

Recepcja była taka jak wszędzie. Bezosobowa i pusta. Jakieś fotele, lada, szafka na klucze do pokoi, nic szczególnego.

Teraz ozdobiona przepisowo iglakopodobnym plastikiem i światelkami, wyglądała trochę odświętniej niż zazwyczaj. Zresztą jak się potem przekonali, wszędzie było tak samo. I w pokojach, i na korytarzach, i w sali restauracyjnej. To tu, to tam stały sztuczne stroiki, które wyglądały bardziej na nagrobne niż stołowe, a w każdym większym pomieszczeniu królowała sztuczna choinka przystrojona jak popadło. Dawała odrobinę świątecznej atmosfery, ale przecież ta atmosfera nie była tu najważniejsza. Ludzie nie przyjechali tutaj na święta, pobyt w hotelu był jedynie dodatkiem do innych, bardziej świątecznych imprez, więc nie było sensu ponosić dodatkowych kosztów.

Winicjusz był oszczędny.

No i gdzie potem trzymać te wszystkie śmieci?

Bo to jednak były śmieci. Niestety kosztowne i potrzebne co roku.

Cały hotel umeblowany był mniej więcej i jako tako. Próżno byłoby tu szukać łóżek z zagłówkami i baldachimami. Były za to trochę kolonijne tapczany, szafki nocne i wystrój, który nad morzem, a choć tego zimą nie było widać, był to hotel nadmorski, królował we wszystkich hotelach i pensjonatach nastawionych na bardzo chwilowych i niezbyt zamożnych turystów.

– Zośka, daj państwu pokoje, te VIP plus! – zawołał Winicjusz do zmywającej podłogę mopem recepcjonistki, która się nawet nie skrzywiła, tak więc albo robiła na dwa etaty jako sprzątaczką i recepcjonistką, albo tak to tu po prostu działało.

Pokoje VIP plus były wizytówką hotelu i każdy hotel takie ma, a jeżeli nie ma, to naprawdę popełnia błąd. To pokoje, gdzie krany nie ciekną, tynki nie odpadają, a w telewizorze da się złapać trzysta cztery kanały, podczas gdy w innych pokojach tylko cztery.

Dodatkowo wystrój jest nieco inny.

– To ile tych pokoi mam dać? Wszystkie? Czy jeden dla bab, drugi dla chłopów? – zapytała kobieta obcesowo.

– O nie! – wrzasnęła Oliwia. – Ja z fioletową paskudą nie śpię! Możemy wziąć dwuosobowy, czyli Kaśka i ja, ale to coś z nami nie śpi!

To coś, czyli Justyna, wcale się tym nie przejęło. Była tak inna od swoich koleżanek po fachu, że nie miała najmniejszej ochoty dzielić z nimi pokoju, a tym bardziej łazienki, w której Oliwia i Kaśka potrafiły spędzić trzy godziny dziennie, żeby zrobić sobie pobieżny makijaż.

– Dobra, dwa dla pań i dwa dla panów?

Wszyscy się na to zgodzili.

Robert i Łukasz mogli bez trudu pomieścić się w pokoju dwuosobowym. Spali już nie raz i nie dwa w o wiele gorzych warunkach. Poza tym całkiem dobrze się dogadywali. Ze sobą.

Maks dostał oddzielny pokój. On z nikim nie potrafiły się dogadać. Był bardzo wybredny i wymagający, jak sam o siebie mówił, albo upierdliwy, jak uważali inni.

– A obiad na którą mam robić, bo Ernestyna poszła do kościoła i kazała mi kurczaka w kapuście zrobić, to muszę wiedzieć – zapytała Zośka, która chyba, jak się właśnie okazało, działała na trzech etatach.

– To tak na trzynastą może być – odpowiedział właściciel, po czym po chwili zastanowienia dodał: – ale jak się uda na czternastą, to też nie ma problemu.

Doskonale wiedział, że nie będzie to aż takie proste.

– I jeszcze jakieś biuro by się przydało – powiedział Robert. – Nie będziemy sprzętu w pokojach trzymać, bo to różnie bywa. Czasami coś trzeba nocą sprawdzić, to bieganie po piętrach budziłoby gości.

Wzięli klucze i rozeszli się do swoich pokoi, po czym nieco osłupieli, ale nie dali tego po sobie poznać.

Kaśka i Oliwia dostały pokój z podwójnym łóżem w stylu Las Vegas na różowo.

Justyna została zakwaterowana w pokoju słodkiej lolitki, który do niej zupełnie nie pasował. Panowie dostali „męskie jaskinie” – Maks z fototapetą dobrze zaopatrzonego baru, a Robert i Łukasz pokój łowiecki z rogami i łbem niedźwiedzia albo czegoś, co go udawało.

Cuchnęło tam domestosem, ale Zośka oświadczyła, że się wywietrzy.

– W misiu robaki się załęgły i trzeba było przyskać.

Mimo robaków pokoje były, albo choć miały być, luksusowe.

Były to wyobrażenia luksusu, którym Winicjusz hołdował. Dla kobiet na słodko, dla panów na walecznie.

Pokoje, co prawda dziwiły, ale jak się potem okazało, nie były standardem. Wszystkie inne wyposażone były normalnie.

A nawet skromnie. Te cztery, plus piąty „rodzinny”, z plakatami ze *Świata według Bundych* stanowiły coś w rodzaju zabezpieczenia na wypadek niespodziewanie ważnych gości.

Mina pewnej pani prokurator, która przyjechała kiedyś służbowo i dostała pokój Lolity, była bezcenna.

Za wszystko inne Winicjusz zapłacił wezwaniem do sądu, ale jakoś mu się upiekło.

\*\*\*

Kurczak w czerwonej kapuście, podany na obiad, stał się dla wszystkich wielkim wyzwaniem.

Wszyscy zakładali, że jest jadalny, ale nikt nie chciał go jeść.

Jeżeli przyjdzie wam kiedyś do głowy pomysł na to danie, to lepiej nie gotować kapusty i kurczaka razem – wiadomo, owszem, więcej garów do zmywania, a smak i tak ten sam, ale nie należy zapominać o widokach.

Niby to truizm, ale ludzie naprawdę jedzą przede wszystkim oczami.

Poukładane malowniczo na czerwonej kapuście obok żółtych ziemniaczków kawałki kurczaka były... zielone. Polyskiwały tłuszczem i piękną, soczystą chińską zielenią.

Wszyscy, którzy weszli do jadalni i zerknęli na półmiski, zastanawiali się, jakim cudem hotel podaje mięso dinozaura.

I skąd je wziął.

Justyna z chłopakami usiedli przy jednym stoliku, Duchacze przy drugim. Ze zdziwieniem zauważyli zasuszoną staruszkę z podjazdu pozerającą co się da, mimo koloru.

Sala nie była pusta.

Trzy zsunięte stoliki okupowali bladzi młodzieńcy z wyraźnymi objawami kaca gibanta. Ten „gibant” targał nimi na wszystkie strony i trudno było na nich patrzeć bez zgrozy.

Była to grupa z wieczoru kawalerskiego, która właśnie robiła podkład pod wesele.

Im zielony kurczak zupełnie nie wchodził.

Jakaś kobieta z laską pozująca na Morticię Addams, ale wyglądająca jak jej własna babka. Babka Morticii. Była więc chuda, obleczona w czerń, pomarszczona i siwa, a jej siwizna należała do tych brzydkich, przypominała zjełczały sos serowy z pieprzem.

Były też jakieś małżeństwa. Z długim stażem. Widać to było nie tylko po tym, że te pary siedziały razem, ale też po tym, że na siebie warczały, zamiast rozmawiać.

Było też kilka pojedynczych osób.

W zasadzie ludzi było sporo. Poza grupą kawalersko-weselną wszyscy byli w gościach, to znaczy przyjechali do rodzin, ale woleli spać w hotelu. To wygodne dla obu stron.

Rodzinie pozwala odpocząć po wkurzającym gościu, a gościowi odprężyć się przy kieliszku i całym dniu udawania szczerzej abstynencji albo cnót wszelakich.

Przecież nie po to człowiek jedzie do ciotki na drugi koniec Polski, albo nawet i świata, żeby jej się przyznać, że nie jest supermenem, nie sra dolarami, a zasady moralne ma dokładnie tam gdzie hemoroidy.

To by było przykre, a czasami i niekorzystne finansowo.

Rodzinne spotkania tylko na tym zyskują, bo żona, którą zapytano, „który to miesiąc?”, nie zabije ciotki we śnie, choć to nie ciąża, ale sadło, a wujek, który nachla się pod korek i maca wszystko, co ma puls i cycki (a czasami sam puls wystarczy), nie zostanie pozbawiony jąder zardzewiałym nożykiem do warzyw, tylko dlatego, że zablądził i pomylił łóżka.

Kłopoty mieszkaniowe czasami ratują ludziom życie.

– Przygotowałem dla was biuro – oświadczył Winicjusz, stając tak, że ani Duchacze, ani DrDuch nie wiedzieli, do kogo to powiedział.

– Aaale, jedno? – zdziwiła się Oliwia, która wyraźnie zaczęła nadrabiać pewnością siebie i podnosić u Maksa swoje notowania.

– A co? Nie wystarczy? Jest duże, chyba się nie pogryziecie – burknął Winicjusz.

Był trochę zawiedziony. Spodziewał się ludzi trochę może starszych, trochę może stateczniejszych i z mniejszą ilością gołego cycka na kilometr kwadratowy, bo właśnie żona zrobiła mu awanturę o te dwie „cycate turystki” z pokoju dla VIP-ów.

Zawsze mu robiła awantury o turystki, jakby nie miały prawa przyjeżdżać, a jeżeli już, to powinny być płaskie, brzydkie i najchętniej bezzębne.

Osaczała go swoją wszechobecną biuściastością i podejrzeniami, do których nie miała prawa. Nie to, że nie zdradzał, zdradzał, ale ona prawa nie miała.

Dlatego miał nadzieję, że certyfikacja będzie odbywać się w warunkach nieco bardziej statecznych.

W końcu mieli zajmować się certyfikacją nawiedzeń, a nie sprawdzaniem przydatności hotelu do celów sekstury-styki.

– A tu mam dla was materiały – dodał po cichu, rzucając po kopercie na każdy z dwóch stolików – ale błagam, nie przy gościach!

Jego zachowanie wydało się obu grupom trochę nielogiczne. Chciał certyfikacji duchów, a nie chciał ich pokazywać gościom? To po co mu była ta certyfikacja? Nie chciał na tym zarobić?

– No sam pan mówił, że to przyciąga...

– Tak, ale przyciąganie to odbywa się potem, najpierw są wrzaski, a tego chciałbym uniknąć.

Bo to jest tak: goście, którzy akurat są w hotelu, kiedy pojawia się nawiedzający duch, wcale nie muszą nim być zachwyceni. Mogą się nawet nim zdenerwować, zasłabnąć, omdleć, pochorować się czy połamać w panicznej ucieczce, a tego nikt nie chce, bo za złamania odpowiada łamiący, czyli hotel, a jeżeli ta ucieczka odbywa się po hotelowych schodach, to jeszcze bardziej paskudnie. Przyjeżdżają komisje, mierzą, sprawdzają i zawsze im wychodzi, że schody trzeba przebudować. Koszmar finansowy.

Najlepiej więc te duchy jakoś porządnie ogłosić.

Dopiero wtedy pojawiają się tacy, którzy za trzecie spotkanie siedemnastego stopnia z duchem niani Hitlera, ciotki Belzebuba czy występnej nałożnicy Henryka XXIII daliby wszystko.

Zresztą to wcale nie muszą być aż tak sławne duchy, choć lepiej, żeby jednak były z czegoś sławne.

Podobno w jednym z kanadyjskich hoteli straszy duch połykacza ognia, co sprawia, że za każdym razem kiedy następuje jakiś pożar, a są częste, bo wciąż przepala się instalacja, goście walą drzwiami i oknami. To znaczy tak: w czasie pożaru drzwiami i oknami walą na zewnątrz, ale potem, przyciągani duchem, wracają, o ile przeżyją.

Czyli ważne, żeby nie przy gościach, choć dla gości załatwić tę sprawę bezszelestnie, a potem dopiero roztrąbić.

I to się trzyma kupy, bo wtedy przyjadą tylko ci, którzy na ducha mają ochotę, a nie że będzie jakieś zaskoczenie i ktoś zrobi sobie krzywdę, wyskakując przez okno.

Z drugiego piętra na beton.

Dla obu stron perspektywa mało kusząca.

\*\*\*

Obie grupy planowały pierwsze akcje na wieczór i noc.

Nie wiadomo dlaczego, ale istnieje przekonanie, że duchy szaleją tylko po nocach. Nikt nie wie, skąd się to przekonanie bierze, bo nie są przecież wampirami, światło słoneczne ich nie zabija, o ile cokolwiek może zabić ducha, a ludzie, czy w dzień, czy w nocy, dostaliby takiego samego zawału, widząc świetlistą postać z głową pod pachą, która pyta o igłę i nitkę, żeby ją sobie przyszyć.

Gdyby bliżej przyjrzeć się temu problemowi, to straszenie nocą jest o wiele mniej skuteczne.

Takie duchy nocą mogą być potraktowane jako zwidy, a zwidy zawsze można zwalić na zbyt obfitą kolację, koszmar senny albo za mocne drinki.

Zwidy dzienne to jednak coś o wiele gorszego.

W dzień skuteczność mogłaby być o wiele wyższa, o ile duchom zależy na zawałach czy kaftanach bezpieczeństwa.

Bo tak naprawdę nie wiadomo, na czym im zależy.

Są takie, które chcą mordować, na zasadzie „ja nie żyję, to i ty nie będziesz”, i takie, które szukają sprawiedliwości, „mnie zamordowano, to ja ciebie zamorduję”, albo takie, które mają do ogarnięcia jakąś misję „muszę go zamordować dla jego własnego dobra albo dla dobra społeczeństwa”. Tak czy tak, duchy nie zwiastują długiego, miłego życia.

Tak więc właściwie duchy są zwiastunem kłopotów.

I choć na kłopotach (zwłaszcza innych ludzi) też da się zarobić, to czasami nie warto próbować.

Po obiedzie z dinozaurzyny, która jednak nikomu poza prateściową nie smakowała, obie grupy znów poszły do biura obejrzeć zdjęcia skrzętnie wykonane przez pracowników hotelu.

Reszta gości z dezaprobatą dłużyła w talerzach, bojąc się tknąć kapusty czy nawet ziemniaków, bo wyglądały na skażone.

Chińska zieleń na talerzu kojarzy się z naprawdę brzydkimi rzeczami.

Zdjęcia, które poszli oglądać, leżały na stoliku w nieładzie. Były to fotografie napisów na lustrach. Innych śladów duchowej działalności nikt nie zdołał zarejestrować. Bardzo trudno fotografuje się wrażenia, zapachy czy odgłosy.

Zdjęcia nie wyglądały dobrze.

To znaczy z fotograficznego punktu widzenia nie były złe, ale tylko tyle.

– Dziecinada – westchnęła Justyna. – On tak sam to robi? Te napisy? I na co liczy, że ktoś się nabierze, a my potwierdzimy tę żenadę?

Justyna zaczęła podejrzewać Winicjusza o to, że sam organizuje te niby-nawiedzenia.

Napisy były. Ktoś je zrobił, ale na zdjęciu wyglądały jak zwykle napisy na zaporowanym lustrze. Ludzie twierdzili, że pojawiły się same, ale zdjęcia nie były w stanie tego pokazać.

Maks przyglądał się im nieco dłużej. „Majteczki w kropeczki” nie zrobiły na nim wrażenia, „zapłacisz mi za to” trochę go ucieszyło, bo było czymś bardziej konkretnym, a „pamiętasz, była jesień” wywołało w nim paroksyzm zgrozy.

– Straszne śmiecie – powiedział. – Naprawdę, czarno to widzę. Takie teksty to masakra, żeby choć napisane krwią, ale tak? Żalodne.

– Ale ktoś to pisze. I robi to po coś.

– Tak, ale nie duchy! – jęknęła Justyna, bo jej też te napisy wydały się śmiesznie nijakie. Bo taki duch mający do dyspozycji lustro, małą przecież powierzchnię do pisania, nie powinien tej przestrzeni marnować na takie coś. Powinien pisać coś o wiele konkretniejszego, a nie bzdety.

Siedzieli zapatrzeni w zdjęcia i tracili resztki nadziei na cokolwiek.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! – Wrzask z jednego z pokoi drugiego piętra poderwał wszystkich na nogi.

Nadzieja wróciła.

Złapali, co się dało, rejestrator, miernik zimnych punktów i kamerę, i ruszyli na górę dokładnie tak jak wszyscy inni goście, w każdym razie ci, który usłyszeli wrzask, a nie dało się go nie usłyszeć.

Hotel był tak zbudowany, że akustyka była w nim idealna na salę koncertową. Tak więc wszystko tu było słychać. Problem w tym, że salą koncertową nie był. Toteż chrapanie pod trójką denerwowało, masturbacje pod osiemnastką wywoływały obrzydzenie, dziwne bzyczenie pod dwunastką budziło po nocach, a ciamkanie pod dziesiątką budziło grozę. Podejrzewano, że gość je ciastka, ale równie dobrze mógł zjadać surową wątrobę, co sugerowało sprzątanie, jakie potem trzeba było wykonać.

Zaciapane krwią ściany były malownicze, ale budziły popłoch.

I co się okazało? Ciamkającym gościem była pewna celebrytka, która zauważyła pierwszy siwy włos na swojej skroni i stwierdziła, zdiagnozowawszy się u dr. Google, że choruje na progerię, a ta, jak wiadomo, objawia się przedwczesnym starzeniem. W Internecie naczytała się, że musi jeść surowe ludzkie wątroby. Całe szczęście poprzestała na kurzych.

Ponieważ zdecydowanie jej nie podeszły, część z nich wylądowała na dywanie, część na ścianie, część w kibelku, ale celebrytka jadła nadal, w końcu dobre lekarstwo nawet nie powinno być smaczne.

Przestrzeń hotelu była marzeniem szalonego akustyka, ewentualnie tej jednej babulinki z drugiego piętra, która wylicza dni płodne sąsiadkom na podstawie jęków z ich łazienek.

Do dwóch z nich wezwwała nawet karetkę, twierdząc, że rodzą nielegalnie i mogą być zagrożeniem dla dziecka.

To jednak w jednym przypadku było zatwardzenie, w drugim papier toaletowy wpadł pod wannę.

W każdym razie, jeżeli ktoś nawet nie chciał wiedzieć, czy sąsiad sapie przez sen, to i tak wiedział, a wszystkie głośniejsze dźwięki niosły się echem po wszystkich pokojach.

\*\*\*

Wrzask trwał i wiele obiecywał.

Kiedy dobiegli do pokoju numer dwadzieścia pięć, tego samego, w którym objawiły się „Majteczki w kropeczki ło ho, ho ho”, zobaczyli kobietę. Była to ta sama, nawiedzona majteczkami turystka. Sterczała w apogeum wrzasku przed uchylonymi drzwiami pokoju.

– Brukselka!!! – Jak na tak straszny wrzask to, co krzyczała, było wręcz szokujące.

– Nawiedziła panią brukselka? – zapytała Justyna, która, tupiąc głanami, jako pierwsza wpadła na piętro. Reszta biegła za nią celowo wolniej w bezpiecznej odległości. Szczególnie kobiety, bo mężczyźni obciążeni byli sprzętem i też biegli wolniej, ale zdecydowanie nie było to celowe.

– Nie, łóżko, brukselka! – wywrzeszczała kobieta, majtając rękoma, jakby chciała coś pokazać albo odgonić stado nietoperzy mózgojadów.

Oliwia wbiegła do pokoju w chwilę potem z miernikiem.

– Mamy zimny punkt! Mamy to! – krzyknęła, chcąc tym samym pokazać, że wie, o co chodzi w tym ich dusznym interesie. Zależało jej na tym, bo nie chciała być gorsza od Kaśki.

Teraz już, co logiczne, paniczne zainteresowanie ogarnęło wszystkich obecnych.

Wbiegli do pokoju, odtrącając kobietę, bo jednak tak obszerny zimny punkt to znalezisko niezwykle.

– W dzień? Hmmm, w sypialni... – Kaśka skrzywiła się z niedowierzaniem. – Dziwne.

Ona też chciała pokazać, jak bardzo się zna.

I to, co zobaczyli, było dziwne.

Koło łóżka widać było sporą kałużę.

A na łóżku piętrzyło się pod kapą coś zimnego.

Justyna zerwała kapę, nie licząc na olśnienie, a jednak go doznała.

– Brukselka? – zapytała, widząc kilkadziesiąt torebek mrożonych warzyw, pośród których przeważała właśnie brukselka.

– Cholera jasna! – Zośka wpadła z miotłą do pomieszczenia i złapała się pod boki. – Co tu robią te warzywa? Pani je tu zostawiła czy to nasze?

– Co robią? A skąd ja mogę wiedzieć? Były tu, jak weszłam! Ktoś chce mnie zabić! Przecież mogłam się położyć i zamarznąć!

Nie mogła, nawet położyć by się nie mogła, bo zleciałaby z tej góry mrozonek, a zamarznąć? Chyba gdyby była nieprzytomna. Może wtedy by sobie coś odmroziła, ale by nie zamarzła. W każdym razie nie na śmierć.

Ludzie lubią być ocalańcami. Lubią czuć, że właśnie uniknęli śmierci. To daje im poczucie wyjątkowości. Jakiś Wszechświat się nimi przejmuje i ich ratuje, choć w stosunku do niego są mniejsi niż wirus w stosunku do Everestu, ale miło jest w coś wierzyć.

Tak więc ocalała z mrozonek turystka czuła się wyjątkowa. Choć miała do losu pretensje. To jednak mogło być coś bardziej romantycznego. Wszystko, tylko nie mrożonki! – krzyczała jej dusza.

Niemniej, romantyczne czy nie – mrożonki dziwiły.

– Czy myślicie, że to był zamach? To był zamach? Prawda? Na moją... – przez chwilę się wahała, bo na myśl przyszło jej, że powinna powiedzieć „cześnie”, ale czci z mrożonką nie da się połączyć – na moją osobę?

– A to pani pokój? – Zośka zapytała o coś, co dla wszystkich było oczywiste, ale ona zdawała sobie sprawę z pewnej niekonsekwencji. – Przecież się pani przeprowadziła. Nie? Po tym, jak wtedy ten duch panią molestował? Nie?

– No tak – odpowiedziała turystka. – Tak, ale jakoś, no jak tak szłam do siebie, to zobaczyłam, że uchylone, i się pomyliłam.

– Czyli to nie pani pokój? – drażyła nieprzejednana Zośka, bo w tej chwili i miejscu była jedynym pracownikiem hotelu i jako jedyna miała doświadczenie w kontaktach z turystami.

Wielu ludzi myśli, że kontakt z każdym polega mniej więcej na tym samym: ty jesteś miły, on jest miły, mamy z głowy, ale w ten trend zdecydowanie nie wpisują się turyści. Oni są na wakacjach, za które zapłacili, a więc mają prawo i prawa. Przez tę jedną dwutygodniową albo tygodniową chwilę w roku uważają, że są lepsi od innych, i tę lepszość egzekwują.

– No nie, teraz mieszkam pod dwadzieścia dwa, po duchu nie mogłam tu zostać! Bałam się, ale widocznie coś mnie ciągnęło, i tak się jakoś pomyliłam, te drzwi są takie same, ale już na wszelki wypadek nie robię sobie gorących kąpiei, trzeba dmuchać na zimne.

– No dobra, ale drzwi drzwiami, co to tu robi? – Kaśka wskazała na łóżkowy masyw górski z mrozonek.

– Oj, nic nie robi! Leży! – warknęła Zośka. – Skoro to nie jej pokój, nie jej warzywo, to pewnie kucharka tu przyniosła, bo zamrażarki do czegoś innego potrzebowała.

To tłumaczenie było tak głupie, że nikt nie wziął tego pod uwagę, ale po chwili wszyscy jakoś to sobie przetłumaczyli. Może tu są takie dziwne zwyczaje? Może kucharka jest wariatką? Może coś się zepsuło? Babcia też zamrożone wiktuały w pierzynie zawijała kiedy myła lodówkę.

– Ale to się przecież rozmrozi? – zdziwiła się Justyna, która jako jedyna była w stanie się przyznać, że wie, do czego służą mrożonki. Dwie pozostałe udawały zbyt uduchowione na kuchenne przyziemności tego świata.

– No rozmrozi się, jasne, ale co z tego? Jakoś się zje, nie? Zaraz pójde sprawdzic, co i jak. – Zośka wzruszyła ramionami.

– A kiedy ona to tu przyniosła? – zdziwił się Maks, bo szkoda mu było tego zimnego punktu, który niestety, choć zimny był, to jednak nie taki jak trzeba.

– A bo ja tam wiem? Od wczoraj jej nie ma, bo jak tylko podała wigilię, to poszła do domu, a rano miała iść do kościoła, ale wszystko naszykowała. Wróci tak przed kolacją, bo na jutro trzeba obiad przygotować, śniadanie to świąteczna zimna płyta, ale poukladać trzeba i dorobić, bo nie wszystko jeszcze gotowe.

– Czyli to nie był zamach? – Turystka była wyraźnie zawiedziona.

– Zamach? Może i był zamach, ale na zdrowy rozsądek, a nie na panią – burknęła Justyna, co oczywiście wywołało awanturę, bo kobieta poszła zdecydowanie w skrót myślowy i wypaliła:



– To znaczy, że ja głupia jestem? Tak? – warknęła, ochłonawszy już z brukselkowego szoku. – I coś, co nosi fioletowe włosy, będzie mnie tu obrażać? W hotelu? No ja na to nie pozwolę!

Justyna westchnęła, zniesmaczona. W pewnym sensie była pracownicą hotelu w tym momencie, albo choć pracownicą właściciela, więc nie mogła sobie pozwolić na awanturę.

– Nie obrażam pani! Nikt nie powiedział, że pani jest głupia, tylko że...

– No wariatka – stwierdziła Oliwia.

– A ta donna z wielkim cycem to umie mówić? – Turystka aż się zakrztusiła. Biusty bywają domeną wielkich zażyci i pożądań. Nie wiadomo dlaczego przeważa nienawiść. I to nie mężczyźni nią zięją.

W tle dało się słyszeć jakąś kolędę, słabo i fałszywie wyspiewaną w jednym z dalszych pokoi.

Śpiewak był wyraźnie głodny i raczej pijany.

*Bo uboga była, rondel z głowy zdjęta, w którym dziecko upichciwszy, ogniem się zajęła.*

Nikt nie zareagował.

Wszyscy chyba też myśleli o jedzeniu, co, zważywszy na dinozaurzynę z kapustą, nie powinno było dziwić.

– Nie o panią mi chodzi, o kucharkę! Zimna płyta na śniadanie? W święta? To bezgustie, kto będzie jadł na śniadanie śledzie i galaretę? Śniadanie to kurasanty i bigle, jakieś seriale z mlekiem, a nie takie kolacyjne dania!

Niestety, o kurasantach nikt tutaj nie słyszał, bigle miały uszy i głośno szczeakały, a seriale były zdecydowanie niestrawne.

– No, że wariatka, to fakt, ja tam nie wiem. Idę sprawdzić, co z tą zamrażarką, może się która zepsuła i dlatego tu przyniosła?

– Nie lepiej było na dwór? Przecież w pokoju na pewno ciepiej.

– No ale jak by to wyglądało? – Zośka wzruszyła ramionami po raz kolejny.

– No nie wiem, przecież nie musiała tego na trawnik wynosić.

– Święta są, nie mogła tak latać z mrożonkami, to by nieładnie wyglądało! Mało świątecznie! – Zośka była wielbielką bożonarodzeniowej świąteczności.

– Czyli duch! – oświadczyła Kaśka.

O ile wszystkim innym wyobrażenie sobie ducha z torbą mrożonki pod pachą albo w zębach sprawiało poważną trudność, Kaśce wydawało się to w jakiś sposób możliwe.

– No to jak? Rejestrujemy coś?

– Daj spokój – obruszył się Maks. – To jest brukselka! Rozumiesz? Brukselka, nie Bruksela, tego się nie da pięknie pokazać, a co tu jeszcze jest? Stary tapczan i plamy na podłodze? To nie są moje, nasze – poprawił się szybko – klimaty!

– Są czy nie są, ale tu nic nie ma, nic nadprzyrodzonego, niestety! – Justyna w całym tym zamieszaniu zdążyła już trochę się rozejrzeć, zrobić pomiary. Pooglądać, co się da, i nic nie znalazła.

Wtedy na piętrze pojawiła się Morticia Addams.

– Co to za zbiegowisko, chciałam się przespać, zanim odwiedzę rodzinę! A tu co? Pieprzony konkurs stepowania? Może jeszcze Lulajże Jezuniu wystepujecie, co?

Nikt jej nie odpowiedział.

– Tu pani mieszka? W tym pokoju? – zdziwili się mniej więcej wszyscy.

– Oczywiście, że nie, ale tupiecie, a na dole słycać! I wrzaski słycać, i wszystko! Słyszałam, że na tym piętrze ktoś uprawiał seks! To nie do pomyślenia!

Nie wiadomo, czy kobieta zdawała sobie sprawę, że nie nocuje w klasztorze, ale jej oświadczenie także zdziwiło wszystkich. Niby dobry seks nie jest zły, ale tylko dla tych, którzy go uprawiają, dla reszty już jest.

Nawet Zośka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Przecież tu prawie same chłopcy mieszkają, a ta spod dwudziestkiwójki już się nie nadaje.

– To na pewno duchy! – wrzasnęła Oliwia radośnie, a turystka spod dwudziestkiwójki trzasnęła ją w twarz. Oficjalnie z powodu stresu związanego z nagłym wrzaskiem, nieoficjalnie z powodu zawodu, że jak to, duchy są przecież starsze od niej, a mogą? To dlaczego ona się nie nadaje?

– Co ze mną jest nie tak?! – wrzasnęła po chwili do sprzątaczk i rozplakała się naprawdę szczerze.

Jej szloch był tak straszny, tak lękający i tak żałośliwy, że trudno było ją uspokoić.

Maryla Kotowicz miała dość takiego traktowania, ale nic nie mogła na nie poradzić, była już w niewidzialnym wieku. Bo kobiety to mają tak: kiedy są dziewczynkami, to się je tresuje (masz być grzeczna i nie pyskować, bo nikt cię nie zechce), kiedy są nastolatkami, to się je obgaduje (takie to nieopierzone, a kolczyk w pępku ma, no świat się

kończy, jak ona dziecko urodzi, toż taki kolczyk może dziecku zaszkodzić, w główkę się wbić albo co?), potem, kiedy są młodymi kobietami, wszyscy widzą tylko cycki i brzuch, bo każdy pyta, kiedy dziecko, a potem przez jakiś czas ich nie ma, znikają, wracają dopiero jako babcie do pilnowania dzieci i do utyskiwania na to, że zajmują miejsca w kolejce do specjalistów albo do kasy w Biedronce.

A ona czuła, że jeszcze istnieje.

Wbrew światu czuła to i zamierzała to pokazać. Nie miała zamiaru dogorywać na mieliźnie życia emocjonalnego i seksualnego z dala od wszystkiego i wszystkich.

\*\*\*

Morticia Addams miała na imię Lena i była biedną, małą, kulawą i zasuszoną staruszką. Mniej więcej była. Czasami była też wredną harpią i zdecydowanie częściej była harpią niż kimkolwiek innym.

I to w sobie naprawdę lubiła.

Hołdowała zasadzie, że jeżeli ludzie cię nie lubią, to przynajmniej masz spokój od kretyków.

Należała do tych starszych pań, które sumiennie, do trzeciego pokolenia, sprawdzają przy ładzie mięsnej rodów rodziców kurczaka, z którego zrobiono pasztet drobiowy, po czym rezygnują, bo jednak wolą szynkę. I wtedy zaczynają te same procedury w stosunku do rodziców świni i jej hodowców.

Całe szczęście, że nie kupują maku na ziarnka, ale gdyby im pozwolono, to kupowałyby po szesnaście ziaren, sprawdzając każde z certyfikatem nieGMOwatości.

Była też doskonałym monitoringiem osiedlowym. Wiedziała, kto nosi za krótkie sukienki, kto nie chodzi do kościoła i kto prowadzi się niemoralnie, ale zapytana, kto skakał wczoraj po samochodach i narobił szkód na kilka tysięcy złotych, odpowiadała, że to nie jej sprawa, bo ona nie jest od pilnowania!

Przyjechała do rodziny i w zasadzie dużo czasu spędzała z najbliższymi, ale większość jednak w hotelu, bo tak było jej wygodniej.

Rodzinie pewnie też, zważywszy na jej naturę, a więc postanowiła spędzić w hotelu całe święta i czas między świętami, przywitać nowy rok z najbliższymi, ale sylwestra spędzić bardziej w hotelu.

Ludzie tuż przed świętami rozdarci pomiędzy przyjemnością a obowiązkiem decydują się na pewne ustępstwa wobec swoich rodzin, myśląc, że no cóż, są święta, trzeba je jakoś przeżyć. Stawiają wtedy na szali dwa aspekty, czyli to, czy święta mają być rodzinne, czy udane. Większość jednak wybiera rodzinne i wchodzi w świąteczne piekło przymusu. Tego, co wypada, i tego, co należy. Stawiając na rodzinność i zadowolając tabuny ciotek i wujków, marnują święta sobie.

Lena wołała być dobra dla siebie, a nie dla innych, dlatego święta z rodziną, ale tylko godzinka, dwie dziennie, reszta w hotelu.

Lubiła hotelową atmosferę choćby z powodu prawa do daśków. Marudzenia i odsyłania dań, które jej nie pasowały.

Nie zamierzała być dla ludzi miła – ani dla obsługi, ani dla współtowarzyszki świątecznej doli (można by powiedzieć niedoli, ale to miało się dopiero okazać), dla swoich nie była miła, to dla obcych tym bardziej nie musiała, to nie wchodziło w rachubę, nie wchodziło nawet w zakres jej możliwości, ale była pozbawiona jakichkolwiek zahamowań, więc wcale z tego powodu nie cierpiała.

Teraz miała zamiar wywalczyć ciszę. Popołudniową, potem nocną, jakąkolwiek, byle absolutną.

– No co? Przystaniecie wreszcie się tłuc? Co chwila to samo! Co chwila, a ja przed wizytą u siostry muszę odpocząć! Najpierw latanie w górę i w dół, a teraz to. No przecież ja zawiadomię właściciela! Albo nawet nie wiem... telewizję! Może to was uspokoi! Zboczeńcy! Sami zwyrodnialcy!

– A niech pani zawiadamia, kogo chce – ucieszył się Maks. – My musimy pracować!

Pomysł mu się spodobał, ale sprowadzenie ekipy telewizyjnej, nawet lokalnej, do zakłócania ciszy w święta było wręcz niewykonalne. Taka ekipa pewnie by i do pożaru nie przyjechała, a cóż dopiero do tupotu i wrzasków.

Marzenia o pragnących nagrać Duchaczy ekipach telewizyjnych okazywały się coraz bardziej nierealne.

\*\*\*

– No dawajcie, dziewczyny! Przecież się nie pogryziemy – stwierdził Robert i zachęcił Kaśkę i Oliwię do wejścia do biura, na zaimprovizowaną tam naradę. Gdyby to samo powiedziała Justyna, pewnie by ją zignorowały albo obrzuciły pogardliwymi spojrzzeniami, ale Robert był przystojny, a one mężczyzn lubiły.

Oczywiście sypianie z Maksem było zobowiązaniem do pewnego rodzaju lojalności, więc sypiać z Robertem chwilowo nie mogły, ale w życiu się różnie układa i trzeba mieć coś w zapasie.

Wszyscy więc weszli i usiedli przy zsuniętych stolikach, trochę zakłopotani, bo nie było wiadomo, czego to zebra-  
nie będzie dotyczyć i dlaczego akurat Robert je zorganizował.

– Czyli duchy są? – zapytał Maks, leniwie dłubiąc w zębach wykałaczką, żeby pokazać, jaki jest superwyuluzowany.

– Podobno są – odpowiedziała mu Justyna.

– Dobra i o to chodzi – westchnął Robert.

– O to?

– No właśnie o to! Bo sprawdzałem wszystko po kolei i nie mam pojęcia, co to może być za duch. Nic tu nie pasuje.  
Duch w takim miejscu?

– Może jakiś tutejszy, w sensie hotelowy? No nie wiem. Coś tu się stało czy jak i ktoś duchowo tu utknął?

– Nic tu nie było, raz jakiś kelner zleciał z dachu, raczej nie przeżył. No ale kelnerzy nawet na służbie rzadko zo-  
stają duchami, a co dopiero po.

Bo gdyby tak się przyjrzeć, to w zawodzie ducha nie ma specjalnego egalitaryzmu, straszą księżniczki, ale nie po-  
mywaczki, rycerze, ale nie dentyści, w Ameryce to trochę się upowszechniło i zdarzają się duchy prostytutek, ale nie  
u nas.

– To musiałyby być jakiś świeży duch, a one przecież nie od razu się pojawiają i dlaczego kelner? Księżniczka to by  
się jeszcze dało zrozumieć.

– Świeży jak świeży, to sprawa jeszcze z PRL-u, z czasów, kiedy tu był hotel robotniczy.

– W hotelu robotniczym mieli kelnerów? – zdziwiła się Oliwia, która o PRL-u nawet się nie uczyła, bo szkołę omi-  
jała szerokim łukiem.

– Nie mieli, ale mógł tu mieszkać, a pracować gdzieś w miasteczku, zresztą takie hotele likwidowano dopiero  
w latach dziewięćdziesiątych. To już jest trzydzieści lat. Mógł się zadomowić, nieoficjalnie się mówi, że duchy poni-  
żej trzydziestu lat od daty wypadku pojawiają się rzadko, no chyba że to była zbrodnia, to wystarczy dwadzieścia,  
a nawet piętnaście, a jak to jakaś sprawa osobista, związana z kimś z ludzi mieszkających czy przebywających w po-  
bliżu, to jeszcze mniej.

– A ten kelner to wypadek? – zainteresowała się Justyna.

– No podobno tak, jak inaczej by spadł z dachu? – prychnęła Kaśka. Rywalizacja z Justyną była jej niepisany obo-  
wiązkiem.

– Może ktoś go zrzucił? – zasugerował Robert.

– No dobra, ale co nam to daje? – Maks wzruszył ramionami i aż jęknął, bo w tym samym momencie wbił sobie  
wykałaczkę w dziąsło. To pytanie miało podtekst. Taki duch nie był zbyt elegancki. Biała dama w porządku, czarny  
rycerz może być, ale to? Kelner? Jaki miałby być kelner, żeby był straszny? Chyba tylko pijany.

Pijany kelner na dachu? No cóż, w żaden sposób nie wyglądało to dobrze. Żadnego romantyzmu.

– Ej, słuchajcie, a może właśnie ktoś stąd jest katalizatorem. Ktoś się pojawił i przywłókł ducha ze sobą?

O duchu przywleczonym przez osobę będącą katalizatorem (nieświadomym na dodatek) mówiło się wiele i były to  
opowieści ciekawe. Pojawiał się ktoś, nagle wraz z nim coś zaczynało się dziać, było istne szaleństwo, krzyki, wycie,  
tupanie, ale zazwyczaj okazywało się, że to albo skarbówka, albo sanepid.

– No super, to musielibyśmy sprawdzać ludzi, nie możemy, nikt nam na to nie pozwoli. – Robert był realistą.

– Niekoniecznie. Trzeba zadzwonić do właściciela i spytać dokładnie, co i jak, może coś pamięta?

– No jak? Pamięta? Co miałby pamiętać? – Oliwia nie miała co do tego dobrych przeczuć.

– No, kto na przykład... Jakieś księgi czy co? Co się działo? Jak się zaczęło?

Telefon do właściciela sprawił, że dosłownie po chwili zamiast niego pojawiły się w biurze trzy kobiety.

– Dzień dobry, Rita, jestem żoną pana Warkota Winicjusza, nie ma go, gdzieś polazł, ale my możemy państwu po-  
móc, to moja mama Marianna Cuch. – Tęga kobieta przedstawiła swoją nieco starszą kopię. – A to moja babcia. –  
Wskazała małą, zasuszoną staruszkę.

Zasuszone zwłoki sprzed hotelu uśmiechnęły się radośnie.

– My to już się zdążyliśmy poznać – powiedziała staruszka, siadając.

– Co wiedzą państwo, to znaczą panie – poprawił się Maks, który przejął teraz inicjatywę, aby natychmiast właścici-  
ele wiedzieli, kto tu rządzi i kto jest najważniejszy – na temat ducha?

Kobiety popatrzyły na siebie, zniechęcone.

– Ja to mam nadzieję, że go nie ma, że to jakiś wyglup, mama uważa, że jest, ale jest nieszkodliwy, a babcia pa-  
nicznie się boi.

Trzy podejścia do tego samego problemu i każde zdecydowanie inne nie dawały wielkich szans na szybkie rozwiązanie sprawy.

– Czyli?

– Czyli naprawdę nic nie wiemy. – Marianna Cuch, czyli matka właścicielki, a może tylko żony właściciela, bo przecież nie wiedzieli, jak się sprawy mają, westchnęła ciężko. – To się zaczęło kilka miesięcy temu.

– Ale tak samo z siebie? Czy coś to wywołało? – zapytała Justyna.

– Czyli co? – zapytała kobieta. – Co niby miałyby albo mogło to wywołać?

– Jakiś kataklizm może?

– No niech pani nie przesadza, kataklizm? Jakoś w tamtym czasie rzeczywiście kanalizacja nam poszła w diabły, ale to nie miało nic wspólnego z duchami.

– Mogło mieć – zasugerowała Kaśka.

– Duchy nie srają – burknęła Rita. – Nie, że w nie wierzę, ale no bez przesady, duchy i kanalizacja? No bez przesady, przecież ta konferencja.

– A jaka to była konferencja? – Justyna, widząc hotel i wszystko, co oferował, spodziewała się konferencji księgowych niższego szczebla albo zjazdu przedszkolank, no ale to chyba z duchami nie mogło mieć nic wspólnego. Nie ma nic mniej uduchowionego niż księgowi i przedszkolanki.

– Była tu pastorka z jakiejś kongregacji Światło Mocy czy coś, z jakiegoś zboru, nie wiem...

– Nie no taka niby ta moja córka mądra, a wszystko miesza. Gdzie Światło Mocy? Jakiej mocy? Nocy było, Światło Nocy! – oświadczyła Marianna.

– A co to zmienia?

– Zmienia, bo to był zlot prostytutek! Tylko Winicjusz nie chciał, żeby w księgach to było, to je jako jakieś zgromadzenie podłączył. Wstyd trochę było, no i się bał, żeby ludzie nie zaczęli gadać.

– A rozumiem, wtedy pojawiły się te duchy?

– Nie, wtedy nie, wtedy się kanalizacja spaprała, i to po całości, wszystkie te baby to do kibla za kuchnią musiały chodzić, bo tylko jeden działał.

– A te w pokojach?

– Hydraulicy zabronili używać, bo dołem się wylewało.

– To dlaczego te kobiety nie zmieniły hotelu?

Proste rozwiązanie podpowiedziane przez rozsądną Justynę wcale nie okazało się aż takie proste.

– A zna pan hotele z zachwytem reagujące na grupę prostytutek? I to takich w każdym wieku? Nawet emerytowane? Taką grupę, co akurat zakłada związek zawodowy?

Nikt nic nie powiedział.

– No właśnie – stwierdziła z przekąsem Marianna. – Winicjuszowi one nie przeszkadzały, no a potem fakt, pojawiły się duchy. Te napisy... Tyle że nie mogło to mieć nic wspólnego z tymi paniami – po tym słowie skrzywiła się niechętnie – bo one tu już nie wróciły.

– Może coś przywiozły? Zapomniały zabrać? Zostawiły?

– Dwóch ochroniarzy załapało się na rzeźączkę, ale tylko tyle pozostawiły po sobie. No i jeden telewizor zniknął, ale był stary, z brzuchem, to go Winicjusz nawet nie zgłaszał.

– Czy to może być duch rzeźączki? – zapytała Oliwia z zachwytem i nawet Kaśka popukała się w czoło, bo choć w przestrzeni publicznej obowiązywał ich pewien kod lojalności, to jednak Oliwia wzbudzała w Kaście graniczne uczucia.

– Winicjusz może wam więcej powiedzieć, ale nie ma go od śniadania.

– A co z tymi mrożonkami? Coś się już wyjaśniło?

Kobiety popatrzyły po sobie niepewnie.

– Zośka! – wrzasnęła Rita głośno i władczo przez otwarte drzwi. – Co z tymi mrożonkami?

Wyraźnie wiedziały o sprawie z mrożonkami, ale nic więcej; albo ich to nie interesowało, albo zdały się na personel, co właściwie nie powinno dziwić.

Zośka pojawiła się dość szybko, bo po tych korytarzach głos się niósł całkiem dobrze. Miała niepewną minę.

– Z mrożonkami to nie wiem. Sprawdzalam w zamrażarkach, niby wszystkie pełne, w jednej pustawo. Kucharka pewnie miejsce na coś szykowała, bo zdaje się na sylwestra dziczyznę mieli przywieźć.

– Pytałaś jej?

– Kiedy jeszcze nie wróciła. Pewnie zabarłszyła w domu. Jak wróci, to będziemy wiedzieć.

– A co z kolacją?

– Zimna płyta. Jakoś damy radę.

– Tylko żadnego zielonego kurczaka więcej! – wrzasnęła Rita w panice.

– Dobra, dobra! Się pani Ernestyny czepi, jak wróci, bo ja nie umiem gotować. No i mniej więcej kolacja przygotowana, pewnie się tak specjalnie załatwiła, bo przecież pani by jej wolnego nie dała, gości pełno, a tak to będzie awantura, ale ona sobie w domu posiedzi i poświętuje. Tak sobie myślę, że może ona chciała komuś te warzywa opchnąć albo co? Bo ona kombinuje czasami.

– Mrożonki? Opchnąć? Toż to tanie i w każdym sklepie tego pełno!

– A bo ja tam wiem? Zostawiłam to tam jak było, tylko ogrzewanie wyłączyłam, bo szkoda. Pokoju też nie zamknę, bo jakby w nocy po to przyszła, to może nie mieć klucza. Nie chcę, żeby narobiła rabanu.

– A nie możesz przenieść gdzieś?

– Nie będę ruszać, bo nie wiem, co do wyrzucenia, a co jeszcze dobre, niech ona sama sobie potem za to płaci, jak ruszę, to później będzie na mnie, kiedy się goście posrajają!

I to była prawda, bo goście mogli się pochorować, a ktoś przecież będzie musiał zapłacić za straty. Winicjusz tego nie popuści.

– Wracajmy do duchów, co? – Maks się wkurzył, że mrożonki nagle stały się ważniejsze od duchów, co przecież nie powinno mieć miejsca. – Jak się objawiały?

– Ło, panie – sapnęła prateściowa właścicielka. – Latały jak posrane po nocach, co noc to wrzask, szczególnie sobie pisanie na lustrach upodobały, ale tam to jakieś takie piosenkowe teksty, jakby romantyczne czy coś i jak ja z koleżankami rozmawiałam, to może chodzić o miłość!

Wiadomość, że zasuszona staruszka ma koleżanki, bardzo wszystkich zaszokowała, bo ludzie teraz nie za bardzo utrzymują ze sobą kontakty, a już w tym wieku to często nie jest kwestia wyboru.

– Czyli duchy byłyby związane z miłością?

– Toż to hotel robotniczy był! Ile od tego wielkich miłości umarło!

– Umarło?

– No bo to takie dziwne? Jak ktoś miał pokój w hotelu i był chętny, to zapraszał.

– I wtedy te miłości? – Umarłe miłości zainteresowały Kaśkę bardzo, jak wszystkie młode kobiety miała w tym kierunku inklinacje spowodowane przedawkowaniem seriali brazylijskich oraz romansów.

– Nie, te miłości to umierały gdzieś tam w domach, a tu kto miał pokój, to zapraszał na seks, a seks wiadomo, lepszy od miłości, bo z miłością nigdy nic nie wiadomo. Szok, ile tu bab z miasta wpadało z wałkami do ciasta! Ile bijatyk było! Bo tu więcej kobiet mieszkało, w przetwórnicy ryb na taśmie to mniej więcej same baby pracowały. No to miały pokoje w hotelu. A chłopcy z miasta stadami tu lażyli, a za nimi żony. O, a jak była awantura, to i ktoś w łeb dostał albo z dachu spadł. – Zamilkła. – Ech – westchnęła – to były piękne czasy, nie to, co teraz, że ci młodzi z nosami w smartfonach siedzą, świata nie widzą, człowiek biedny był, ale jaki szczęśliwy?!

Wszyscy popatrzyli na nią zaszokowani. Pojęcie szczęścia ewoluuje wraz z wiekiem człowieka o tym szczęściu opowiadającego. Ludzie uważają, że „kiedyś” było lepiej, a ludzie nie mieli pieniędzy, byli biedniejsi, ale szczęśliwsi, nie, bzdura, która stara się sprowadzić młodość do stanu „rajskości”. Ludzie tak samo się nienawidzili, bili, zazdrościli innym i okradali, tylko mniej było to widać, bo nie było mediów społecznościowych, a pamięć ludzka potrafi polukrować wspomnienia tak bardzo, że spod słodkości nawet szkielety nie wylażą.

– A jak tu pachniało! – dodała i skrzywiła się, widząc zdziwione spojrzenia siedzących dookoła ludzi.

– Cuchnęło rybą! Przecież tu przetwórnica była, śmierdziało na kilometr zgniłymi rybami bebechami.

– A teraz ludzie do Tajlandii jeżdżą, żeby takie coś wachać! – Zośka się roześmiała.

– No, ale to był naturalny cuch, a nie jakieś sztuczne coś, to było piękne. Te popijawy, te szaleństwa. A ilu od vistuli oślepiło! Mówię wam! Tu w podziemiach była melina, co ją taka jedna prowadziła, to i wódki nigdy nie zabrakło, a teraz co? Narkotyki biorą! Dopalacze! O, zresztą nawet hotel się zmarnował, bo jak dla mnie po co hotel dla bogatych? Tu takich nie ma! Kiedyś to biedny człowiek miał pokój i wiedział, że żyje, a teraz taka przychodzi jedna z drugą z fumami i trzeba koło niej skakać!

– No już ty chyba się koło nich nie naskaczysz – burknęła Rita. – Babciu, przecież chodzi o duchy, a nie o gości!

Wszyscy ucichli, widać było, że istnieją tu zdecydowanie różne odłamy. Duchacze nie chcieli duchów, ale chcieli polowania, DrDuch chciał duchów jak dziecko lizaka, babcia chciała powrotu do dawnych czasów, a właścicielka i jej matka chyba tylko spokoju.

– Kiedy ja uważam, że pani może mieć rację! To może być sprawa związana z hotelem robotniczym, a właściwie z jego mieszkańcami. Tyle że ich nie znamy. – Robert już w głowie naszkicował sobie zakres możliwości. Chciał najpierw stworzyć podbudowę. Jakąś bazę danych. Owszem, jakby się coś objawiło, to chciał działać natychmiast, ale w międzyczasie jakoś ogarnąć historię, żeby może choć trochę wiedzieć, z czym lub z kim ma do czynienia.

– Nikt ich nie zna, a pewnie i nie pozna. Wszystkie papiery były w fabryce, bo to fabryka załatwiała pokoje, a jak ją zamknęli, to i papiery gdzieś przepadły, wiem, bo jakaś dziewczucha ostatnio tu była, no może bardziej kobieta niż dziewczucha. Urodziła się tutaj w pokoju, on teraz to jest dwadzieścia dwa albo dwadzieścia pięć, ale wtedy to mieszkała tu zaciężona dziewczyna, wtedy ciąża to była sprawa wstydliva. Ukrywało się, póki się dało, nikt z brzuchem na wierzchu nie latał! Dziecko nocą urodziła i podrzuciła do innego pokoju chyba, a ten jej absztyfikant to żonaty był, więc dzieciaka na recepcję zaniósł, afera była straszna.

– I co się potem stało?

– A bo ja wiem? Pewnie jakoś to zostało załatwione. Najprościej to dzieciak do domu dziecka, matka dziewczica z odzysku, a niewierny małżonek do domu. I tyle.

– A alimenty?

– A wiadomo, czyje było?

– Dobra, zostawmy to – mruknął z westchnieniem Robert. Czuł, że niczego się nie dowie. – Musimy chyba po prostu poczekać. A coś pani wspominała, że tu ktoś z dachu spadł? – zwrócił się do staruszki.

Roześmiała się radośnie.

– A bo to jeden? Bo oni tam na ten dach chodzili dać sobie po razie – wyjaśniła.

– To znaczy na chłopski seks? – zapytała zafascynowana Kaśka.

– A gdzie tam, dać sobie po pysku! Bo i jak się bili, to wiadomo: któryś padł, któryś spadł, bywało. A co do chłopskiego seksu to nie na dachu. W piwnicach się zdarzał, aż cieć zeza dostał od podglądania.

– A jakiś kelner? Podobno spadł?

– A to ja zupełnie nie wiem, Mam ostatnio słabszą pamięć. – Staruszka się jakoś speszyła. – Nie wiem nic o kelnerze. Nic zupełnie. Naprawdę! Przysięgam.

Wszystkie jej zapewnienia były aż tak głośne i pewne, że od razu wyczuli, że coś jednak jest na rzeczy.

Trzeba to było zbadać.

Sprawa była tym bardziej prosta, że właściciel nie określił niczego jakoś bardzo docelowo.

Mieli coś zrobić i to coś było związane z duchami.

Mieli tam być i w razie czego reagować.

Oczywiście nie był idiotą, choć jego własna żona byłaby w stanie dać się za to pokroić, ale Winicjusz miał swój plan i nie chodziło o to, że będzie udawał ducha czy tego ducha jakoś „zorganizuje”, nie, tu nie zamierzał się nikomu wtrącać. Jego plan polegał na tym, że znał się na ludziach.

Wierzył, że zatrudniając dwie konkurencyjne ekipy, sprowokuje pewne zachowania, które zaowocują jego sukcesem, nie chodziło mu o mordobicie czy coś w tym rodzaju, dlatego wybierając grupy, starał się, żeby w obu były też kobiety, chodziło mu o ambicje. Kobiety potrafią rywalizować i na dodatek podburzają do rywalizacji facetów.

Jak to? Oni znaleźli? A my nie?

A nawet jeśli to się nie uda, to jednak była jedna grupa z parciem na szkło, a to już było coś, bo jeżeli przyjedzie telewizja, to każdy uwierzy, a druga z parciem na wiedzę. Wiedza nie zawsze jest dobra, ale gdyby ta grupa ewentualnie zaprzeczała duchom, byłoby nawet jeszcze lepiej. Ludzie mają chorą wyobraźnię i kochają teorie spiskowe, nic tak nie potwierdza jak zaprzeczenie.

W tej dziedzinie istniała taka swoista zasada Locarda. Otóż ten francuski kryminolog wymyślił sobie, że każda osoba przechodząca przez miejsce zbrodni, taka jak morderca na przykład, coś w tym miejscu pozostawia i coś z niego zabiera. Gdyby ją zastosować do ludzkiej wyobraźni, to każda teoria spiskowa coś w tej wyobraźni pozostawia i coś z niej zabiera, zostawia wątpliwości i chaos, zabiera zdrowy rozsądek, dlatego człowiek przez dłuższy czas wystawiony na działalność mediów społecznościowych i tabloidalnych portali informacyjnych jest podatny na każdą manipulację, nawet tę sztygą grubymi nićmi.

Teraz więc Winicjusz miał szansę dać przyćczka w nos. Komuś. Nie wiedział komu, bo te duchy, a właściwie to, czym i jak się objawiały, to było czyjeś dzieło. Ten ktoś chciał mu zaszkodzić, będzie miał się z pyszna, jeżeli zamiast zaszkodzić, przyczyni się do jego sukcesu.

Było oczywiście możliwe (choć realnie niemożliwe), że ta działalność to jednak duch, a nie człowiek... Nie, to nie było możliwe, ale musiał to założyć, jeżeli chciał coś w tym zakresie osiągnąć.

Nie mógł wynająć tych ekip, nie udając, że wierzy, nie może nie udawać, że wierzy, jeżeli pragnie zejścia prateściowej. Ona zresztą to przyszcz, była inwazyjna i wredna, ale najgorsza była teściowa, gdyby tak obie uduszyć?

To ostatnie wypowiedział na głos, choć nie do końca świadomie.

– Udusić? Chcesz je udusić? – W miejscu, w którym był, było miło i przytulnie i ktoś zadał mu to pytanie przymilnym głosem.

– Nie chodzi o uduszenie, ale o uduszenie – odpowiedział rozleniwionym tonem.

Nie spodziewał się, że homonimy to coś, co zainteresuje jego towarzyszkę. Zresztą w pewnym sensie uduszenie, czyli pozbawienie życia za pomocą duszenia, też powoduje uduszenie, czyli śmierć, a więc przejście w stan ducha, jakkolwiek by to rozumieć.

\* \* \*

Hotelowe pojęcie świąteczności jest dziwne. Wszystko jest jakieś takie tymczasowe i jak wszędzie jest bezosobowo, bezpłciowo, bezdusnie.

Ozdoby i świecidelka tego nie zmieniają. Człowiek czuje się, jakby był zawieszony w czekaniu. Na cokolwiek.

Śnieg padał, czas leciał, wszystko się mieszało i komplikowało.

Spacer był konieczny.

Przed kolacją chcieli sobie obejrzeć miejscowość, a że nie była przesadnie wielka, to, choć jedna grupa poszła w jedną stronę, a druga w drugą, po dwudziestu minutach spotkali się pod urzędem gminy i nie wiedzieli, co robić dalej.

Było ciemno i dość zimno, od strony morza coś wiało, ale z pewnością nie był to wicher. I pewnie by wrócili każdy sobie, gdyby nie tablica informacyjna, taka z daszkiem, który zasypany śniegiem wyglądał nawet ładnie i kapliczkowato.

To jednak nie miało znaczenia. Historia miejscowości za to jak najbardziej.

Borkowo Pokutne było kiedyś za dawnych czasów, dawniejszych niż te słusznie minione, miejscem pokutnym.

Rzadko na takie trafiali, bo były już zapomniane i tak pogańskie, że nikt o nich nigdzie nie pisał, ale tu ktoś się odważył.

Borkowo miało las pokutny.

– Co to za cholerstwo? – zapytała Oliwia, która, jeżeli już, słyszała jedynie o worku pokutnym, bo w sferach modych tak nazywano niezbyt eleganckie sukienki.

– A tu był taki las. – Podeszła do nich Lena, która mimo swojej laseczki ledwie trzymała się śliskiej nawierzchni i wyraźnie miała ochotę na bliski kontakt z glebą.

– No to akurat czytaliśmy – odburknęła Kaśka – ale co to takiego?

– A ty się zamknij, kretynko. – Lena walnęła dziewczynę laseczką. – No przecież nie dałaś mi dojść do słowa. Ludzie tam przychodzili i pokutę na drzewach zostawiali.

– Znaczą jak?

– Zwyczajnie, ktoś coś komuś zmarłemu nabroił, napaskudził, zrobił coś wrednego, ale nie zdążył przeprosić i czuł, że to go dręczy, to przychodził i zostawiał list taki z przeprosinami. No i duch to sobie przeczytał... No i przedstawiał dręczyć.

– A, to. – Robert się roześmiał. – Czytałem o tym. To był stary zwyczaj, jeszcze pogański, ale w niektórych miejscach przetrwał do dzisiaj. Ludzie takie przeprosiny zostawiali na drzewach w specjalnych miejscach, takich podobno nawiedzanych. Policjanci też te miejsca nawiedzali, to znaczy milicjanci, oni też z tych listów korzystali, wiecie, ktoś napisał „przepraszam, że cię okradłem” albo „to zabójstwo to było dla draki, siekiera mi się omskła” czy coś w tym rodzaju i mieli świętą wykrywalność. Przestępcy bywają przesądni. Naprawdę! Niestety potem ten las tutaj zaorali, jak większość tego typu miejsc, i postawili fabrykę, a później hotel.

Borkowo Pokutne dzięki przetwórnicy i hotelowi na dłuższą chwilę stało się w okolicy metropolią, ale ta chwila dawno już minęła.

– Czyli można powiedzieć, że hotel stoi na miejscu dla kogoś świętym? Trudno się dziwić, że tam straszy... Takim nawiedzonym od pra... no pradawna? Pradawności? Może od stu lat? – Oliwia była w swoim żywiole. – Przecież to jest genialne tło do nawiedzeń!

– Możesz mieć rację, kochanie. – Maks westchnął nie bez zawodu. – To pradawne miejsce oddziaływania duchów z osobami zmarłymi, takie cmentarzysko pokuty, nadziei. No, to jest dobre!

– Weż, Maks, nie żartuj. – Robert znów się roześmiał. – A myślisz, że inne domy, miasta, hotele to co? Stoją na ziemi bez przeszłości? Wszędzie są jakieś groby, tylko się o tym nie wie, ale trzeba powiedzieć, że idziemy w dobrym kierunku... A pani to dokąd? Może odprowadzić?

– Nie ma po co, zaraz taksówkę wezmę, do siostry jadę – oświadczyła i podreptała przed siebie posuwistym, groźnym upadkiem kroczeniem.

– A może by tak z tą Zośką pogadać – zaproponowała Justyna – o ile jest tutejsza? Albo z kucharką?

Szli, a właściwie wracali, ramię w ramię do hotelu. Miasteczko było, co prawda, oświetlone i trochę ozdobione świątecznie, ale nie wyglądało pięknie. Pierwszy dzień świąt sprawił, że ludzie siedzieli w domach przed telewizorami, wpatrzeni w szkła kontaktowe, w których mętnił się bimberek albo czysta wyborowa. Do kontaktów jeszcze nie dochodziło. Do tego trzeba jednak trochę więcej niż kolędy i pół litra na łeb, ale chwila moment krew zacznie buzować i pierwsze wezwania do ran klutych i złamań zaczną się nieśmiało pojawiać, żeby gdzieś po północy ruszyć lawinowo.

Rozgrzani wódką i odwiecznymi pretensjami ludzie zaczną rozwiązywać problemy, tworząc nowe. Na pytanie, dlaczego na choince nie ma aniołka od cioci Irenki, dowiedzą się, że ciocia Irenka jest głupią pizdą, obruszą się, pobiją, a w następne święta ktoś ich zapyta, dlaczego nie założył protezy oka, którą musi nosić z powodu, a jakże, aniołka cioci Irenki. Aniołek cioci Irenki stanie się rodzinną legendą, jak sama ciocia Irenka, ale to dopiero po trzech ofiarach śmiertelnych.

Duchacze i DrDuch szli i rozglądali się po sennych uliczkach.

Niby nie powinni się integrować, bo byli dla siebie czymś w rodzaju konkurencji, ale też byli do siebie odrobinę podobni, a z resztą niewiele mieli wspólnego. Byli młodzi, o wiele młodszy od reszty ludzi z hotelu, wliczając w to obsługę i właścicieli, choć to akurat się nie liczyło, bo kto rozmawia z obsługą? Z kim właściciel skutecznie sobie pogaduchy? W hotelu istniały w tym momencie trzy zbiory pełne i niepołączone, które na siebie nie zachodziły. Oni należeli do gości i jako tacy powinni byli się integrować z gośćmi, tyle że nie da się integrować z ludźmi w wieku własnych babek albo w stanie po spożyciu własnych wujków (choć wujków nie spożywali).

\*\*\*

Miasteczko było wymarłe, choć to tu, to tam z daleka przejeżdżały samochody.

Na postój podjechała taksówka, do której wsiadła Lena.

Kierowca nie wyglądał na człowieka pierwszej świeżości, ale czego tu chcieć, był już wieczór.

– Pani Leno! – krzyknęła za nią Justyna. – A kolacja?

Nie uzyskała odpowiedzi, bo taksówka zdążyła już odjechać.

– Weż, zdurniałaś? Do siostry jedzie, po co ma się hotelowym gównem nażerać?

– Zaraz gównem, zaraz gównem. – Obok nich przebiegła zakutana po uszy i oczy Zośka. – Żeby was kucharka nie usłyszała, bo dostałaby wścieklizny, bardzo wrażliwa jest w kwestii gotowania. Ona podobno raz nawet Magdę Gessler spotkała w jednym programie.

– O! I Gessler ją pochwaliła? Ale jaja! Poważnie?!

– A gdzie tam, Gesslerka powiedziała, że Ernestyna dla świń powinna gotować, ale spotkać się spotkały!

– A dokąd pani leci? Przecież zaraz kolacja? – zdziwił się Robert, widząc pośpiech kobiety.

– No właśnie o to chodzi, że zaraz kolacja, a kucharki jak nie było, tak nie ma. Dzwoniłam, ale nie odbiera, w domu stacjonarnego nie mają, to lecę, bo może jej się telefon wylądował albo co? Ona tu zaraz mieszka niedaleko. Może ją zwlokę, jak nie popiła za bardzo?

– A ona pije?

– A kto nie pije? Chyba tylko alkoholiki jakies!

Takie stwierdzenie wcale nie jest nieprawdą, bo pić piją wszyscy, zwłaszcza w święta, po prostu inaczej nie można, bo się szwagier obrazi śmiertelnie albo teść załame nerwowo. W święta trzeba pokazać, że człowiek jest w porządku, czyli do wypitki i do wybitki, kobiety za to mają być do tańca i do różańca, ale jako że w święta się za bardzo nie tańczy, to zostaje różaniec i święta cierpliwość.

A kto może nie pić? Tylko alkoholik jakiś.

Bo jak lekarz zakazał, to jeden nie zaszkoździ. Jak żona nie pozwala, to co się będziesz baby słuchał, a jak jesteś pijany w trupa, to przecież jeszcze rozchodniaczka trzeba wypić.

Świadomość, że kolację przygotowała kucharka, która świniom powinna gotować i chla jak szewc, nikogo nie ucieszyła. Poszli więc trochę dalej i weszli na teren parku maszynowego przy hotelu. Był ogrodzony byle jak, więc



nie było z tym problemu. Parku nikt nie pilnował, ale maszyny zostały chyba dobrze zabezpieczone. Większość pod wiatami i w szopach. Nie było to miejsce, które przyciągało.

– Idealne miejsce na morderstwo – stwierdziła Justyna, która miała wyobraźnię i czytała sporo horrorów oraz bardzo krwawych kryminałów.

– A tam, weź nie strasz! – Oliwia aż się wzdrygnęła. – Kto i kogo by tutaj mordował? Brzydko tu, ciemno, ponuro? Eee, nie.

Tak jakby morderca wybierał miejsce zbrodni ze względu na jego estetykę, a nie przydatność.

– Przecież różnie to bywa. – Justyna wzruszyła ramionami, ale że była okutana w szal i kurtkę, nikt tego nie zauważył. – Nie chodziło mi o nic konkretnego, ale o to, że w takim miejscu zwłoki byłoby łatwo ukryć.

\* \* \*

Winicjusz zdradzał żonę. Nie było to nic nowego, bo robił to po wielokroć i od dawna, ale teraz to było coś innego.

Kiedy dziesięć lat wcześniej poślubił Ritę, ta była zwiewną trzydziestolatką z dużym biustem i figurą modelki.

Teraz nie wyglądała już tak zwiewnie.

Teraz była zawodniczką wagi ciężkiej, i to w sumo. Figurę miała idealną, była po prostu cynamonową kulą, kula zaś to figura idealna, a biust? No cóż, był... jak by to określić? Nieco przejrzały.

Winicjusz nie potrafił zrozumieć, jak mogła się tak zaniedbać. Czyżby myślała, że papierek ją uchroni? Wiele żon ma taką nadzieję, ale to tak nie działa.

Mężowie myślą, oczywiście tylko niektórzy, że oni sami obowiązkowo będą trwać w swoim pięknie mimo upływu czasu, no cóż, na to też „papierek” nie daje gwarancji.

Jego nowa wybranka była jak mgielka. Delikatna, eteryczna, zwiewna i wymagająca. No i niestety interesowała się seksem, ale tylko tym wyuzdanym. Niestety, bo Winicjusz swoje lata miał.

Dlatego doprowadzała Winicjusza do szaleństwa i do wycieńczenia zarazem.

Co ciekawe, nie lubiła jego żony.

Jakoś tak dziwnie wyszło.

\* \* \*

– No i co z kucharką?

– A cholera ją wie – odburknęła Zośka, wytupując śnieg z butów w recepcji. – W domu jej nie ma.

– Ale to co? Minęłyście się?

– Nie bardzo, jej chłop mówił, że w ogóle jej nie było w domu od wczoraj. Może się gdzieś urwała?

– A zdarzało jej się? – Justyna była trochę zaskoczona. Nie знаła przecież tutejszych zwyczajów.

– A bo to raz? Pani, Ernestyna to czasami wiatraczek w dupie miała. Potrafiła zniknąć na kilka dni. Z domu, bo z pracy to tak do dwóch. No ale co robić, ona taka była od zawsze.

– To wy znacie się od dawna? – Justyna zanotowała sobie, że Zośka mogłaby być cennym źródłem informacji na temat duchów.

– Pani, znamy się jak dwa łyse konie albo kobyły, chyba lepiej kobyły – sama się poprawiła. – My to jeszcze za panienek razem na chłopów chodziły. A znikanie to jej jakoś tak w krew weszło.

To stwierdzenie umocniło w Justynie przekonanie, że od Zośki może się czegoś więcej dowiedzieć. Może od kucharki też, ale dopiero po jej powrocie.

– No ale w święta? – Dziewczyna zdawała sobie sprawę z pewnych kłopotów z tym związanych, bo ten hotel oferował wyżywienie świąteczne i niestety nie mógł inaczej. Tu nic innego nie było, w święta nie dało się zjeść „na mieście”, dlatego kucharka była taka ważna. I musiała być, bo inaczej hotel będzie miał kłopoty, a to przecież takie naczynia połączone.

Większość tego typu obiektów w święta przyjmuje gości nie tyle na noclegi, ile na pobyt. Oczywiście o ile goście na coś takiego reflektują, a zazwyczaj reflektują, bo to wygodne.

Dodatkowo pobyt w święta może rzeczywiście być większościami związany z rodziną, ale w takim pakiecie jest też i sylwester, a to kusi, bo rodziny to często matki dzieciom (nie wiadomo dlaczego tak się utarło, bo trudno o matki bezdzietne), które, te matki, imprez nie organizują, bo nie mogą, albo starutkie ciotki, które w sylwestra kładą się o dwudziestą, żeby przeczekać hałasy, Zenka i fajerwerki. A goście takich hoteli mają czasem ochotę się zabawić. Z dala od domów, zobowiązań, rodzin i pracy chcą poszaleć choć odrobinę.

– A i w święta, i bez świąt – westchnęła Zośka – tylko zawsze jakby na krócej. Bo kolacja to jeszcze, śniadanie jakies zrobić. Nie wszyscy będą jedli, bo ci z wesela to pewnie nawet na noc dziś nie wrócą, a jeżeli wrócą, to zarcia nie tkną, to nie ma problemu, ale obiad? Ja nie umiem, do cholery, gotować.

– A do rana nie wróci?

– Cholera ją wie, lepiej dmuchać, niż chuchać!

No i każda gospodyni, a nawet nie gospodyni, tylko zwykła, zapobiegliwa kobieta, która musi ugotować obiad, a do tego dla tabuna gości, i to w święta, wie doskonale, że lepiej zacząć już rano, bo jeżeli za bardzo poluzować terminy, to ziemniaki zdębią, mięso się nie rozmrozi, sałatka oklapnie albo skisnie, w każdym razie coś będzie nie tak, bo kuchnia nie lubi, jak ktoś ją traktuje po macoszemu.

Prawdziwa, tradycyjna polska kuchnia to nie jakieś tam lunche z sałatki i parzonego owsa, ale całe godziny stania przy garach, mieszania, dosmaczania, całe godziny krojenia, całe litry smalcu (tylko w Wigilię zastępuje go oliwa) i kilogramy mięcha, które musi jakoś zmięknąć, a pieczenie, duszenie to sztuka. Nie każdy takie umiejętności nabył.

No mielone i schabowe prawie każdy potrafi zrobić, a nawet nie przypalić, ale mielone? W święta? A gdzie tradycja?

No i kwestia ilości.

– Jakies mięso trzeba rozmrozić czy jak?

– Jezu, tylko nie to! – krzyknęła Justyna. – O Boże, nieee. – Wstrząsnęło nią podejrzenie. Mrożonki, zamrażarki i zaginiona kucharka. Czy to nie wyglądało trochę makabrycznie?

– Czego pani wrzeszczy? – zdziwiła się Zośka. Jej chyba nie wyglądało.

– Bo jak znam życie, zaraz w tej cholerycznej zamrażarce znajdziemy zwłoki kucharki! – jęknęła Justyna złowieszczo. Należała do osób, które bardzo szybko odkrywają tożsamość morderców w kryminałach oraz przebieg procesów małżeńskich w romansach.

Czytanie kryminałów często zakłóca postrzeganie rzeczywistości.

– Przepraszam, czy tu piją? – zapytała Rita z miną wściekłego mopsa.

Wpadła, nie rozumiejąc, skąd krzyki. Chciała zareagować.

– Nikt nie pije, pani Rito, ale dziewucha ma takie, no, pomysły. Makabryczne dość. – Zośka wskazała głową na Justynę.

– Jakie, no, pomysły – Rita zaczęła ją przedrzeźniać – co? Jakies durne? Bo ja to przyszląm zapytać, dlaczego gwiazdy betlejemskie się zmarnowały w korytarzu, przesuszone czy przelane? Bo tyle zachodu, żeby był świąteczny nastrój, a wszystko wygląda, jakby coś zdechło.

– Przemarży, mówiłam, żeby nie przy drzwiach – burknęła Zośka. – Zimno to i zdechły.

– Ale miało być pięknie przy drzwiach, a nie po kątach.

Ten rodzaj „nienachalnego” hotelarstwa obejmuje zawsze zasadę, żeby na widoku było ładnie, a po kątach jak po padnie, niestety często dotyczy to też sprzątanania.

– Co to za makabryczne pomysły? – Rita wróciła do tematu.

– Nie całkiem makabryczne, ona może mieć rację, że w zamrażarce znajdziemy zwłoki kucharki albo pani męża. Bo od rana jego też nie ma.

Rita skrzywiła się, choć nie przeraziła. Nie okazywała wielkiej czołobitności dla kucharki, którą udusiłaby z przyjemnością, a mąż, cóż mąż, rzecz nabyta.

– A tam, jakie zwłoki, a może oni tak razem? Gdzieś? – zapytał cieć, bo zajrzał do jadalni, zainteresowany planami obiadowymi.

– Czyś ty oszalał? Winicjusz z Ernestyną? – burknęła obrażona Rita.

Niby nie ma już podziału na panów i służbę, ale on wciąż istnieje. Jest kwestią elegancji i szpanu.

– A dlaczego by nie? – Babcia, którą wrzaski też przywabily do kuchni, wzruszyła ramionami.

– To jest chore, babciu! On jest właścicielem, a ona kucharką! To się nie godzi, nie pasuje...

– A ty, do cholery, czym byłaś, jak mu wlałaś do łóżka? – rzuciła wnuczce w oczy z wielkim zadowoleniem.

Babcia wyraźnie nie lubiła być oszczędna w słowach. I wcale się nie wstydzila tego, że kiedyś była proletariuszką.

– No, pokojówką byłam, ale ja byłam ładna i młoda, co ja mówię, byłam, jestem! Jestem ładna i młoda! A Ernestyna to babsztyl! Babon. To wielka stara olopa.

Mówi się, że jeżeli ktoś potrzebuje takich potwierdzeń na głos, i to od samej siebie, ma poważny problem z samoakceptacją.

– No to co z tymi zwłokami? Tfu, cholera, z tym mięsem? – zapytała Oliwia, budząc we wszystkich grozę.

Nagle poczuli, że trzeba coś postanowić.

Z tym budzeniem grozy to różnie bywa, przecież groza nie śpi. To nie ma jak jej budzić, ale też jeżeli jest prawdziwą grozą, to pewnie się gdzieś czai w zakamarkach rzeczywistości.

Wrażenie, że Justyna może mieć rację, opanowało wszystkich. Nie dlatego, że było realne, ale jakaś mroczność zaogrodziła w sali jadalnej i nie chodziło o to, że podmuch od drzwi zgasił świece w stroikach.

Do kuchni na inspekcję zamrażarek poszli wszyscy, na drżących nogach i z duszami na ramieniu, a może i na ramię, bo każdy szedł ze swoją, ale poszli. Wszyscy byli ciekawi proroczych zdolności Justyny. Ona zresztą też się ich po sobie nie spodziewała, ale czytała dużo i wszędzie łapała schematy. A to był naprawdę wyraźnie widoczny schemat: ktoś wynosi mrożonki i robi w zamrażarce miejsce na zwłoki, których nikt nie odkryje, bo kto zagłąda do zamrażarek...

Poza babcią, Ritą i Zośką wszyscy należeli do szacownego grona łowców duchów.

Co prawda, sprzętu do obserwacji duchów i nadprzyrodzonych emanacji nie mieli przy sobie, ale naprawdę się starali zachowywać profesjonalnie.

Pracownicy hotelu też starali się zachować profesjonalnie, to znaczy chcieli mieć drogę ucieczki, toteż szli na końcu.

Weszli do kuchni i zaraz stanęli w jej progu, jakby ciut jednak przestraszeni.

Maks podszedł do jednej z zamrażarek na czworakach, jak gdyby chciał się przed kimś ukryć. Potem z wysokości złapał brzeg pokrywy, szarpnął i wrzasnął.

– A... – Zamilkł. – A nie, to ryby.

– Idiota! – jęknęła Justyna.

– Przestańcie! – krzyknęła Rita. – Mam dość! Nie ma zwłok, nie ma! Nie będzie! Mam dość! Duchy dobra, znoszę, ledwie, ale znoszę, ale zwłok nie mam zamiaru! Przestańcie mnie straszyć! – Rozpląkała się sztucznym szlochem, który powodował drżenie jej brzucha i falowanie piersi.

Teraz inni po kolei ze strachem w oczach sprawdzili wszystkie cztery zamrażarki.

W jednej była tusza jakiegoś zwierzęcia.

Popatrzyli na nią z niepokojem.

– To nie ona? Prawda? – zapytała Kaśka z nadzieją w głosie. Wszyscy zdrętwieli. Możliwość, że ta wyraźnie oskórowana i wybebeszona tusza z widocznymi żebrami mogłaby być kucharką, zmroziła wszystkich. Na kość. Owszem, zwłoki w zamrażarce wszystkim jakoś przypasowały, ale nie w takiej „kulinarniej” postaci.

– Nie, to baran – uspokoiła pozostałych Zośka. – Przywieźli dziś rano. Ma być na sylwestra pieczony.

Odetchnęli z ulgą.

– Co wy tu robicie, do cholery? – Do kuchni wpadł Winicjusz, jakiś taki rozedrgany i rozochocony. Pojawił się po raz pierwszy od rana i od razu zaczął się wydzierać.

– Czego tu szukacie! Wynocha mi z kuchni, bo zaraz ktoś wezwie sanepid i będę miał przechlapane!

– Kucharki nie ma! Szukamy kucharki – warknęła Rita.

– W zamrażarce? – zdziwił się Winicjusz.

– Hmmm – pociągnęła nosem – co to za perfumy? Czy ty pachniesz pleśnią?! Czy są jakieś perfumy o zapachu pleśni?

– Oczywiście, że są – zamiast Winicjusza odpowiedziała Oliwia. – Ostatnio bardzo modne, turpistyczne albo turpistyczne, czytałam w necie.

– Ale to też zapach zleżalego ducha... – stwierdziła Kaśka.

– Zleżalego?

– No takiego, który nie żyje od trzydziestu lat, ale zaczyna się pojawiać i przez jakiś czas po prostu go czuć – wyjaśnił Maks.

Winicjusz spojrział na Maksa groźnie, więc ten zamilkł. Coś z tymi perfumami było nie tak.

Winicjusz ich nie czuł, ale inni mogli.

– Wracajmy do kucharki, dlaczego jej szukacie w zamrażarce? – zapytał, chcąc odwrócić uwagę od problemów zapachowych, które oczywiście sprowadzały wszystko do układów damsko-męskich, choć nie małżeńskich.

– Bo ktoś ją zamordował? – zapytała Oliwia niepewnym tonem.

Wiadomość go poraziła.

– Ktoś zamordował kucharkę?! – wrzasnął Winicjusz takim głosem, że aż ściany zadrżały. – Ale dlaczego? Wiem, że marnie gotowała, ale nie aż tak, żeby ją mordować!

– Nikt nikogo nie mordował, jeszcze chyba nie, tylko Justyna miała widzenie – wyjaśnił Robert, trochę podrasowując prawdę, niewątpliwie na korzyść swojej grupy. – Widziała zwłoki w zamrażarce.

Wizja zwłok w zamrażarce trochę Winicjusza uspokoiła. Wizje są durne. Nikt nigdy nie bierze ich na poważnie. On też nie miał zamiaru.

– To gdzie te zwłoki są?

– To było tylko widzenie, ale to prawdopodobnie ten baran.

– Jaki baran? Chodzi wam o ochroniarza? Jego też ktoś zamordował?!

– Nie, chodzi nam o barana, zwykłego, do pieczenia.

Winicjusz odetchnął.

– No i ponieważ te zwłoki w tym widzeniu... – Robert się zamotał.

– Ona naprawdę ma jakieś widzenia? – jęknęli wszyscy, bo to dość paskudna cecha, której zaletą nie sposób nazwać. Takich ludzi inni się boją, bo nikt nie panuje nad widzeniami, a co, jeżeli w tych widzeniach zobaczy PIN do karty ukrytej przed żoną albo nagie cycki kochanki?

Albo jakąś śmierć? No i albo zobaczy i powie, i od tego człowiek dostanie wariacji lub zawału, ale gorzej, jeżeli nie powie, tylko będzie tak patrzył i patrzył i sobie myślał, przecież to jeszcze gorsze. Od tego też można dostać zawału i wariacji.

– Ty też będziesz miał widzenia, ale w więzieniu, jak ktoś tu znajdzie zwłoki! Módl się, żeby wróciła cała i zdrowa, a wy, państwo, idźcie jeść, jesteście zmęczeni po podróży, idźcie spać, bo jak znam życie, ta weselna hałastrza wróci nad ranem i wszystkich pobudzi.

– Ale ja nie miałam żadnego widzenia, ja tylko pomyślałam, że tak mogłoby być. – Justyna zaczęła ich uspokajać, ale to niewiele dało.

– No właśnie o to chodzi. Mogłoby.

– Przestańcie! Zaczynam się bać! To potworne, wszędzie grasują duchy, ktoś zamordował kucharkę, a teraz mamy jeszcze jasnowiedzkę?! – Krzyk Rity przedarł się do sali jadalnej.

Jasnowiedzka dla niej była chyba gorsza od zwłok. I od duchów.

– Chrrrr... – dobiegło z sali nagle bardzo głośno, i to z kilku stron naraz.

Trzy osoby zadławiły się śledziem.

Jedna zemdliała.

Maryla Kotowicz, nieszczęsna turystka z pokoju dwadzieścia pięć, ale teraz już dwadzieścia dwa, podskoczyła, wrzasnęła, jęknęła i z podskoku zamiast w krzesło rąbnęła obok niego. Złamała kość ogonową. Choć nie, najpierw złamała, potem jęknęła. Z podłogi.

– Kurwa, co tu się dzieje? – zawyla boleśnie.

Jadalnia była wyłożona płytkami, płytki były twarde, śledzie śliskie, zwłaszcza te... te, które wyleciały z ust zadławionego człowieka, walniętego w plecy tak mocno, że wypadły mu też soczewki kontaktowe i szczeka, choć tylko na chwilę.

Maryla chciała uciekać, ale śledź jej na to nie pozwolił i zrobił z niej śledziowego Rejtana. To znaczy on, ten śledź, powiedział „po moim trupie”, a ona nadepnęła i padła.

Na dupę.

Teraz ból rozsadał jej tę część ciała, która jeszcze długo miała nie posłużyć jej do siedzenia.

\*\*\*

Noce po podróży to odrębna kategoria makabry, bo najpierw, zanim nadejdą, a nie chcą nadejść, te dni trzeba jakoś przetrwać. A potem same te noce bywają męczące. Po pierwsze aklimatyzacja, po drugie obce łóżko, dziwne, obce, nieznanne odgłosy, które wcale nie musiały być dziwne, ale że się ich nie znało, to jednak były.

Jakieś skrzywienie, gulgot rur, szuranie gałęzi, wszystko, co jest całkiem normalne, a jednak w obcym miejscu nowe.

Zdarza się, że ktoś jedzie w gości i w nocy słyszy charkot i tłuczenie młotem pneumatycznym, a to tylko sąsiad spuszcza wodę.

Odgłosy własnego domu potrafią tak mocno złać się z rzeczywistością, że mieszkańców już nie dziwią, a nawet stają się niesłyszalne. Rozklekotana spluczka, która w nocy gdakaniem ogłaszała, że sąsiad spuścił wodę. Rury, które chlupały jak niemowlak w kąpielni, a nawet pisk pralki sąsiada z dołu, bo ten miał zwyczaj prania nocą, wszystko to było we własnych domach niemal naturalne, ale żeby takim się stało, musiało minąć trochę czasu, najchętniej jakieś

dwadzieścia lat do dożywania. Tu, w hotelu, aż tyle czasu nie mieli, więc skrzywienie ośnieżonych gałęzi wydawało się ostrzeniem tasaków, spuszczenie wody przypominało odgłos tsunami, a kasłanie z pokoju na dole szczekanie wściekłego jamnika.

To wszystko potęgowała też groza, a to z kolei potęgowało grozę. Jeżeli ktoś kiedyś będzie szukał psychicznego perpetuum mobile, to ten stan może się nadać idealnie.

Nawet ci, którzy nie wierzyli w duchy albo uważali, że są nieszkodliwe, oraz nie brali pod uwagę zamordowania kucharki czy morderstwa w ogóle, ulegli atmosferze chwili i miejsca. Cicho leżąc w swoich łóżkach, nakryci po szyję, a nawet z głową pod poduszką, starali się niczego nie słyszeć.

Dlatego słyszeli o wiele więcej. Nawet to, czego nie było.

Maks włożył do uszu stopery. Jeżeli liczył, że to go uspokoi, to się pomylił koszmarnie. Niczego nie słyszał i choć taki był właśnie cel tego przedsięwzięcia, strasznie się tym denerwował, bojąc się, że w tej sztucznej ciszy przegapi moment, nie usłyszy, że coś się zbliża, może skrada, a może lezie z głuchym tupotem, jak uderzenia serca – łup, łuuup, łup – i za chwilę stanie nad jego łóżkiem z wielkim nożem kuchennym w ręku i zamiarem pozbawienia go czegoś. Możliwe, że życia.

Albo z toporem i szaleństwem w oczach, może bez zamiaru pozbawiania kogokolwiek życia, ale przy szaleństwie nawet brak zamiaru może być groźny.

Nie wiadomo, dlaczego w jego sennych majakach to coś miało twarz Jacka Nicholsona.

Może byłoby nawet lepiej, gdyby nie starali się zasnąć aż tak bardzo, ale musieli wypocząć, mieli ochotę popracować nazajutrz. To znaczy, ochota ochotą, ale oni naprawdę musieli popracować. Nie już teraz, nie zaraz, nie dziś czy tej nocy, ale następnej już na bank.

A żeby popracować następnej nocy, trzeba być wyspanym.

Dlatego wszyscy oczywiście poszli spać. Zwyciężył rozsądek. I nikt nie zasnął, bo rozsądek niewiele ma do powiedzenia wobec stanu duszy i nastroju.

\*\*\*

Złamanie kości ogonowej jest bolesne i naprawdę trudno je zdiagnozować, szczególnie bez udziału lekarza, bez wszystkich sprzętów w stylu rentgen czy tomograf, na dodatek w święta. Dlatego Maryla zdiagnozowała się sama.

To ostatnio bywa bardzo częste. Ludzie nie wierzą lekarzom, a poza tym lekarze są kosztowni i trudno się do nich dostać, więc ludzie często sami się diagnozują i leczą.

Internet jest w tym niezastąpiony.

O ile diagnoza z dr. Google może przyprawić o panikę i drżenie rąk, co nie zagraża życiu aż tak bardzo, to leczenie się z dr. Google może być, jeżeli o zagrożenie życia chodzi, niezwykle skuteczne.

Takie na przykład picie płynu do mycia toalet, bo to zabija wirusy, jest niebezpieczne, bo ten płyn jest skuteczny także i na inne objawy życia.

Ludzkiego nie wykluczając.

Maryla wyczytała wszystko, co na temat złamania kości ogonowej miał do powiedzenia dr Google. Tak, bolało ją to miejsce. Tak, wypadek polegał na stłuczeniu centralnej części tyłka, tak, na twardej podłodze, choć na szczęście nie na schodach. Na pytanie, czy spuchła, odpowiedzieć sobie nie umiała. Chwilowo. Postanowiła szybko temu zaradzić. Rozebrała się, stanęła przed lustrem, żeby sprawdzić, czy puchnie jej tyłek.

Niestety tyłek, jak sama nazwa wskazuje, jest z tyłu, bardzo trudno go zobaczyć oczami, które są z przodu, lustro tu niewiele pomoże.

Maryla jednak postanowiła się nie poddawać.

Wzięła telefon i za jego pomocą zrobiła od tyłu filmik, po czym stwierdziła, że dostała steatopygii.

Jej tyłek przypominał wielką, różową, nadżartą zębem czasu, a może i gryzoni dynię.

Nie znaczy to jednak, że tyłek jej spuchł, wcale nie, była kobietą, a to bardzo zaciemnia pewne sprawy. Tyłek miał swoje, i to słuszne, rozmiary od zawsze, a ona filmik robiła po raz pierwszy.

Nie miała porównania, ale święcie wierzyła, że musiał spuchnąć, przecież aż taki wielki nie mógł być przez cały czas. No nie mógł. Przecież by zauważyła!

To, co zobaczyła na filmiku, zupełnie jej się nie spodobało.

Poczuła, że umiera.

Zdecydowała, że z taką hotentocką dupą nie pokaże się ludziom!

Kobiety są przeczulone na temat własnych wdzięków. Musiała więc sprawić, żeby tyłek przestał jej puchnąć. I to natychmiast.

Jedynym sposobem był zimny kompres, ale takiego nie miała.

Mrożonki! – pomyślała i choć bała się, że już nie są dokładnie zamrożone, postanowiła z nich skorzystać.

Mroźny kompres był jej potrzebny tu i teraz.

Po cichu, całkiem naga, choć w szlafroku, przekradła się do pokoju numer dwadzieścia pięć, który pozostał otwarty.

To, co tam wcześniej znaleźli, mogło uratować jej tyłek, mogło go też z pewnością odmrozić, ale tego nie brała pod uwagę.

A, najwyżej odpadnie – pomyślała z nadzieją, bo uważała, że ma go i tak zdecydowanie za dużo.

Tak czy tak, to był jedyny ratunek na coraz większy (w jej mniemaniu) tyłek.

Weszła, rozchyliła poły szlafrocka i usiadła na połowicznie już rozmrożonych brukselkach, żeby ze zgrozą, po raz setny, kontemplować filmowe oględziny swojego tyłka.

Na wszelki wypadek nie zapalała światła. Zaczęła się mościć na stosie foliowych toreb wypełnionych warzywami, jednak mrożonki ją uwierały.

Postanowiła je rozgrzebać, żeby zrobić coś w rodzaju zagłębienia. Mrożonego koła ratunkowego, które by ją chłodziło, ale nie urażało tego jednego bolesnego fragmentu, o który jej chodziło.

Jeżeli ktoś chce rozerwać plastikową torebkę z mrożonką, to choć oczy wyjdą mu na wierzch, nie da rady, po prostu nie da, musi wziąć nóż albo nożyce, czasem nawet te do żywoplotu, ale niech tylko spróbuje nie chcieć niczego uszkodzić, zaraz jakaś paczka sama z siebie złośliwie się rozwala, a zawartość kaskadą spłynie na podłogę.

Kaskada mrożonej brukselki potrafi być głośna. Zwłaszcza nocą.

Maryla pochyliła się, żeby pozbierać te kule, które mogły być niebezpieczne, gdyby ktoś na nie nastąpił, i zamarła.

W kącie pod oknem zobaczyła jakąś postać.

– Łaaaaaa! – wrzasnęła. – Łaaaaaa. Co pa... co tu robisz?

– Mnie tu nie ma – odpowiedziała osoba niepewnej płci, po czym przebiegła przez pokój, nadepnęła na brukselkę, pośliznęła się na niej, wpadła w drzwi, obila sobie o nie twarz i wyleciała na korytarz.

Wyleciała albo nawet wypadła, w każdym razie nie wybiegła. Po chwili wstała z podłogi w korytarzu i się jakby zdematerializowała.

Gdy tak potem o tym myślała, to jednak sekwencja mogła być inna.

– Mnie tu nie ma – wychrypiła głosem jak ze studni, po czym przepłynęła przez pokój, prześliznęła się po mroźonce, wpadła w drzwi, jakby w nie dosłownie wpadła, i zanurzyła w nich twarz, i wyleciała na korytarz.

Wyleciała albo nawet wypłynęła, w każdym razie nie wybiegła. Po chwili się zdematerializowała.

Zbyt długie myślenie nad niektórymi wydarzeniami czasami zmienia osąd.

\*\*\*

Kaskada z brukselki obudziła kilka osób, wrzask dobudził resztę. Nawet Maks zdołał się wytoczyć z łóżka i złapać za sprzęt, bo choć słyszeć nie słyszał, to jednak drgania wyczuł, a były dość mocne.

Budynki z płyty, wielkiej czy małej, o ile takie istnieją, nie mają zalet, no może tylko to, że istnieją, a lepsze takie mieszkanie niż żadne, ale rezonują tak, że rozkładanie wersalki na trzecim piętrze nocą odbija się falą drgań na drugim. Rozkładanie wersalki nie jest ani głośne, ani długotrwałe, ani nie używa się do niego młota pneumatycznego, za to basy? One potrafią wibrować wraz z podłogą godzinami, nawet kiedy muzyki właściwie nie słychać.

Zaopatrzone w rejestrator pola magnetycznego i kamerę termowizyjną Maks pobiegł na górę, za nim biegła reszta, dziewczyny na samym końcu, to znaczy jego dziewczyny, bo musiały zrobić makijaż.

Były szybkie, wystarczyła im godzina, a przecież gdyby je ktoś sfilmował bez makijażu, to byłaby wtopa.

Ten ktoś to był oczywiście Maks, ale nie miały złudzeń – jeżeli zobaczyłby ducha, nie miały dla nich litości. Kręciłby jak szalony, a potem nie pozwoliłby im wyciąć żadnych, nawet najbardziej makijażowo paskudnych fragmętów, żeby ktoś nie powiedział, że podrasowali film, a więc duch się nie liczy.

Dlatego na górze w tej chwili byli tylko Maks, Justyna, Robert i Łukasz.

Inni jeszcze się zastanawiali, czy biec czy też przeczekać.

Czy warto, czy może lepiej nie.

Nie wszystkie hotelowe atrakcje się oplacają, a niektóre bywają też niebezpieczne. Taki układ trochę wielowarstwowy, po pierwsze święta są okresem cudów, ale i często służą za tło do makabry, wszystko jest wieloznaczne, mi-kołaj może wejść przez komin, ale może w nim utknąć, a co, jeżeli komina brak? Dodatkowo duchy...

No i nocny wrzask może przecież zwiastować wszystko, począwszy od szczura, na porodzie skończywszy.

\*\*\*

– Co tu się dzieje?! – zawołał Maks, naprawdę mało profesjonalnie. Jako łowca nadprzyrodzoności nigdy nie powinien był zadawać takich pytań, w końcu to on był od udzielania odpowiedzi.

– Krew, tu leci krew – powiedziała Maryla Kotowicz na czworakach. Nie miała szczęścia. Rozsypana brukselka powaliła ją na kolana zaraz po tajemniczym gościu. To znaczy nie, gość jej nie powalił, brukselka powaliła ją, ale najpierw załatwiła gościa. Choć jakoś nigdzie go nie było widać.

– Krew leci...

– I pani robi całą tę awanturę, bo się pani skaleczyła? – Justyna miała ochotę dać babie nauczkę.

– Nie skaleczyłam się.

– To jakim cudem leci pani krew? Chodzi o krew z nosa? – Justyna jeszcze bardziej się zdenerwowała, bo takie atrakcje jak nocne spędy obcych ludzi w pokoju z mrożoną brukselką uważała za dziecinne i głupie, podejrzewała nawet, że Maks podplącił babę, żeby zrobiła awanturę, która być może będzie mu do czegoś przydatna. W końcu filmował, co popadło, a potem najczęściej mimo wszystko, jak podejrzewała, podrasowywał filmiki, więc dla niego nie miało znaczenia, co tak naprawdę się dzieje.

Owszem, gdyby był gdzieś prawdziwy duch, Maks obróbki by nie próbował, ale takie bajeczki w stylu tu działać się coś niezwykłego, możemy przypuszczać, że... wykorzystywał do mamienia ludzi i, jak to mówił, pobudzania ich wyobraźni.

– Nie, chodzi o krew z wersalki! – odburknęła Maryla. – O... – Wskazała na podłogę. – To znaczy nie wiem na pewno, bo tu był jeszcze ktoś i on, albo ona, się wypierdolił na brukselce, ale jakby dalej.

Podeszli obejrzeć to, co im pokazała.

Rzeczywiście na podłodze widać było mocno rozwodnioną różową substancję.

– Może tam jakieś owoce są? Mrożone truskawki?

– Może? Ale nie pachną, i co robiłyby truskawki w tapczanie? Bo to jakby od spodu cieknie.

Obecność mrozonek na wierzchu tapczanu bardzo uprawdopodobniła ich obecność w jego wnętrzu. W końcu nie było to wykluczone, w pewnym sensie nawet bardziej logiczne, choć oczywiście dziwne.

Niewiele się zastanawiając, Justyna podeszła do mebla, szarpnęła wierzch tapczanu, który otwierał się do góry. Zerknęła do środka. Jęknęła i zamknęła tapczan z powrotem.

– No i co? – zapytał Robert.

Justyna była blada jak ściana.

– No i nie wiem, czy kucharka miała wąsy? – zapytała drżącym głosem zupełnie bez ładu, składu i sensu. Gdyby nie to, że należała do konkurencji, Maks natychmiast by ją sfilmował, tak pięknie na jej twarzy malowała się zaskoczona groza.

– A co to ma do rzeczy? Nie widziałem jej, a nawet gdybym widział, to przecież bym się jej nie przyglądał. Tylko po co ci ta wiedza?

– Tam leży jakaś kobieta. – Wskazała ręką w kierunku tapczanu.

– Tam?

– W środku. Leży i nie jest żywa. Ma wąsy!

Trzy fakty zebrane razem były niekompatybilne, niezależne i makabryczne, bo kobieta leżąca w tapczanie jest równie nietuzinkowa jak kobieta z wąsami, do tego jeszcze jeżeli jest martwa, to wszystko się komplikuje.

Nagle na korytarzu rozległ się chichot.

Ktoś zaintonował kolędę. „W złości leży, któż pobieży kołędować martwemu”.

Wybiegli na korytarz.

\*\*\*

Aspirant Niedziałek Alojzy pochodził ze Śląska, gdzie to imię jeszcze jakoś funkcjonowało, a dostał je po dziadku, którego z tego powodu nienawidził.

Imię jak imię, na Śląsku wcale nie było jakieś szczególne, ale poza nim wszyscy się z niego śmiali.

– Łojzy, łojzy łajzy – wołali za nim koledzy, tak oczywiście, żeby nie wiedział którzy, a ogólnie po prostu uważali go za łajzę.

Oczywiście tylko od imienia, w co szczerze wierzył.

Siedział teraz na ustrojonym świątecznie posterunku, zastanawiając się, co się stanie. Co i kiedy, a nie czy, bo wiedział, że spokoju miał nie będzie, w końcu to przecież święta. Czy ktoś z nowomodnych mieszkańców kochają-



cych staromodne vintage spali chałupę, która zajmie się od choinki, a ta od przyczepionych na jej gałązkach tradycyjnych świeczek? Czy ktoś rozgrzany napitkiem odmrozi sobie ręce, nogi albo przyrodzenie, śpiąc w puchatych objęciach śnieżnego posłania? Czy może jakiś teść, szwagier albo brat połamią kilka sztachet na zięciu?

Takie rzeczy się zdarzały.

Takie rzeczy były w czasie świąt na porządku dziennym, bo ekologia wygrywała ze zdrowym rozsądkiem, pijaństwo z rozumem, a miłość rodzinna podprawiona świątecznym sosem objawiała się znieńacka i krwawo.

Alojzy Niedziałek lubił tradycje świąteczne.

Ludzie myślą, że to przeżytek, a to wcale nie tak, to ważna sprawa, tylko że nie każdy ma takie same tradycje, a jak ktoś ma inne, to już zaraz wszyscy się oburzają, że nie szanuje, nie docenia, nie stara się.

Kiedy zadzwonił telefon, Alojzy wraz z posterunkowym Marcinem Puchaczem zakładali się o wszystko. Zazwyczaj tak robili, lubili zastanawiać się, czy pierwszy zadzwoni chłop czy baba. Bo jak facet, to dobra wróżba.

– Ale nasi się nie liczą – wyjaśnił Puchacz – tylko zgłoszenia.

Mówiąc „nasi” nie miał na myśli policjantów, ale rodziny, które chciały złożyć życzenia i zapytać, czy smakowała świąteczna rolada.

Zakładali się też, czy będzie bójka czy pożar. I co pierwsze. Czy żona Alojzego zajdzie w tym roku w kolejną ciążę – tu Alojzy nie wytrzymał, zdzielił podwładnego w głowę trzymaną w ręku czekoladą, aż chrupnęła.

– Wypluj te słowa! Ja już pięcioro mam! Starczy mi tego dobrego! – W głosie Alojzego słychać było przerażenie. Marcin mu się nie dziwił.

Telefon wreszcie zadzwonił. Liczyli na to, że rozstrzygną kwestię zakładu, a nie że będą mieli aż taką rozrywkę.

A rozrywki naprawdę nie potrzebowali. Wcale a wcale.

Jednak oczywiście wszystko poszło nie tak, bo w słuchawce usłyszeli naraz kilka głosów oraz wrzask. I nie był to pożar, nikt niczego nie podpalił. No i nie było chyba odmrożeń przyrodzenia ani sztachet, choć to akurat należało sprawdzić.

– Znaleźliśmy zwłoki! – oświadczył chór głosów.

Słychać było, jak wszyscy są zaafierowani, jak sapią i tupią, słychać było też chichoty i kolędy, ale to ostatnie akurat nie dziwiło.

– Gdzie? – Alojzy nie był pewien, czy to nie żart. Byłby głupi, ale wielu ludzi robi różne głupoty po pijaku.

– W tapczanie – odpowiedział mu chórek prawie jednogłośnie.

– A ten tapczan to gdzie? Bo jeżeli wy mi jaja jakieś odwalacie, to naprawdę będę wściekły.

– W hotelu – odpowiedział tym razem jeden żeński głos niepewnie.

– I tu cię mam, gówniario! – zawołał Alojzy, przekonany coraz bardziej, że ktoś robi mu kawał, a dla kawałów nie chciało mu się opuszczać ciepłego posterunku. – W hotelach nie ma tapczanów! W hotelach są łóżka! Ha!

– No nie, panie aspirancie, w naszej Astorii to są tapczany – powiedział cicho jego podwładny. – Wiem, bo tam kiedyś mieszkałem przez tydzień.

Alojzy zamilkł, co jednak nie ostudziło zapału dzwoniących.

– Tylko nie gówniario! – wrzasnęła żeński głos! – Ja mam pięćdziesiąt lat!

Po czym zamilkł. Maryla zdała sobie sprawę, że chyba nie ma się czym chwalić.

– Ale chodzi wam o zwłoki? – zapytał niepewnie tym razem Aspirant Niedziałek. – W tapczanie? W naszym hotelu? Astoria?

Noc na ciepłym posterunku szlag trafił skutecznie.

\*\*\*

Złapanie techników, prokuratora, lekarza i w ogóle kogokolwiek w noc z pierwszego na drugi dzień świąt graniczyło z cudem, a wszelkie rozmowy na ten temat kończyły się awanturą. Wszyscy przekazywali Alojzemu też szczerze świąteczne życzenia.

Najmilsze brzmiały:

– A żeby cię posrało!

\*\*\*

– Ło kurwaaaaa!!! – poniosło się po korytarzach i wzbudziło zainteresowanie mieszkańców hotelu. Takie wezwanie zapowiada coś fascynującego. Nie to co piski, wrzaski i wołanie o ratunek.

Taka męskim głosem wykrzyczana kurwa jest zapowiedzią może nawet i wielkiej przygody, a jeżeli nie, to choć obiecującej świątecznej awantury, dlatego przyczajeni mieszkańcy hurmem wypadli z pokoi.

Byli właściwie gotowi, wcześniejsze odgłosy sprawiły, że czaili się pod drzwiami, czekając na rozwój akcji.

\*\*\*

Ernestyna Kotłuba leżała w tapczanie. Właśnie w tapczanie, a nie na nim. Była ułożona na plecach, bo raczej nie ułożyła się sama w ten sposób i w tym konkretnym miejscu. Gdyby nie szerokość wnętrza tapczanu, to to miejsce zdecydowanie przypominałoby trumnę. Taką z tych gorszych gatunkowo. Leżała z otwartymi oczami, błada jak ściana i sztywna jak ściana. Sztywna w sensie martwa, bo żywych ścian nikt nie widział, ale rigor mortis mógł już ustąpić, skoro nie widziano jej tyle czasu, to mogła być już martwa od dawna, ale mrożonki i wyłączone ogrzewanie sprawiły, że nie było w pomieszczeniu żadnego niekomfortowego zapachu.

Pachniało trochę pleśnią, ale w marnie sprzątanym hotelu to się zdarza nagminnie.

Oczywiście ktoś mógł sprawdzić jej puls, ale nikt nie widział takiej potrzeby, ktoś mógł też podnieść jej rękę albo nogę (choć to mogło być trudne ze względu na jej rozmiary, to znaczy nogi i kucharki, obie były wielkie, i to na pewno nie duchem), ale nie było sensu tego robić, bo to jakby wiązało się z pewnymi niedogodnościami potem i przeprowadzaniem z policją, no i problem w tym, że nikt nie zamierzał jej dotykać.

– To morderstwo! – oświadczyła Oliwia, która z pięknie wypacykowaną twarzą (choć jej pobocza były nieco niedorobione i spod kilkumilimetrowej warstwy podkładu wystawały kawały gołych policzków i szyi) pojawiła się, żeby pokazać, jaka jest piękna i mądra.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to, co widzą, to zwłoki kobiety, która została zamordowana.

Innej opcji nie było.

Oświadczenie Oliwii nie było dla nikogo objawieniem.

Problem w tym, że jakiegokolwiek inne stwierdzenie byłoby nierozsądne, a nawet wręcz głupie. Mało kto umiera z własnej woli czy nawet, powiedzmy, z przyczyn naturalnych w tapczanie! To znaczy inaczej, chodzi o to, że mało kto o gabarytach kucharki, która jako przedstawicielka zawodu była tęga i pewnie kiedyś rumiana oraz kleła i tłuka podwładnych ścierką do podłogi, mało kiedy ktoś taki sam kładzie się do tapczanu.

Do obcego tapczanu, w obcym pokoju. We własnym pewnie też.

Po co miałby to robić?

Nie ma i nigdy chyba nie będzie rozsądnych powodów do takiego postępowania.

Tak więc kucharka musiałaby mieć ku temu jakiś konkretny powód i nie mieć podejrzanego gardła.

Wszyscy patrzyli na nią, to znaczy na kucharkę, zaszokowani, ale nikt nie zapominał o zdjęciach, które mogą się kiedyś przydać.

Wszyscy cykali fotki, a nawet selfiki, bo co jak co, ale selfie z trupem dobrze robi na zainteresowanie i liczbę lajków.

To nieprawda, że ludzie są bez serca, nie, to sieć jest bez serca, a oni tylko jej się podporządkowują. Sieć zaczyna żądać dzióbek? Początkowo wszyscy się dziwią, a później ciach i w kilka tygodni nie ma celebryty bez dzióbka, zaraz potem idzie to dalej. Sieć żąda wylewania na siebie zmrożonej wody? Chwila moment i każdy to robi.

Co prawda, sieć nie żąda jeszcze zdjęć ze zwłokami, ale żąda czegoś fascynującego. A zwłoki są jakie? Fascynujące!

Wrzask rozlegający się co rusz u drzwi ogłaszał, że pojawiają się nowi widzowie, z których każdy bardzo chce obejrzieć zwłoki, a potem wrzasnąć, żeby pokazać, że jest zaszokowany.

Te rutynowe oględziny były oczywiście oczywistością, a można było ich dokonać jedynie teraz, bo po przyjeździe policji wszystko przepadnie, dlatego byli tu chyba wszyscy.

I wszyscy spektakularnie wrzeszczeli.

Wrzask każdy uważał za konieczny, bo jednak to jakiś przyczynek do alibi.

Przecież morderca by tak nie wrzeszczał na widok własnych zwłok.

To znaczy na widok własnych raczej by nie mógł, ale na widok zwłok własnej produkcji? Bez sensu. Nie dałby rady.

Pod pokojem numer dwadzieścia pięć pojawili się wszyscy goście, w tym dwóch weselników, których odstawiono do hotelu ze względów zdrowotnych. Ci byli w stanie wskazującym na zużycie i zarzyganie (siebie i wszystkiego dookoła), ale też usiłowali coś zobaczyć.

Lena dokuśtykała na piętro jako jedna z ostatnich z nieodłączną laską, po czym zaczęła nią tłuc wszystkich, którzy zagradzali jej dostęp do morderczego widoku.

– Won mi stąd! – wrzeszczała, tłukąc po grzbietach kotłujących się ludzi. – Ja muszę ją zobaczyć!

– A dlaczego pani musi? – zapytał ktoś, choć przecież było wiadomo, że wszyscy... No właśnie – wszyscy chcieli, a Lena musiała. To się nie spodobało, niby efekt ten sam, ale nie taki sam.

– A co to pana obchodzi? Muszę i już! – warknęła i wepchnęła się do środka. – No. To ona! – powiedziała po chwili z niejaką satysfakcją.

– Kucharka? – zapytał ktoś z boku.

– Kucharka! – ucieszyła się Lena, choć tożsamości zwłok do tej pory nie podawano w wątpliwość.

– No doczekała się szmata! – podsumował ktoś z tłumu i musiał to być ktoś, kto ją dobrze znał. Mogła to być Zośka, która do teraz siedziała pod recepcją, to znaczy spała na materacu pod ladą, ale na pewno nie był to nikt z rodziny właściciela, bo jego akurat zapomniano zawiadomić.

\*\*\*

Posterunkowy Marcin Puchacz nienawidził swojej pracy, ale ją kochał. Kochał bycie policjantem, nienawidził bycia podwładnym Alojzego Niedziałka.

Aspirant Niedziałek był bardzo, ale to bardzo wymagającym człowiekiem.

Marcin zawsze to powtarzał, bo inaczej nie mógł, w końcu policja to nie towarzystwo wzajemnej adoracji, ale każdy albo prawie każdy wiedział, co to oznacza. Niedziałek był wrednym upierdlivcem.

Był przewrażliwiony na swoim punkcie, a także według niektórych był idiotą.

To akurat nie musiało być prawdą, ale nikt tego nie starał się sprawdzać.

Teraz w śnieżną świąteczną noc jechali obaj w radiowozie do hotelu Astoria, ale zamiast swojskiego mordobicia mieli do ogarnięcia morderstwo, wcale nie swojskie. Jeszcze nigdy z czymś takim się nie spotkali. Nie tutaj. Co nie znaczy, że ludzie tu się nie zabijali, owszem, zabijali się często i chętnie, ale robili to w sposób jawny.

Od razu było widać, kto to zrobił, a winny niemalże z wyciągniętymi rękami czekał na kajdanki.

Niemalże, bo niekiedy też barykadował się w domu i ostrzeliwał albo rzucał granatami, ale zawsze było wiadomo, kto, za co, kogo i w jaki sposób zamordował.

Teraz mieli zupełnie coś innego.

– Kurwa, klasyczne morderstwo! – powiedział Alojzy zafascynowanym głosem. – Takie do rozwiązania, szlag, ale z drugiej strony... To może nam dać dużo satysfakcji. Może być ciekawie.

Westchnął. Już widział siebie w roli Herkulesa Holmesa, albo jakoś tak, był taki detektyw, ale Alojzy nie lubił detektywów, wolał oo1 zgłoś się. To przynajmniej był policjant. Milicyjny, ale policjant.

– A tam, ciekawie. – Marcin był o wiele bardziej przyziemny niż jego przełożony, mówi się o takich, że mocno stąpał po ziemi. – Mówili, że ta ofiara to kucharka! Otruła kogoś, zatruiła, podała nieświeże mięso, gość się wkurwił, zabił, wyjechał i tyle go widzieli.

– Często spotykasz ludzi mordujących kucharzy? – zapytał go z wyższością Alojzy, który uważał, że zna się na ludziach. Co prawda, nie przeszkodziło mu to ożenić się z kobietą, która twierdziła, że jest bezpłodna, a urodziła mu pięcioro dzieci, a nawet paść ofiarą oszustwa na policjanta.

To swoisty rekord, żeby policjant padł ofiarą oszustwa na policjanta. No ale jemu się udało. Stracił trochę pieniędzy i zaufanie do ludzi, choć nigdy nie zrozumiał, jak to było możliwe. Przecież tylko pomagał koledze, mundurowemu koledze, a że go nie sprawdził? To oczywiste, źle by to wyglądało, gdyby próbował.

– No w sumie nie. Jeszcze ani jednego – odpowiedział Puchacz, wzruszając ramionami – ale czyta się takie coś w Internecie.

– A widzisz. Internet Internetem, ale na żywca, naocznie jednak nie – odpowiedział Alojzy z satysfakcją w głosie. Lubił mieć rację. Zresztą kto nie lubi, nawet ci, którzy wieszczą najgorsze katastrofy, z trudem powstrzymują się od stwierdzenia „a nie mówiłem?”, kiedy tylko mogą sobie na to pozwolić.

– Ale szefie, z tym mięsem to może być prawda. – Puchacz bronił swoich racji z uporem godnym lepszej sprawy, bo co innego mógł robić?

– Nie, bo zanimby się ktoś zorientował, że jest nieświeże, to musiałby się pochorować, więc ile w tym hotelu by siedział... Nie...

– No niby tak, ale jak mięso było naprawdę nie teges?

– Toby cuchnęło. Nikt by nie tknął. Najpierw musimy sobie wszystko obejrzeć, potem porozmawiać z właścicielem, potem z ludźmi z hotelu. Kurwa, ale w święta? Dlaczego w święta?!

Ludzie rzeczywiście mogliby choć święta uszanować i nie mordować się tak bezczelnie i bez tołku matolku.

– A bo to nie wie szef, że w święta wszystkie stare sprawy wyłażą na wierzch i się ludziom w głowach miesza? Nie dalej jak wczoraj Marmot biegał z siekierą za żoną, bo go zdradziła.

– I co w tym ciekawego? – Przyzwyczajony do folkloru okolicy Alojzy jakoś się temu nie dziwił.

– A to, że on tę żonę już lata temu zabił i wyrok odsiedział, a nadal za nią biega co roku. Dokładnie w święta. Zresztą może ona mu się tak jakoś ukazuje?

– No nie wiem. Może i tak, w święta podobno różne cuda się zdarzają. – Alojzy się rozmarzył.

– A ta Radecka? – Puchacz dalej ciągnął swój świąteczny wykład, albo raczej wywód, który miał udowodnić, że święta to bardzo dziwny okres. Nie musiał, właściwie każdy to wiedział.

– Co z Radecką? O ile wiem, to wyjechała do rodziny na święta – odburknął Alojzy. – Zakazu nie ma, co w tym dziwnego?

– No to, że ona tam pojechała rok temu na Boże Narodzenie, dzieci zostawiła i zniknęła. Całe kilka miesięcy jej szukali, a rodzina się z jej szóstką bachorów mordowała i wie pan co, tak w święta? Ludziom zwalić na łeb swoje ssskarby... – słowo „skarby” wypowiedział takim tonem, że Alojzego aż dreszcz przeszedł.

– Może musiała odpocząć. Ja to swoje też bym czasem chętnie zakul i zakneblował, ale mi żona nie pozwala.

– Święta to czas tak samo dobry na mordowanie jak każdy inny – westchnął posterunkowy.

Powinno się powiedzieć, że żaden czas nie jest dobry, ale ludzie świrują, coś im odbija, coś w nich pęka, jak to mówią w amerykańskich filmach i nie że bardzo chcą, ale nie umieją się powstrzymać. To nie są najczęściej premedytacje czy zbrodnie z zimną krwią, ale czysty, żywy afekt, kiedy żona wali tasakiem w męża zamiast w karpia, bo obaj mają takie same głupie miny, a mąż patelnią w teściową, bo im się zwałiła na głowy w święta i zamiast pomagać, rozstawia zięcia po kątach.

– Tak samo dobry? Kto wie, czy nie lepszy – dodał Alojzy, kiedy dojeżdżali.

Święta mają wiele obliczy, to fizyczne, czyli zmęczenie i debet, i to zewnętrzne – co sąsiedzi powiedzą, jeżeli moje okna nie będą błyszczeć albo nie zapłacę trzech pensji za prąd do lampek, ale i psychiczne, kiedy wszystkie zadawanie pretensje do Mikołaja biorą górę nad rozsądkiem i ktoś postanawia wysadzić w powietrze domek w Rovaniemi.

No, tyle że Rovaniemi jest daleko, a mikołaje można spotkać i tutaj.

– Ktoś coś mówił przez telefon o wąsach? – nagle sobie przypomniał Alojzy i nie mógł tych wąsów dopasować do postaci zamordowanej. Owszem, wiedział, że kobiety miewają wąsiki, ale nie wąsy i raczej się o nich nie wspomina. No chyba że są istotne.

– Tak, też słyszałem – przytaknął Puchacz.

– A brodę miała? – zaciekawiał się aspirant, już układając sobie pierwsze teorie, tak żeby, kiedy się zjawi na miejscu, nie być ich całkowicie pozbawionym. Zawsze łatwiej się takie teorie dopracowuje, niż wypracowuje. No i dzięki temu wiedział, o co i jak pytać podejrzanych.

Inaczej przecież się formułuje pytanie dotyczące kucharki, inaczej prostytutki, a inaczej Mikołaja.

– Nie wiem, a dlaczego pan pyta?

Alojzy, choć nie powinien, dokładnie już w tym momencie usiłował rozwiązać sprawę. Wąsy skojarzyły mu się z brodą, ta z Mikołajem, Mikołaj z wysadzonym (tylko w wyobraźni policjanta) domkiem w Rovaniemi i wszystko mogło być jasne.

– Była może przebrana za Mikołaja? – zapytał Alojzy w głosie.

– Nie.

I wszystko się jednak posypało. Piękna teoria poszła się paść. A byłoby tak cudnie. Jakiś frustrat, który trzydzieści lat temu nie dostał prezentu, o którym marzył, jakiejś durnowatej gry planszowej z rozbieranymi panienkami albo lokomotywy buchającej sztuczną parą, po latach duszenia w sobie bólu i cierpienia (tak, ból jest cierpieniem, ale nie każde cierpienie jest bólem) postanawia się zemścić, a że mikołajów jest teraz pod dostatkiem, zabija przebierańca albo przebierańczynię.

I ciach, duchowe wyzwolenie z okowów gniewu i nienawiści, uspokojenie duchowe i dożywocie za kratami, o ile mord był rozsądnie okrutny, albo kaftan i dożywocie w szpitalu, jeżeli nie był, albo raczej był nierozsądnie okrutny.

No bo takie na przykład sashimi (albo carpaccio) z plasterków Mikołaja to jednak kaftan, a zwykła rąbanka to jednak raczej kraty.

Tak to działa. Ludzie sobie sami wmawiają traumy, a potem sami je leczą (w Internecie) zamiast pieprzyć grę, którą mogą sobie kupić, pieprzyć sztuczną parę z lokomotywą czy bez. A jeżeli już mordować, to owszem, ale bez tych sztucznych pretekstów.

– Bo wie pan, święta to taki moment, kiedy spotykamy się ze swoimi rodzinami, żeby potem cieszyć się przez cały rok, że mieszkamy oddzielnie – pochwalił się internetową mądrością posterunkowy. Nie powinien był.

Alojzy się zdenerwował.

– Ja nie mieszkam oddzielnie. Byłeś, widziałeś.

Zamilkli taktycznie, żeby nie doszło do niekontrolowanego wybuchu agresji.

Posterunkowy rzeczywiście był i widział. Alojzy zaprosił go na spotkanie wigilijne, bo nie chciał, żeby jego podwładny sam spędzał ten dzień, i to był naprawdę rodzinny koszmar.

Nawet nie wiadomo, bo posterunkowy sam tego nie był w stanie odkryć, czy to zaproszenie nie było jakąś formą znęcania się nad podwładnym.

Zastanawiał się, czy nie powinien się nad tym zastanowić, w obecności prawnika.

Bo tak: żona Alojzego była miłą osobą, ale kiedy się ma piątkę dzieci, dwojaczki i trojaczki, to raczej życie domowe nie jest usłane różami.

Usłane jest za to pieluchami, zasikаныmi pieluchami, zarzyganymi pieluchami i zasranymi pieluchami, jeżeli dzieci w stanie pieluchowym jest pięcioro, a wszystkie dzieci są na tyle wredne, że nie tylko chorują razem, ale i wypróżniają się na komendę jednego z nich, to masa pieluch przeraża.

Smród też.

A dwupokojowe mieszkanie to po prostu rodzaj celi więziennej, w której przetrzymuje się męża i ojca w warunkach szczególnego okrucieństwa.

Ta wigilia uświadomiła Marcinowi, jak bardzo nie chce mieć takiej wielkiej rodziny. Nie, wróć! Rodziny, nie chce mieć rodziny, żadnej. W ogóle! To wystarczy.

Jak bardzo ceni swoje kawalerskie wieczory przy telewizorze i jak dobrze się czuje w samotności.

Choć z zaproszenia początkowo bardzo się ucieszył. Święta to święta, miła wigilia byłaby miła, gdyby była, hmmm, no miła. Ta nie była.

Przyszedł trochę wcześniej, żeby, jak obiecał, trochę pomóc, dał słowo, że zamorduje i usmaży karpia. Co było zazwyczaj jego zadaniem, kiedy święta spędzał w domu z rodzicami.

Ostatni raz usłyszał swój głos i swoje myśli, kiedy po dzwinkowym „ding dong” odezwał się domofon.

– To ja – odpowiedział niezbyt inteligentnie i ogłuchł.

W domu Alojzego panował pisk. Dzieciaki, dwoje trzylatków i troje dwulatków, to było coś bardzo trudnego do ogarnięcia. To była bomba dźwiękowa, wieloczęściowa bomba śmierdząco-piszcząca.

Trzylatki, czyli starsze dzieci, to byli chłopcy, a trojaczki – całkowicie identyczne dziewczynki.

Kiedy przyszedł i właśnie wchodził do salonu, jeden chłopiec zwałił na niego choinkę, na którą usiłował się wspiąć, drugi zwymiotował do wazy z barszczem, w której usiłował się utopić.

Dzieciak, choć posterunkowy też brał to pod uwagę.

W tym czasie ładnie usadzone na kanapie dziewczynki upaprały się buraczkami. Wyglądały jak trzy małpki, jedna miała upaprane oczy, druga uszy, a trzecia usta. Ta piszczała najbardziej, bo buraczki to była ćwikła z chrzanem i za bardzo jej nie posmakowała.

Alojzy musiał je przebrać.

Zwłaszcza że trzeba było zrobić świąteczne zdjęcie na Facebooka, a te nie pobażają. Ma być czysto i pięknie, nawet gdyby dzieci miały zostać przyklejone butaprenem do kanapy.

Kiedy już się to udało, choć jedna dziewczynka uciekła pod stół, a druga pod kanapę, to drugi z chłopców włożył sobie na głowę plastikowe wiadro i trzeba było wzywać strażaków, żeby mu je zdjęli, kiedy już tego dokonali, ten, który zwałił choinkę, uciekł do łazienki i chciał złapać karpia. Po chwili jego samego trzeba było wyciągać z wanny, w tym czasie dziewczynki zapłatały się w światełka choinkowe.

Jedna też podpałiła anielskie włosy na choince świeczką ze stołu.

Żona Alojzego zносиła to ze stoickim spokojem.

Rozplątała dziewczynki, ugasiła choinkę, zrobiła sztuczne oddychanie karpiovi, no cóż, pomyliła się, ale można jej to wybaczyć, i wreszcie usadziła dzieci na kanapie.

Dobrały się do chrzanu.

Wrzask, jaki rozległ się przy stole, mógł ogłuszyć głuchego.

– Wiesz, jestem odrobinę zmęczona – powiedziała, lekko się chwiejąc, żona aspiranta. – Niby nic nie robiłam, a jakoś kręci mi się w głowie – dorzuciła, a potem zemdląła.

Szybko jednak się ocknęła.

– Już wstaję, już wstaję! – zawołała spod choinki. – Zaraz uprasuję ci spodnie od munduru, a dzieciakom dam śniadanie, rano jest, tak? Czy to już dziś Wigilia?

Po chwili usiadła, złapała się za głowę i jęknęła.

– No tak – powiedziała – czułam to! Kochanie, chyba jestem w ciąży! – zawołała tak radośnie, że Alojzy o mało nie zadławił się uszkiem.

– Tylko nie to, przecież teraz to już na pewno będą czworaczki! One mnie zabiją! – wrzasnęła Alojzy i uciekł do garażu.

Natychmiast zadzwonił do mamusi po pocieszenie.

– Mamo, a może to nie czworaczki? Może w ogóle nie ciąży? Może po prostu zemdląła ze zmęczenia? – błagał swoją matkę o nadzieję, ale ta mu jej nie dała.

– No coś ty, synek? A czym ona miała się zmęczyć?! Siedzi w domu, nic nie robi!

– No ale mamy pięcioro dzieci – westchnęła Alojzy, jednak trochę zdziwiony reakcją matki.

– I co to jest pięcioro dzieci?! To pryszcz! Moja matka wychowała szesnaścioro i nie mdlała jak jakaś mimoza!

Widok skrajnej, potwornej i żądnej krwi nienawiści na twarzy żony, która weszła do garażu i usłyszała słowa teściowej, sprawił, że Alojzy się rozłączył. Żona miała w ręku nóż, a teściowa była daleko, kto wie, co mogłoby się wydarzyć...

Wigilia się odbyła, ale sprawiła, że Marcin, który nie planował zakładania rodziny, tym bardziej postanowił, że nie! Nigdy w życiu! Nie zakocha się, nie ożeni i nie będzie miał potomstwa, ale jak to się często mówi, „jaka Wigilia, taki cały rok”, a posterunkowy Puchacz dwa czy trzy razy nieopatrznie pomógł zmieniać pieluchy dzieciakom.

Teraz na samą myśl o dzieciach i tym ludowym powiedzonku oblewał się zimnym potem.

\*\*\*

– E, słuchajcie, a może obudzić właściciela? – zapytał Maks, który sobie obliczył, że im więcej ludzi, tym więcej podejrzanych, a więc wina zostaje jakby nieco rozmyta i nie będą zbyt dokładnie sprawdzać każdego, a on akurat nie za bardzo miał ochotę być sprawdzany, to znaczy takie tam duperele jak imię nazwisko i gdzie siedział, to nie problem, gorzej, gdyby poszło za co. Bo Maks nie był zwolennikiem praworządnego życia i czasami robił dziwne rzeczy.

Co prawda, nie miał na sumieniu morderstwa, ale się o nie otarł, bo siedział za napaść z niebezpiecznym narzędziem. Posadzili go na dwa lata.

To była jedna wielka bzdura, ale była.

To znaczy, na takie sprawy obywatela patrzą nieco inaczej niż policjanci, w jego wypadku niebezpiecznym narzędziem okazała się kielbasa, zwykła, choć spora i do tego jadalna kielbasa, której Maks użył jak pałki. Problem w tym, że była to kielbasa salami, a jako taka była też twarda, sucha i ważyła dwa kilo.

Jedno uderzenie posłało kolegę Maksa w niebyt, drugie do szpitala, no a Maksa posłało do więzienia.

Jakie taka kielbasa salami ma ciekawe właściwości, a jeszcze można na dodatek ją zjeść!

– Dobra, to ja pójdę. Lepiej, żeby poszła kobieta! – zawołała Justyna. – Tam mieszkają trzy baby, nie wiem, kto otworzy, ale prawdopodobieństwo, że będzie to facet, jest najmniejsze.

Prawdopodobieństwo, że będzie to zombie, też było małe, a jednak się sprawdziło.

– Aaaaa! – wrzasnęła Justyna, łapiąc się za serce, kiedy zobaczyła dużego, zielonego na twarzy zombie w różowym szlafroku w kwiatki.

Gdyby może to było w innym momencie albo w innej atmosferze, może nie zareagowałyby aż tak gwałtownie, ale teraz była naprawdę zestresowana.

– Czego? – powiedziało to coś niezbyt miłym głosem. – Szlag! Niech pani nie wrzeszczy! Maseczki nie zmyłam! I o co chodzi, że budzi mnie pani w nocy?

Justynę nagle zatkało, a oczy nadal jeszcze wyłaziły jej z orbit.

Bardzo trudno jest zawiadamiać kogoś o morderstwie.

– To kucharka! – wydukała wreszcie po dłuższej chwili siłowania się z własnym głosem.

– Kucharka mnie budzi? Czego ona ode mnie chce, czy może znów się narażała i leży jak martwa zamiast pracować? – Zielony zombie wyraźnie znał kucharkę, i to nie tylko od dobrej strony.

Justyna nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Zawsze uważała, że złe wiadomości podane ot tak zwyczajnie mimochodem mogą wyrzucić paskudne wrażenie, nie chciała kolejnych zwłok, a omdleń nie planowała.

– To drugie – jęknęła jakoś, przekonana, że to zielone coś, choć na pewno jest żoną właściciela, jest też głuchym, bezmózgim potworem.

– Nachląda się i padła? – padło.

Justyna nadal nie umiała wydusić z siebie tej wieści, w końcu zrobiła głęboki wdech i huknęła:

– Nie żyje! Ona nie żyje! Jest martwa, leży martwa! W tapczanie!

Wiadomość lotem błyskawicy rozświetliła zrozumieniem oczy zielonego stwora.

– O kurwa! Winicjuszku! Kochanie! Szybko! – wrzasnęła w głąb mieszkania kobieta. – Wstawaj!

Jakieś poruszenie w ciemnej otchłani korytarza czy przedpokoju objawiło się kolejną kobietą, a w końcu jeszcze jedną.

– Gdzie wrzeszczysz! Po co? Twój pieprzony Winicjuszek już dawno na kurwy polazł – burknęła przybyła, która, z wyglądu sądząc, musiała być teściową Winicjusza. Po twarzy nie dało się stwierdzić, bo też była czymś wymazana.

– Ale jak?

– Tupu, tupu, a jak inaczej? – warknęła kobieta, która wyraźnie dosłownie odebrała to pytanie. – No nie ma go! Polazł gdzieś. Po co ci on? Nie możesz sobie innego, lepszego chłopca poszukać?

Kobiety, wszystkie cztery, były w tym momencie nieco rozedrgane.

– Nie szukam chłopca! To Ernestyna! – odwrzasnęła zielona potwora, zmazując ręką z twarzy okrucy zastygłej brei. Komunikowanie się wrzaskiem nie było konieczne, bo stały obok siebie, ale jakoś tak wyszło.

– Czy ja dobrze usłyszałam? Ernestyna? Ona szuka chłopca? To co, Walduś już nie cacy?

Matka żony Winicjusza była doskonale obeznana w tutejszych układach. Wiadomo, hotele to miejsca bardziej publiczne, niż się ludziom wydaje, tak bardzo publiczne, że wszyscy wszystko wiedzą, a pracownicy zyskują bezpłatne szkolenia z „zastosowania plotek w marketingu” i znajomości życia oraz właściwego oceniania ludzi.

– Walduś może i cacy, ale ona nie żyje! – odburknęła Rita, wyłoniwszy się połowicznie z zielonej skorupy, którą zaczęła zeskubywać z sykiem z twarzy, co zostawiało czerwone ślady na jej powierzchni. Widocznie zielona skorupa, założona prawdopodobnie celowo i dobrowolnie, zastygła albo zaschła nieco za bardzo, czyli jednak nie dobrowolnie.

Rita po prostu zasnęła, zanim zdążyła ją zmyć.

– No! Ja zawsze mówiłam, że ta krowa się zachleje na śmierć albo gdzieś zamarnie – ze sporą satysfakcją oświadczyła najmniejsza i najstarsza z pań – no ale mnie nikt nie słucha! Nikt! Co odwaliała? – zwróciła się do Justyny z zadowoloną miną.

Justyna nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

– Jest tam, tam o. – Wskazała na górę, żeby zaakcentować to, że kucharka leży w tapczanie na piętrze, ale prateściowa zrozumiała to zupełnie inaczej.

– Tam, o? Ona?! Mowy nie ma! Do nieba takich nie wpuszczają! Ja wam to gwarantuję!

Jako Święty (ewentualnie) Piotr prateściowa byłaby bardzo samotna, bo do nieba chyba nawet własnej wnuczki by nie wpuściła.

– Chodziło mi o piętro.

– Zamarzła na naszym piętrze? Niemożliwe!

– Nie zamarzła. Ktoś ją zamordował! – wydusiła wreszcie Justyna, bo w końcu przecież musiała to powiedzieć.

– O ja pierdołę! – jęknęła Rita. – Ja pierdołę! Jeszcze tego nam brakowało! Szlag!

Poruszenie sprawiło, że nagle Justyna pomyślała nieco cieplej o Ricie, ale się przeliczyła.

– Przecież sanepid nas zajebie! Zwłoki zamordowane...

– I do tego w mroźniakach! – uściśliła sanepidowy armagedon Justyna.

Pod hotel właśnie podjechał samochód policyjny, piekielnie oświetlony na niebiesko i wyjący syreną tak, że obudził resztki tych, których jeszcze nie obudziły wrzaski.

\*\*\*

– Aspirant Niedziałek i posterunkowy Puchacz – przedstawił siebie i podwładnego starszy z policjantów, widząc cztery kobiety stojące na parterze, nie całkiem ubrane, ale w tym momencie to akurat nie musiało dziwić.

– Gdzie denatka? – zapytał Puchacz bezceremonialnie. – Znaczy, gdzie zwłoki? – dodał po chwili. Oczywiście uczył się o tym, że należy z szacunkiem i liczy się spersonalizowane podejście, ale o tej porze nocy było mu wszystko jedno.

Innym chyba też, bo nikt nie zareagował oburzeniem.

Wszyscy ruszyli za Justyną.

Całe piętrowe było już dokładnie zdeptane, pokój też, a zwłoki obejrzało tyle osób, że aż dziw bierze, że jeszcze były w tym samym miejscu.

Policjanci pogonili wszystkich na korytarz.

– Skąd się państwo tutaj wzięliście? – zapytał Alojzy nieco zmęczonym głosem, bo jednak takie wędrówki późną nocą w święta, po obcym hotelu, to trochę niezwykła sprawa.

– To ja wszystko spowodowałam – jęknęła Maryla Kotowicz. – To moja wina.

– Zabiła ją pani? – ucieszył się posterunkowy Puchacz.

– Nie, no co pan! Przecież ja tylko złamałam kość ogonową! Co też pan insynuuje?

– Jej? – dopytał zaszokowany. – Jej pani złamała? Kość ogonową?

– Nie jej! Sobie! – warknęła.

Policjanci nie mogli zrozumieć, co, jak, gdzie i dlaczego. I co kość ogonowa jednej kobiety ma do zejścia śmiertelnego drugiej.

– Co ma do tego kość ogonowa, pani własna, złamana czy nie? Na niej ją sobie pani złamała?

Maryla Kotowicz westchnęła i opowiedziała, jak po cichu, całkiem naga, choć w szlafroku, przekradła się do pokoju numer dwadzieścia pięć, żeby uratować swój puchnący tyłek, bo to był jedyny ratunek na coraz większą opuchliznę.

Jak weszła, jak usiadła na trochę rozmrożonych brukselkach i jak zaczęła się kokosić, co spowodowało znalezienie zwłok.

– I ona już tu leżała? Od jak dawna?

Pytanie było tak durne, że nikt nie był w stanie na nie odpowiedzieć.

Technicy pojawili się w towarzystwie kogoś z prokuratury i jakiegoś lekarza. Facet z prokuratury był tak wściekły, że od razu było widać, że jest z prokuratury. Lekarz za to był kompletnie zalany. Oczywiście miał prawo, w święta miał, choć chyba nie miał, to zależy, czy był na dyżurze, czy tylko złapano go przypadkiem i nie umiał się wykręcić.

– Ktoś jej poderznął gardło? – powiedział Puchacz. – Strasznie to dziwne. Tak podciąć to trzeba z tyłu, czyli przed tapczanem, a potem jakoś ją do tapczanu wrzucić. Czy tu nie ma za mało krwi?

– Oczywiście, że jest za mało, bo nikt jej gardła nie poderznął! – odburknął lekarz. – To zaschnięta krew z rany.

– Na szyi?

– Na szyi tak. Krew, ale nie rana, ta rana jest w piersi. Nóż dość duży, rzeźnicki bym powiedział, trochę krwi wyciekło, jak już leżała, i spływało na szyję, a tam zaschło. Musiała dość długo tu leżeć.

– Kiedy widziano ją po raz ostatni? – zapytał Alojzy i wszyscy zaczęli się zastanawiać.

Z kucharkami to jest tak, że nikt ich jakoś specjalnie nie ogląda ani nie zapamiętuje.

A już najmniej goście hotelowi, bo po co im kucharka? Kucharki są *passé*, niemodne i nieeleganckie. A nawet gdyby, to jednak nie jest to ktoś, kto służy do oglądania.

Może gdyby to jeszcze był jakiś modny młody kucharz z kłatą, a w jadłospisie było coś z kawiozem i krabami, a nie jakieś uszka czy coś takiego, to ktoś może chciałby go sobie obejrzeć i powiedzieć mu, że owszem, kraby były obrzydliwie czerwone, a kawior cuchnął rybą, no ale tak?

Nazwanie kogoś kucharką jest nawet uznawane za obrzydliwe.

Taka Magda Gessler nigdy by sobie na coś takiego nie pozwoliła, bo ona jest restauratorką, ale Ernestyna nie była restauratorką, bo tylko gotowała.

Nie pokazywała się ludziom. Nie pokazywała się nawet współpracownikom, o ile mogła się nie pokazywać.

Nikomu się nie pokazywała, a ostatnio nawet nie pokazywała się mężowi, ale wszyscy myśleli, że gdzieś jest.

No i w sumie była, ale nikt nie brał pod uwagę tapczanu.

Policjanci stwierdzili, że właściciel najprędzej będzie wiedział, kto, gdzie, jak i o której, ale właściciel też człowiek i nie wszystko sprawdza, a w święta ludzie działają inaczej.

Zresztą właściciela nie było.

Nagle w korytarzu pojawił się blady, świetlisty pobłysk. Wyglądał trochę jak duch.



To była kobieta w długiej białej sukni, wyraźnie to były koronki, pod szyją miała żabot i jakiś klejnot, a włosy uczesane w okrągły kok na środku głowy z wążką dookoła, tak że wyglądała na panienkę z dworku, takiego dziewiętnastowiecznego.

– O ja pierdole, duch! – wrzasnęła Maryla Kotowicz.

Postać kobieca bezszelestnie, bezgłośnie, z powagą i dumą przepłynęła przez korytarz, budząc popłoch zebranych.

– No, ciekawe – powiedziała prateściowa – jej to już się tu nie spodziewałam zobaczyć.

– Zna ją pani?

– Kogo?

– Tego ducha!

– A znam, znam! – odpowiedziała, zadowolona, że wreszcie ktoś chce ją wysłuchać. Starsi ludzie mają z tym problem, dlatego często zamęczają innych gadaniem, które nikogo nie obchodzi. A wystarczyłoby zmienić repertuar, zamiast o cenie karpia w Biedronce opowiadać o podbojach miłosnych sąsiadek i już każdy by się zainteresował.

– To co taka elegancka panienka robi w takim miejscu, tu wcześniej był jakiś dworek czy co? – zapytała Maryla, kiedy już się ocknęła i trochę przestała wierzyć własnym oczom.

– Ona, elegancka? Pani zwariowała? Przecież to potoroce, kurwa zwykła była!

– Ale, że tak w długiej sukni? Tak sobie lata? Jak taka starodawna duszyca?

– A gdzie tam lata, stoi, o tam. – Wskazała w głąb korytarza.

Wszyscy zerknęli w lewo, a tam przy ścianie, na samym końcu korytarza ktoś stał, wydawało się, że widzą jakąś kobietę. I wcale nikogo by to nie zdziwiło, bo kobiety w hotelach to nie jest jakaś rzadkość, gdyby nie to, że ta konkretna właśnie zniknęła w ścianie.

Zdecydowanie nie była panienką z dobrego domu.

\*\*\*

Justyna wpadła do pokoju Kaśki i Oliwii wściekła.

– Zwariowałyście?! Musicie natychmiast przestać!

– No co? – zapytały obie, udając obrażone. Wyraźnie wyczuwały insynuację.

– No nic, ale jeden trup nam wystarczy! Po jaką cholere używacie tego gówna!

Wskazała ma maszynierę z obiektywem, którą dziewczyny właśnie skrętnie zakrywały kocykiem.

– No co, Maks kupił na aliekspresie, chcieliśmy sprawdzić! – wyburzały dziewczyny.

– Po co wam taki durny projektor?! – Justyna oczywiście wiedziała, do czego to służy, ale nie rozumiała, co ludzie nauki mogą uzyskać, stosując takie tanie sztuczki.

– Bo podkręca atmosferę! Nie rozumiesz? Jesteś normalnie naiwniaczką! – krzyknęła Kaśka.

– Nie, nie jestem, ale po co wy musiałyście wystawić tam akurat tego ducha? To trupa wam mało?!

Dziewczyny zrobiły się czerwone, ale jak się okazało, nie ze wstydu.

– Wiesz?! Wiesz? Ty to jesteś marna jak gówno w kiblu! Po co nam zwłoki? Nic nie dają, a my mamy materiał do nakręcenia! My musimy się rozwijać! Nie robimy tego dla nauki, tylko dla popularności! – powiedziały takim głosem, jakby robienie czegokolwiek dla nauki było marnością nad marnościami, a robienie czegokolwiek dla popularności było wartością najwyższą.

– I będziecie nakręcać te własne duchy z projektora? Każdy się na tym pozna! Będzie wstyd, a jeszcze my przez was oberwiemy!

I to była oczywiście prawda, bo istniały niepisane zasady działania grup związanych z łowieniem duchów: jeżeli dwie grupy były gdzieś razem, nie miały prawa sobie przeczyć czy na siebie donosić, bo to by było oczywiście katastrofalne dla obu grup.

– Nie, nie będziemy, ale jak mówiłam, podkręcimy atmosferkę, teraz każdy będzie nastawiony na ducha, a takie nastawienie daje efekty!

To właściwie było prawdą, takie rozedrganie emocjonalne ludzi w sprawie uczestniczących zawsze owocowało pewnymi interesującymi wydarzeniami, ale, co ciekawe, częstsze jednak były zawały i omdlenia niż prawdziwe duchy.

Ludzkie rozedrganie na duchy nie działa przyzywająco.

– A jak to zrobiliście, że duch zniknął w ścianie, zamiast się na tej ścianie po prostu wyświetlić? – zapytała trochę z ciekawości, bo oni, czyli jej grupa DrDuch, takich sprzętów nie mieli, ale warto było wiedzieć, jak to wszystko działa.

– A to? Nie wiem, ja po prostu wyłączyłam. Może samo tak wyszło? – odpowiedziała Oliwia, wzruszając ramionami.

Jej tak naprawdę było wszystko jedno, ona miała wyglądać, resztą zajmowali się inni, to znaczy właściwie Maks, bo Kaśka też uważała, że nie jest od pracy, tylko od pokazywania wdzięków.

– No, ale jeżeli to chińskie, to rzeczywiście, ciekawy ten duch wam wyszedł. Ten pierwszy w sukni z koronek to przegięcie, takiego tu nikt by się nie spodziewał, ale tamten... Super, realistyczny jak szlag.

– Jaki tamten? – zapytała Kaśka z zaciekawieniem. – To były dwa?

– No, ta kobieta z rozwaloną głową. Świetna była, choć powiem, że przesadzona, bo duch duchem, ale jak ludzie zaczną padać na zawaly...

– Jaka kobieta z rozwaloną głową? – pisnęły obie, nie będąc pewne, czy Justyna ich nie wkręca.

– No ta z butelką.

Dziewczyny odkryły maszynię i pokazały sześć dostępnych w pakiecie obrazków, które mogły przesyłać. Wyglądało to tak, że maszynieria dość spora i wymagająca zasilania stała w pokoju, a ktoś brał ze sobą do kieszeni małeńki moduł i poprzez tę kieszeń wyświetlał ducha w powietrzu. Nie wiadomo było, jak to robił, ale robił.

W obrazkach był jakiś długowłosy Indianin w pióropuszu, wyraźnie idealny na rynek amerykański, mała dziewczynka o długich włosach, przerażająca w swojej postaci, elegancka kobieta w długiej sukni oraz pirat bez nogi, kobieta, która wyglądała na prostytutkę albo cyrkówkę oraz wampir.

Był to bardzo amerykański rozrzut możliwości i w Polsce w tym małym nadmorskim, polskim miasteczku nie bardzo to pasowało. No, może pirat, ale on by raczej śmieszył. Wampir? No nie za bardzo, w takim hotelu nie było krypt, tylko dziewczynka była jaka taka, ale za bardzo kojarzyła się z filmem *The Ring* i ta kobieta w sukni, która mogła pasować wszędzie, ale w hotelu robotniczym była bezsensem.

– Nie, to żaden z tych – stwierdziła Justyna.

– Ty nas, kurwa, nie strasz! – wrzasnęła Kaśka. – Żadnej z butelką, może jakiś weselnik albo coś? Ktoś sobie dziunię przyprowadził. Duchów nie ma!

– To dlaczego zniknęła w ścianie?!

– Pierdol się! Nikt nie zniknął w ścianie! Słyszysz?!

Stan wiary niektórych ludzi, wiary w cokolwiek, jest taki. Na pokaz albo się wierzy, albo nie. Fakt, innej możliwości nie ma. Tu było dość dziwne, dziewczyny na pokaz wierzyły (musiały, bo przecież bez tego ich filmiki byłyby skazane na zapomnienie w sieci), a w życiu nie wierzyły, bo to obciach, ale wyglądało na to, że ta niewiara była dość słaba i obciach obciachem, ale duchów nie chciały spotkać, szczególnie tych prawdziwych.

Jakoś się ich chyba bały.

\*\*\*

Pisk na korytarzu wywołał policjantów z pokoju, w którym nadal jeszcze leżały zwłoki kucharki.

– Duuuuuch! – wrzeszczeni wszyscy. Udzieliła im się atmosfera grozy. Bo święta, duchy i zwłoki to prawdziwie wybuchowa mieszanka.

No i byli podłani mniej lub bardziej alkoholem, a alkohol też bardzo ułatwia różne wizje, niektóre powoduje sam. Mówi się, że zazwyczaj są to białe myszki, ale niektórzy twierdzą, że nie muszą być białe, inni, że nie muszą to być myszki, ale jednak coś, co jest paskudne, bo stado białych kotków jako delirium by się chyba nie sprawdziło, choć czarnych – kto wie?

No i pająki, te byłyby świetne, zwłaszcza tarantule.

Ludzie piszczeni, kotłowali się, przepychali, w każdym razie zachowywali się zupełnie nierozsądnie.

Nie mieli w tym względzie doświadczenia, nigdy jeszcze żadne z nich w takiej sytuacji nie było.

– Proszę o spokój! Rozejść się! Zbiegowisko nie jest nam tu do niczego potrzebne. Do pokoi, ale już! – wrzasnął Alojzy jak do małych dzieci, do czego właściwie był przyzwyczajony. – Przyjdziemy was przesłuchać – dodał, wzbudzając konsternację, bo jednak nikt nie zamierzał opuszczać tego jakże ciekawego miejsca pod pokojem numer dwadzieścia pięć.

To wcale nie tak, że ludzie byli ciekawscy czy wścibscy, po prostu każdy lubi, jak coś się dzieje.

Jedynie trzy panie właścicielki, to znaczy żona, teściowa i prateściowa Winicjusza, popatrzyły na policjanta takim wzrokiem, że nie był w stanie wytrzymać ich spojrzenia.

Ten wzrok był iście bazylijszkowy.

– Nam pan rozkazywał nie będzie – warknęła Rita. – Jesteśmy tu u siebie!

Zanościło się na awanturę.

Wszyscy inni, którzy u siebie nie byli i na kłopoty ochoty nie mieli, przynajmniej zaczęli udawać, że się ewakuują.

Do dwóch ledwie żywych weselników podszedł trzeci, który chyba stanowił ich niańkę albo ochroniarza, bo złapał ich za koszule i odtransportował do jednego z pokoi, po czym wrócił w to samo miejsce, z którego ich eksmitował, i zaczął się rozglądać z ciekawością, na dodatek wyglądał na trzeźwego.

– Dobra, to ja idę do pani! – zawołała Justyna, która po awanturze z Oliwią i Kaśką znów znalazła się na drugim piętrze. Powiedziała to do Maryli Kotowicz posiadającej najlepszy w tym momencie pokój, i to z najlepszym widokiem na korytarz.

Oliwia i Kaśka zresztą też latały jak z pieprzem na wpół nagie pośród rozhisteryzowanych ludzi, bo gdzieś tam siedział Maks i filmował je z ukrycia. Inaczej nie mógł, bo policja zabrałaby mu sprzęt.

A one miały ochotę skorzystać.

Bo to miało być tak: Maks wpuszcza w sieć filmik na przykład o duchu albo, z braku innych możliwości, o morderstwie, a na filmiku to tu, to tam widać ładny cycek Oliwii, makijaż Kaśki czy ich zgrabne i powabne sylwetki. Roman Polański szuka inspiracji w Internecie i trafia na filmik Maks. Doznaje oniemiaenia, ewentualnie zachwycenia i pisze do Maks entuzjastyczną prośbę, w której oświadcza, że chce mieć te dziewczyny u siebie.

– Dawaj je tu do mnie (gdziekolwiek jest, bo chyba jednak nie w Hollywood), ja z nich zrobię gwiazdy.

Wszystkie dziewczyny mają takie marzenia, tylko nie wszystkie się do nich przyznają, dlatego Oliwia i Kaśka zawsze były zrobione i modnie ubrane oraz na wpół gołe, bo to też pomaga.

Dodatkowo, gdyby Polański jednak nie wypalił, liczyły na superfilmiki, superkliki i superoglądalność, dlatego postawiły na tusz i goliznę. Choć tuszu było naprawdę dużo, a golizny tylko trochę.

– To ja idę z wami – zadeklarował Robert, widząc, jak Justyna i Maryla znikają za drzwiami pokoju, z którego można było mieć oko na wszystko. Wystarczyło zostawić otwarte drzwi, a tego nikt nie mógł im zabronić.

Na wszelki wypadek Maryla przygotowała opakowanie jakiegoś leku wziewnego, żeby w razie potrzeby tłumaczyć się, że jej duszno, a okna nie otworzy, bo zima.

Pokój Maryli był najlepszym miejscem, bo wszystko było słychać i widać. A nawet i filmować, gdyby zaszła taka konieczność.

– Przepraszam bardzo. – Trzeźwy weselnik, jak go właśnie w myślach nazwała Justyna, podszedł do niej i zapytał: – Mogę z wami chwilę porozmawiać? Jestem, że tak powiem, zainteresowany.

Tym oświadczeniem oczywiście Ameryki nie odkrył ani też nie popisał się elokwencją.

– Tu każdy jest zainteresowany – burknęła Oliwia, przyglądając się chłopakowi.

I właśnie to sprawiło, że Justyna postanowiła się zgodzić.

– Proszę, jasne – odparła, zabierając chłopaka sprzed oczu Oliwii. – Może pan z nami pogadać, nie wiemy, co prawda, niczego, ale służymy wszelkimi informacjami.

– Których nie posiadacie? – zaryzykował.

– Których jak najbardziej nie posiadamy!

Zabrzmiało to, jakby chciała się podzielić czymś, czego nie miała, ale to wystarczyło, żeby zainteresować chłopaka i wkurzyć Oliwię.

Justyna sama nie wiedziała, co było lepsze. I jedno, i drugie sprawiło jej wielką przyjemność.

Zresztą była to akcja jak z reklamy szamponu, dwa w jednym. Dostała wściekłość rywalki i zainteresowanie chłopaka.

Lepsze to niż nic.

Już mieli wejść do pokoju Maryli, kiedy z jednego z pokoi w dalszej części korytarza tonącej w tej chwili w niejaki mrok wyłonił się Winicjusz.

– Co tu się wyprawia?! Nie rozumiem, co tu się dzieje – rzucił charakterystycznym głosem człowieka nieco zaspianego, zapinając spodnie i poprawiając klejnoty w taki sposób, jakby właśnie skończył uprawiać jakiś bardzo egzotyczny gatunek seksu i dostał od niego odcisków na przyrodzeniu.

Albo pomidorów, ale pomidory nie rosną w pokojach hotelowych. To znaczy nie dostał pomidorów na przyrodzeniu, chodzi bardziej o to, co uprawiał, a pomidory nie wchodziły w grę.

Rozejrzał się z zadowoleniem, które zaczęło blednąć nieco na widok żony i jej rodzinnej kompanii. Na widok policjantów zbladło definitywnie.

Nikt policji nie kocha. Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie społeczeństwo wielbi policję, choć jest lub bywa przydatna.

– A co panowie tu robią? – zapytał, jakby naprawdę nie miał o niczym pojęcia. – I wy też? – zwrócił się do trzech kobiet, z których jedną była jego własna, choć zdecydowanie nie ukochana żona. Od razu dało się zauważyć u Wini-cjusza szczękościsk i jego wyraźną niechęć do tej babskiej trójcy.

Ach ci mężowie, ślubują miłość do grobowej deski, a potem nie umieją się z niej wypłatać.

Nikt w tym momencie Wini-cjuszowi nie odpowiedział. Wszyscy zamarli jak jakieś posągi, bo ciekawi byli, kto i jak uświadomi właścicielowi katastrofę.

A już sama utrata kucharki mogła ją zwiastować, nie mówiąc o śledztwie. Paskudnym, z pewnością nieudolnym i długotrwałym, a może nawet wiążącym się z zamknięciem hotelu.

Takie rzeczy nigdy nie są lekkie, łatwe i przyjemne, a już z pewnością nie dla hotelarzy.

Ludzie nie spieszyli się z wyjaśnieniami, wiadomo, nosiciele złych wiadomości kiedyś ścinano, do teraz pokutuje strach przed powiedzeniem komuś czegoś takiego, co mogłoby go wkurzyć i odbić się na tym, kto to coś mówi.

Są jednak tacy, którzy się w ogłaszaniu katastrof lubują. Są to najczęściej portale informacyjne, które wszędzie widzą tragedie, masakry i breaking newsy, albo żony.

Nie, nie chodzi o to, że to żony są złem, ale o to, że przekazują złe wieści. Czasami nawet z wielką przyjemnością.

No i po chwili oczywiście, i to z dziką satysfakcją, zrobiła to żona.

– Ty kretynie! Kucharkę ci ktoś zabił, a ty sobie dupy zaliczasz? – wrzasnęła, po czym teatralnie splunęła w ciemną przestrzeń korytarza.

W jednym zdaniu ogłosiła wszystkim, że Wini-cjusz jest nieodpowiedzialnym facetem, który zdradza żonę, oraz że będą głodni do odwołania.

Pierwsze i drugie nie zainteresowało nikogo, trzecie nieco wszystkimi wstrząsnęło. Dopiero teraz dotarł do nich związek pomiędzy kucharką a ich dobrostanem.

– Kochanie, co to za słownictwo? – wyburczał Wini-cjusz, wcale nie zwracając uwagi na to, co powiedziała żona. Albo tylko nie chciał się na ten temat wypowiadać, albo nie zauważył posądzenia o zdradę. – Co znowu z kucharką?

– Nie żyje! – odskrzyknęła wściekła żona.

– Ernestyna? – zapytał Wini-cjusz niepewnym głosem.

– A mamy inną? – zapytała jadownicę żona.

– Nie pierdolisz? – zapytał jeszcze raz, tym razem naprawdę zdziwiony. – Ale jak? Zapiła się?

Wyraźnie widać było, że cały personel był poinformowany o skłonnościach kucharki.

– Nie! Ktoś ją zadźgał.

– Właśnie. – Z pokoju wychynął Alojzy. – Mamy coś jeszcze! Może pan wejść, może pan... rozpozna?

Wini-cjusz westchnął niechętnie i ruszył jak na ścięcie, nie wiadomo dlaczego wciąż poprawiając klejnoty.

Wtłoczył się do pokoju, gdzie wciąż jeszcze leżała kucharka, za nim ruszyła reszta, czyli żona, teściowa i jej matka. Nie dało się ich powstrzymać.

To był cały tłum, ale Alojzy nie wiedział, co zrobić.

Nie bardzo wiedział, jak to wszystko ogarnąć.

Było strasznie ciasno, bo pokoje hotelowe, zwłaszcza tego typu, do obszernych nie należą, zresztą te były jeszcze jakby mniejsze, bo przecież z każdego trzeba było wykombinować miejsce na łazienkę, pokoje bez łazienek to już teraz taki hardcore, że praktycznie nikt ich nie wynajmuje.

Tu, w przedpokoju, było wejście do łazienki i tam właśnie całą świtę zaprowadził Alojzy, który usiłował wszystko ogarnąć, ale nie dawał rady. Nie był mistrzem ludzkich układanek.

W łazience, na lustrze, tym razem chyba szminką, bo krew by jednak ściekła, napisane było coś dziwnego.

„Teraz ty...”

– O ja pierdołę – warknęła Rita do Alojzego. – Dlaczego nam pan to pokazuje? Chce nas pan zastraszyć? No jasne, taka już jest nasza policja, co ja mówię, nasza... Chce nas pan wykończyć psychicznie? O to panu chodzi?

– To jasne, chce nas przestraszyć! – Babcia starowinka aż pisnęła z zachwytem. – Policja tak zawsze! No ale to i tak nic nie zmienia, bo nie wiadomo kto... Pewnie sam te zwłoki podrzucił, a teraz będzie zwał na nas... I teraz nam grozi, że ktoś nas... Albo kogoś?

– Co ktoś nas albo kogoś? – zapytała Rita.

– Zamorduje, czy to nie jasne?! Ktoś przecież zostanie zamordowany! Już, zaraz, teraz! Tak jest napisane, że teraz. Tylko nie wiadomo, o kogo chodzi.

Wszyscy aż jęknęli. Było to rzeczywiście coś w rodzaju zapowiedzi mordu, skierowanej do kogoś konkretnego, kogoś, kto czytając to, powinien zrozumieć, że chodzi właśnie o niego albo o nią, ale to wcale nie zawężyło możliwości. To mógł być każdy.

– Może rozpoznacie, kto to napisał?

– Jasne – warknęła Rita wściekle – przecież, że duch! On tu już ostatnio pisał!

Duch byłby bardzo wygodny, bo jednak odsuwał podejrzenia od wszystkich innych, niestety (albo lepiej na szczęście) nie można go postawić przed sądem. No i dodatkowo, będąc policjantem, trudno przyznać się do wiary w duchy. Prywatnie też średnio, ale w mundurze – żadnych szans.

– Czyli ten, kto zabił kucharkę, zabije jeszcze kogoś? – zapytał ich Alojzy bezwiednie. – To się w głowie nie mieści.

– A dlaczego?

– Dlaczego zabije?

– Nie, dlaczego to ogłasza, bo szefie, jakby taki morderca chciał naprawdę zabić, to po co by to zapowiadał? To bez sensu. – Marcin Puchacz wetknął głowę do całkowicie zapchanej łazienki. – Technicy już wszystko załatwili, właśnie wnoszą kucharkę. I wie szef co? Karpie jeszcze tam były.

– Gdzie?

– W tapczanie!

– Nie pływały w tapczanie?

– Nie, raczej taplały się we krwi, ale były wypatroszone i obłożone cebulą – uściślił, dodając nieco makabry kulinarnej do tej zwykłej, bo każdy teraz zaczął się zastanawiać, jak smakuje karp wytaplany we krwi.

Ta wiadomość bardzo zdenerwowała właściciela hotelu.

– Złodziejka pieprzona – warknął Winicjusz. – Ciągłe nam wychodziło, że w kuchni czegoś brakuje albo że nasi goście jedzą uszami, a to teraz widać, o co chodziło! Kradła, jebana!

Wszyscy zamarli.

Takie słowa na temat ofiary tuż po morderstwie, i to w obecności policjantów, nigdy nie są pożądane. To znaczy są, ale tylko przez przedstawicieli prawa. Bo im nagle wszystko się jakoś układa. Wreszcie ktoś przestaje stosować sławetne „albo dobrze, albo wcale”, a do tego zazwyczaj przy sprawie o morderstwo wszyscy nagle zaczynają uwielbiać ofiarę, sądząc, że jeżeli powiedzą o niej coś nieprzyjemnego, to zaraz zyskają kilka punktów karnych i zostaną podejrzani o jej zamordowanie.

– I dlatego pan ją zabił? – zapytał Alojzy z zadowoleniem. On właśnie tak podchodził do sprawy. Nie był tuzem intelektu, wszystko brał mniej więcej po prostu, to znaczy: nie lubił, to zabił, przecież gdyby lubił, to chyba by tego nie zrobił.

Jak na ironię dwaj nietrzeźwi weselnicy zaintonowali kolędę, niestety po swojemu. „Wśród nocnej ciszy smród się rozchodzi”, co bardzo pasowało do tej konkretnej sytuacji, może nie fizycznie, ale emocjonalnie jak najbardziej.

Winicjusz mimo to chyba nawet się za bardzo nie przestraszył.

– A pan zdurniał! Ja? Nie zabiłem jej! Przecież mogłem ją zwolnić! – oświadczył, zadowolony z siebie.

– No jasne, mogłeś! Ha, ha! Dobrze sobie! – Rita roześmiała się bardzo złośliwie, jakby coś chciała zasugerować. – To dlaczego jej nie zwolniłeś?!

Takie połajanki dużo świadczą o układach.

– Zamknij się, kobieto! – Wyraźnie te małżeńskie przepychanki nie były mu na rękę.

– Ty mi tu nie wyskakuj z kobietą, śmieciu. – Marianna, czyli teściowa, stanęła w obronie córki. – Wszyscy wiedzą, że Ernestyna coś na ciebie miała!

Sprawa zaczynała się rozwijać.

Ludzie w stresie zaczynają zrzucać na siebie nawzajem jakieś winy, niekiedy nieprawdziwe, niekiedy nawet nieprawdopodobne, ale i te logiczne czasami mogą się trafić. Choćby przypadkiem. Najczęściej jest to tylko załatwianie porachunków w obliczu zagrożenia, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, dokopać komuś i odsunąć podejrzenia od siebie, bywa to zazwyczaj bardziej żalosne niż w jakikolwiek sposób pomocne.

Tyle że w panice ludzie nie myślą, walą na oślep pięściami albo oskarżeniami, a czasami trafi się nawet siekiera. Odwieczny dylemat: co zrobić wobec zagrożenia? Jedni mówią: walczyć, inni: uciekać, a są i tacy, którzy wybierają trzecią opcję – dowalić wrogowi, póki nikt nie patrzy.

– Nic na mnie nikt nie miał! Byłem ludzki! Tu nie ma pracy, nie zwolniłem jej, bo nigdzie by zatrudnienia nie znalazła! Tylko tyle! I to teraz ma świadczyć przeciwko mnie?! A poza tym, skąd bym wziął inną kucharkę?! Co wy, myślicie, że kucharki leżą na ulicy?

No jakby się tak zastanowić, to w pewnych okolicznościach jednak leżą, a te to nawet często się to zdarzało.

Wszyscy zainteresowani wytoczyli się na korytarz, głośno komentując sprawę, co dało czającym się w pobliskich pokojach gościom hotelowym niezły materiał do przemyśleń i dyskusji.

\*\*\*

– Dziwnie to wszystko wygląda – stwierdził, wzdychając, nieznajomy weselnik. – Wiktor jestem – przedstawił się. – Możecie mi opowiedzieć, co tu się stało?

– W sumie nic, tylko ktoś zamordował kucharkę. – Justyna westchnęła, wzruszając ramionami, jakby takie sprawy to był jej chleb powszedni.

– I duchy latały po korytarzu, a wcześniej też po tym pokoju, co ją potem zadźgało.

– A może nie potem? Przedtem? – zapytał Wiktor.

Kiedy to powiedział, zdali sobie sprawę, że właściwie kolejność jednak nie została ustalona, bo nikt nie wiedział, kiedy kucharka została zamordowana.

– Nie wiadomo, bo nikt nie pamięta, kiedy ktokolwiek ją widział ostatnio, ale przez cały dzień jej nie było, więc to może być starsza sprawa.

– I dopiero dziś ją znaleziono? W nocy? Kto ją znalazł? – indagował dopiero co poznany chłopak. W tym indagowaniu był jakiś taki bardzo profesjonalny.

– No ja – wyjaśniła Maryla Kotowicz, która chodziła z kąta w kąt, bo nie bardzo miała jak siedzieć. Nie było całkowicie pewne, że jej kość ogonowa jest złamana, ale że boli, pewne było.

Opowiedziała, po co, dlaczego i w wyniku jakich wydarzeń usiłowała odmrozić sobie tyłek na mrożonkach nieboszczki, a nawet zamierzała pokazać im filmik z oględzinami spuchniętego tyłka, ale nikt nie chciał tego oglądać.

– I co sądzicie? Kto to mógł zrobić?

– A cholera wie – burknęła Justyna. – Nikt nie wie, tak łatwo teraz coś palnąć, ty gdzieś to napiszesz, jakiś tabloid poda i potem uczciwy człowiek będzie miał kłopoty. Mowy nie ma, nic nie powiem.

Justyna nienawidziła tabloidów i nie chciała się przyczyniać do rozpowszechniania niesprawdzonych wieści. Co to to nie.

– Ale ja tego nie zrobię! – zaperzył się Wiktor.

– A bo to wiadomo? Możesz nawet przysięgać na głowy dzieci i miłość żony, a potem się okaże, że ani żony nie kochasz, ani dzieci, a skłamać skłamiesz.

Tu Justyna, choć tak trochę na wyrost, spróbowała ustalić stan cywilny Wiktora, bo nie lubiła dojadać zupy z cudzego talerza. To znaczy nie zamierzała za bardzo angażować się w żonatego faceta. W tego jeszcze w ogóle nie zamierzała się angażować, ale lepiej wiedzieć z góry.

– Zero dzieci, zero żon, nawet byłych – oświadczył chłopak ze złośliwym trochę uśmiechem, bo chyba odkrył jej intencje. – I nie, to nie ja byłem Ewą, znaczy panem młodym.

– Ale jesteś dziennikarzem! – rzuciła Justyna, jakby to była wielka obraza.

– Pudło!

– No to dlaczego cię interesują te rzeczy? Ha?

– Durne pytanie! – Roześmiał się. – Bo was nie interesują? – odciął się sprytnie.

– Ale my tu byliśmy, a ty nie, byłeś na imprezie, więc po co? My się interesujemy, bo to nas dotyczy, to proste. A ciebie nie dotyczy!

– Nie pomyślałaś, że mógłbym być mordercą? – rzucił od niechcienia. Było to dość bezsensowne, bo wcale nie tłumaczyło jego zainteresowania. Gdyby był mordercą, wiedziałby wszystko.

– A niby dlaczego? Pominąwszy jakiś motyw, który nawet mógłbyś mieć, to ciebie tu nie było.

– Bo przecież mogłem wyskoczyć na chwilę z imprezy, zabić kucharkę, wrócić tam i udawać niewiniątko.

– A po co miałbyś ją zabijać?

– Nie wiem, zabija się z powodu różnych rzeczy – wyjaśnił, bo przecież chodziło w tym momencie o jakiś do-myślny choćby motyw.

– Ale kucharkę? – zapytała jakoś tak zdziwiona Maryla. – Wiecie, o co mi chodzi. To hotel, tu można w sumie zabić każdego...

To rozumowanie nikomu nie przypadło do gustu, ale coś w tym jednak było. Jakoś tak jest, że w hotelu morduje się gości, personel można zamordować w parku albo w sklepie...

– Wszędzie można zabić każdego!

– No ale chodzi mi o to, że kucharka to nie jest ktoś, kogo się zabija w hotelu! Ją można zabić w domu!

– Każdego można...

– Nie, moment, to tylko świadczy o tym, że morderca jest albo pracownikiem hotelu, albo właścicielem, albo gościem – wyjaśniła Justyna.

– Też mi problem, czyli każdy? Innej możliwości nie ma.

– Jest inna. Na przykład mieszkaniac miasteczka niebędący ani pracownikiem, ani gościem?

– Nie, ale chodzi o to, że jakby każdy z obecnych! Choć ja na przykład nie miałabym za co jej zabijać! – mruknęła Justyna.

– Bo gdybyś miała, tobyś się przyznała? Nie, ale to nam ułatwia sprawę, weselników bym całkowicie wykluczył.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że ty też mogłeś, choć jesteś weselnikiem, oni w takim razie też mogli wyskoczyć z imprezy, zabić i wrócić na wesele, czy coś pominęłam?

Złośliwość Justyny aż biła po oczach.

– Owszem. Zapominasz o jednym. Ja jestem trzeźwy, a oni są uwaleni jak sześć messerschmittów razem wziętych. Ledwie się taczają, w takiej sytuacji nie dałoby rady. Czyli kogo mamy?

– Teraz są pijani, ale wcześniej mogli nie być – odcięła się Justyna, pamiętając, że nie znają przecież czasu zgonu.

– Cały czas byli, wierz mi, wiem, co mówię. – Westchnął spektakularnie.

– No to mamy rodzinę Winićjusza, w tym jego samego. Cztery osoby. Jako właściciel nie powinien jej zabijać na swoim terenie, ale może go wkurzyła?

Wszyscy wizualizowali sobie właściciela i ten jego babski tercet jak najbardziej egzotyczny. O ile on może nie wielki, ale spory facet dałby radę, żona też, teściowa jako tako, to wątpliwości budziła prateściowa.

– Ta babciunia też? – zdziwiła się Maryla.

– Babciunia to szatan! Też by mogła, choć nie wiem, czy dałaby radę akurat kucharce, ale w sumie, no nie wiem. Poza tym Duchacze, czyli ta grupa od duchów, Oliwia, Kaśka i Maks.

– Mogliby? – Wiktor coś sobie zanotował.

– Móc to by mogli, ale po co, to nie wiem. Poza tym my, czyli DrDuch: Robert, Łukasz i ja. Też chyba dałobyśmy radę i też nie mam pojęcia po co, ale móc owszem. Zostaje pani Maryla. – Justyna wskazała na właścicielkę pokoju nadal krążącą dookoła nich.

– Z moją dupą?! – wrzasnęła wymieniona kobieta, bardzo niezadowolona.

– Dupą pani nie dźgała, no i to było jeszcze przed tym upadkiem. Mogła pani.

– Jest jeszcze ta staruszka z laską...

– To ona! Na pewno ona! – krzyknęła od drzwi Oliwia. – Wiem!

– Widziała ją pani? – zdziwił się Wiktor.

– Oczywiście na śniadaniu! Przecież ślepa nie jestem!

– Pytałem, czy widziała ją pani, jak mordowała kucharkę? – uściślił Wiktor.

– A nie – wyjaśniła Oliwia i weszła do pokoju, czując się zaproszona. Urok Wiktora był tego wart. Chłopak był przystojny, nie był nalany, otyły, łysy, przyszczaty, chudy i drżący. I miał zęby. To już wystarczyło, żeby wydawał się interesujący.

– Dlaczego uważa pani, że to ona? – zapytał zdziwionym głosem.

– Bo nikt jej nie będzie podejrzewał, mała, stara, biedna i słaba. To musi być ona. Tak zawsze jest w kryminalach. No i jest z rodziny, a najwięcej zbrodni odbywa się w rodzinach.

– Z jakiej rodziny? Kucharki? – zdziwił się Wiktor. Taka informacja bardzo by go zainteresowała, co dało się zauważyć już na pierwszy rzut oka.

– Z rodziny właściciela!

– Oliwia, to nie ta, ta z laską nie jest z rodziny, daj sobie siana, co? – uciszyła ją Justyna. – Jeszcze jest Zośka, cięć i pokojowa. Pracownicy, ale właściwie jeżeli o to chodzi, to mogli zrobić to inaczej i niekoniecznie w pokoju, mogli za hotelem, w kuchni, w piwnicy, w parku?

– Tu jest park?

– Maszynowy. – Robert się roześmiał. – Ktoś mógł ją na przykład zabić i wsadzić do betoniarki na kule prezen-towe. Albo coś w tym rodzaju. Tylko facet, nie pisz o tym, bo nasrasz, nasrasz i będzie awantura, może poczekać, aż się coś wyjaśni, bo jak znam życie, to...

Wiktor jakoś nie słuchał. Nagle wydał się zaciekawiony czymś innym.

– Zaraz, moment, coś mi się jeszcze tu nie zgadza. Czy ja dobrze słyszałem? Duchacze?

– No tak – ucieszyła się Oliwia. – Słyszałeś o nas? – Cała rozświetliła się nadzieją.

– Właśnie przed chwilą. I jeszcze DrDuch? I jakieś duchy coś pisały? Tak? O co w tym chodzi? – zapytał, jakby bar-dzo go to zaciekawilo.

Może należał do tych dziennikarzy z tabloidów, którzy wszystko, co piszą, okraszają takimi słowami, jak „zawsze robiłeś to źle”, „nigdy tego nie rób”, albo „straszliwa, krwawa zbrodnia”, jakby zbrodnia sama w sobie nie była już rzeczą straszliwą, a potem dodają szesnaście wykrzykników i czerwone tło.

Wyjaśnienie tego dusznego czy duchowego fenomenu zajęło trochę czasu i nie było łatwe.

Trudno się zwykłym ludziom udowadnia, że łapanie duchów nie jest objawem choroby psychicznej.

– Czyli tu są duchy? – zapytał Wiktor z dość sceptyczną miną.

– Tak! – odpowiedziała Maryla. – Widziałam napis na lustrze!

– Ale ducha pani nie widziała? – Znów się uśmiechnęła sarkastycznie.

Wyraźnie nie należał do ludzi wierzących w mistyczne objawienia z zaświatów.

– Widziałam, jak taka baba chodziła po korytarzu w koronkach.

– Nie chodziła – warknęła Justyna, nie chcąc zdradzać tajemnic koleżanek, ale też nie chcąc dopuścić do oszustwa.

Teraz odezwała się Oliwia, która chciała pokazać swój profesjonalizm.

– Winicjusz Warkot, właściciel, nas wynajął, żebyśmy mu te duchy rozpracowali.

– Bo on też wierzy, że one tu są?

– No właśnie tak. Podobno, to znaczy on tak uważa, nie tylko zresztą on.

– Tu? – Wiktor zrobił zdziwioną minę. – W tych klatkach z betonu? Nie mają gdzie straszyć, tylko w tym betono-wym klocku? Nie, no zawsze jednak uważałem, że duchy mają lepszy gust.

– A może one są z PRL-u? – zapytała Maryla, dotknięta do żywego.

– No, to fakt, PRL nie był specjalnie uduchowioną epoką – przyznał ze śmiechem Wiktor.

Robert cały czas obserwował chłopaka, bo wiedział, że coś zaczyna się wymykać spod kontroli. Łukasz od wielu miesięcy laził za Justyną jak cień i usiłował jakoś ją poderwać. Nie dawała mu żadnych szans. Byli przyjaciółmi, co bardzo Łukasza bolało, a tu nagle pojawił się ten, może nie ułomek, ale też nie bóg urody, i Justyna zaczęła zachowy-wać się zupełnie inaczej, co gorsza, po kobiecemu.

Zawsze była zwyczajna, koleżeńska, kumpłowska, taka po prostu jak kolega z pracy, co prawda, kolega z cyckami, ale jednak, a tu nagle jakieś rumieńce? Westchnienia? Mrużenie oczu... No, tego się po niej nie spodziewał.

Chciał coś z tym Wiktozem zrobić.

– Ale wiesz – stwierdził złośliwie. – Uprzedzam, że jeżeli gdzieś coś z tej rozmowy się ukaze, to obiecuję, że prze-fasonuję ci ryj na cacy! – powiedział zadowolony z siebie, patrząc mu prosto w oczy, jakby naprawdę mu groził.

Przywdziewanie barw wojennych w walce o prawo do kobiet to bardzo męska przypadłość.

W tym momencie do pomieszczenia wszedł obchodzący wszystkie pokoje Alojzy, ze zmęczeniem malującym się na twarzy i ochotę na mord w oczach.

– Co to za groźby karalne?! Proszę natychmiast się wytłumaczyć – warknął do Roberta. – A pan co tu robi? Skąd się pan wziął? Dlaczego pan... W jakim celu...

Wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć, bo przebywanie w pokoju znajomej nie było ani niedozwolone, ani karalne, a Alojzy chciał chyba jakoś go postraszyć.

– Niech pan już przestanie aspirancie, dobrze?! – westchnął Wiktor.

To się oczywiście Alojzemu nie spodobało.

– O do chuja pana! – wrzasnął aspirant. – Wyraźnie pan się zna na stopniach policyjnych, długo pan siedział? – za-pytał złośliwie.

– Istnieje inna opcja – powiedział Wiktor, patrząc mu w oczy i podając wizytówkę Alojzemu.

– O szlag! Tylko nie to! – jęknął policjant. – Dziennikarska hiena!

– A nie mówiłem? – poparł go Robert, choć wizytówki nie widział.



– Najpierw proszę przeczytać – rzucił Wiktor zmęczonym głosem.

Alojzy nie zamierzał przyglądać się wizytówce, ale naleganie Wiktora odniosło skutek, podniósł kartonik do oczu i zaczął czytać.

– Star... szy – wydukał – as...

– Przeczytać panu, szefie? – Puchacz wpadł do pokoju jak do siebie, wydarł kartkę z rąk Alojzego, przeczytał i aż się zakrztusił.

– O Boże. Starszy aspirant Wiktor Matejko? No. Żeż... znaczy... Panie aspirancie, a co pan tu robi? – prawie wykrzyknął.

Obecność dodatkowego, i to starszego stopniem policjanta w tym miejscu i w tej chwili była dziwna, mroczna i niebezpieczna. Bo jak? Dowiedział się i zjawił, kiedy oni dowiedzieli się dopiero chwilę wcześniej? Został wysłany na kontrolę i trafił na zwłoki?

Jakim cudem i po co?

Ktoś chciał Alojzemu zaszkodzić?

– Nic nie robię, jestem – odparł Wiktor. Który teraz uzyskał zupełnie odmienny status, mniej więcej odwrotny, wcześniej polubili go, ale szacunku dla niego nie mieli, teraz szacunek, nieco wymuszonym owszem był, za to nikt już nie lubił.

– No ale...

– Jestem gościem na weselu kolegi i mieszkam w tym hotelu. Czasami bywam osobą prywatną, ale oczywiście pomogę wam i całkowicie się zaangażuję w śledztwo, już dzwoniłem do przełożonych, mam ustne oddelegowanie. Możecie na mnie liczyć – powiedział z taką miną, że Alojzy zmartwił.

Są sytuacje, kiedy pomoc jest niezbędna, są takie, kiedy człowiek dałby wszystko, żeby nikt mu nie pomagał. Alojzy myślał, że będzie sobie powolutku prowadził śledztwo, którego może nie rozwiąże, a może jakoś rozwiąże, ale nie będzie sobie nim za bardzo głowy zawracał, zwłaszcza teraz, a tu katastrofa.

Prawdziwa katastrofa!

– Ależ, panie aspirancie, po co ma pan sobie marnować święta? – jęknął Alojzy. – Pewnie urlop? Nie trzeba, damy sobie radę.

Wiktor popatrzył na dwóch policjantów, którzy wyglądali teraz jak klasyczny obraz nędzy i rozpacz. Przy czym rozpacz była widoczna na pierwszy rzut oka.

– No to zrobimy tak. Proszę mi podać wszystkie dane.

– Ale tu? Przy tych ludziach?

– No może to nie jest ortodoksyjne podejście do sprawy, ale uważam, że kontakt z tymi wszystkimi osobami może nam pomóc. Czyli?

– Czyli...

– Kiedy my jeszcze nic nie mamy! No ktoś ją dźgnął. To pewne. Ktoś włożył, albo wepchnął, do tapczanu. Na mroźkach poza dziwnymi odciskami...

– To mój tyłek – pochwaliła się Maryla. – Nawet nie wiedziałam, że tyłek ma odciski palców!

– No... – Wiktor miał zamiar to jakoś sprostować, ale zrezygnował.

– Mamy tylko odciski kucharki, coś tam może jeszcze, ale nie za bardzo. No i czas zgonu, lekarz będzie wiedział jutro, ale raczej pojutrze.

– A podejrzani?

– Wszyscy w czambuł. Od tego dnia, co tam duch mazał po ścianach, to nikt nie zamykał pokoju.

– Nie mazał po ścianach! – obraziła się Maryla.

– No, po lustrze. A właśnie, niech pan pozwoli z nami, panie aspirancie... – Alojzy zaprowadził Wiktora do pokoju denatki, jak go teraz nazywano, choć oczywiście nigdy pokojem denatki nie był, i zapoznał go z malunkiem na lustrze.

– „Teraz ty...” – przeczytał Alojzy. – Po co tu ten trzykropek?

– To wielokropek, nie trzykropek. – Wiktor wzruszył ramionami. – Tak, choć może pan mieć rację, bardziej pasowałby wykrzyknik.

– Nie, niekoniecznie. Wielokropek może znaczyć, że będzie ciąg dalszy. „Teraz ty, a potem ty, a potem ona”, to tylko przykład.

– O, albo „Teraz ty, chuju”, tylko z grzeczności wykropkował – zaproponowała Maryla.

– No, albo chuico! W końcu nie wiadomo, czy to chłop czy baba – oświadczyła Oliwia, miotając się między uwielbieniem i zachwytem a niechęcią.

Wiktor jako facet wzbudzał uwielbienie, jako rozsądnie przystojny facet zachwyt, ale jako marnie opłacany policjant (zawsze są mniej opłacani niż prezesi zarządów) niechęć.

– Eeee – Justynę zatkalo – chuico?

– No, jak jest chuj to i chuica powinna być! – Oliwia w bardzo prosty sposób wyobrażała sobie świat. Justyna była ciekawa, czy jeżeli jest chuj i chuica, to Oliwia bierze pod uwagę istnienie chujątek.

Wiktor się nie wpasował w romantyczną narrację Oliwii, będąc policjantem, mógł niestety nabruździć, choćby w filmikach za takie rzeczy jak przeróbki. Naginanie faktów, niedomówienia. Chociaż... gwarantował również, że będą w centrum akcji.

– Dobra, to idźcie, panowie, do domu albo gdzie tam teraz, na posterunek chyba?

– Taa jest! – wrzasnął Puchacz, bo wiedział, że jak się ma dwóch panów, to trzeba obu pokazać, jak bardzo się ich szanuje. Zawsze się mówi, że pokorne cielę dwie matki ssie, choć takie cielę wcale nie jest pokorne, tylko cwane, to zwykły złodziej, bo wysysa matkę innemu. Nikt nie ma przecież dwóch swoich własnych matek. Czyli powiedzenie mówi: kradnij po cichu, a ci się uda...

Co jest sprawą wręcz oczywistą.

Zaczęli schodzić po schodach.

– My też chodźmy się położyć, od rana trzeba będzie się rozejrzeć i dowiedzieć wszystkiego. Jak sądzicie, kto znał kucharkę najlepiej?

– Jej mąż – burknęła Rita, która teraz stała wraz z innymi na korytarzu i dziwiła się zmianie sytuacji – albo mój mąż. – Westchnęła.

– Znowu coś insynuujesz? – Winićjusz był zmęczony, już nawet nie miał siły na awantury. – Trzeba znaleźć Zośkę, musi coś ugotować. Ludzie nam z głodu popadają!

– Nie ugotuje, bo nie umie. Śniadanie ma zrobione, ale z obiadem sobie nie poradzi. Zaraz mnie jasny szlag trafi.

– Trafi, trafi, trafi – odpowiedziało jakieś dziwne echo, którego nie powinno tu w żadnym wypadku być. Coś trzasnęło i zgasły wszystkie światła.

– Maks coś znowu kombinuje? – zapytała Justyna, patrząc na pogrążoną w ciemnościach, ale oświetloną błękitną poświatą Oliwię, która włączyła telefon, więc jej twarz była oświetlona jego odbłaskiem.

– Nie... Pani Rito? Co się dzieje? – zapytała zaniepokojona Oliwia.

– Korki pewnie poszły – odpowiedziała dość spokojnie żona właściciela.

– A ten pogłos? To z pewnością nie korki.

– A kurwa go wie!

– Kogo? – zdziwił się Wiktor.

– Lecimy! – zawołał Robert. – Łukasz wykrył aktywność paranormalną na strychu! Pani Rito, gdzie tu są schody na strych? Szybko, to może być od tego.

– Od czego?

– No to światło, od aktywności paranormalnej, czasami tak to działa! Niech pani powie, gdzie te schody, pani Rito.

– Nie ma. – Kobieta westchnęła.

– Jak to nie ma schodów?

– Strychu też nie ma – odparła. – Nie latajcie za bardzo. Idźcie spać.

Okazało się, że aktywność paranormalna po sprawdzeniu była tumanami śniegu na dachu, a zimne punkty przywiał wiatr. Po prostu się ochłodziło.

To znaczy nie było to tak do końca pewne, ale chyba raczej tak. Justyna po prostu nie wierzyła Maksowi, choć Robert patrzył jakoś dziwnie w instrumenty pomiarowe i wyglądał na zaciekawionego.

– Oni tak zawsze? – zapytał Wiktor, świecąc latarką dookoła siebie.

– Nie oni, tylko my. – Justyna szła za nim, kiedy znalazł schody, które może ukryte nie były, ale w ciemnościach trochę im zaginęły, bo światło nie padało z zewnątrz. Nie mogło, korytarze były całkowicie zabudowane pokojami i nie było okien, toteż po omacku i przy latarce zeszli na dół, gdzie koło kuchni, pod schodami w schowku, była skrzynka elektryczna.

– Jak to my?

– No, my. – Justyna wzruszyła ramionami, choć raczej nie był w stanie tego zobaczyć. – Szukamy duchów. Przecież ja też należę do grupy DrDuch, mówiłam.

– No tak, ale nie bardzo chciało mi się wierzyć. Jesteś taka rozsądna i realistycznie nastawiona do świata.

Justyna poczuła, że był to komplement, ale nie miała zamiaru zachwycać się nim za bardzo.

– Jestem, dlatego do duchów podchodzę realistycznie.

– A tak można? – zdziwił się chłopak.

– Jasne, że można. Nie zakładam, że istnieją, chcę to po prostu sprawdzić, a to jest realistyczne i naukowe podejście.

– Nie całkiem się z tym zgadzam. Poszukiwanie Królowy Śnieżki też uważałabyś za naukowe, mimo że wiesz, że to bajka? – Roześmiał się sarkastycznie i zaczął manipulować coś przy skrzynce na ścianie.

Przez chwilę stękał, wyraźnie mocując się z zamknięciem.

Wreszcie włączył korki. Światło znów się pojawiło, rozlewając kaskadą wszędzie, także w jadalni i kuchni.

– No tak, szukacie duchów – powiedział jakby sam do siebie albo jakby w to po prostu nie wierzył.

– No czy ty głuchy jesteś? – warknęła Justyna, bo trochę się na niego wkurzyła, wyczuła w jego głosie coś protekcyjnego.

– Nie, nie jestem głuchy, ale pierwszy raz widzę rozsądną dziewczynę w twoim wieku i do tego inteligentną, która zajmuje się czymś takim.

Roześmiała się, z jednej strony polechtana pochlebstwem, z drugiej trochę zaskoczona.

– Mówiłam, podchodzę do tego naukowo.

– Ale w duchy wierzysz?

– Otóż nie. Albo tak. Nie zdecydowałam, właśnie o to chodzi. Robimy wszystko, żeby udowodnić to naukowo. Wiem, że wszystkim trzeba to po pięć razy powtarzać, ale tak po prostu jest.

Nie była to cała prawda, ale wobec uroku kręconych oczu i roziskrzonych włosów, albo jakoś tak, dziewczyna chciała wypaść jak najlepiej. Justyna prawie wierzyła, chciała, żeby duchy istniały, ale wiedziała jednak, że istnieje coś takiego jak miłość... Nawet od pierwszego wejrzenia i za nic nie chciała jej przegapić ani zepsuć, więc rezygnacja z wiary w duchy wydała jej się istotna.

Tak jak zresztą nie chciała przegapić duchów, i jednemu, i drugiemu dawała szansę na zaistnienie. Zresztą duchy, czy w nie wierzysz czy nie, i tak mogą się pojawić, jeżeli istnieją, miłość jest trochę bardziej skomplikowana.

– A tamci?

– Tamci to twór komercyjny. Nie naukowy, oni duchów szukają, ale tylko po to, żeby były tłem. Dla nich, dla cyków, wypacykowanych twarzy i eleganckich ciuchów.

Nie omieszkała trochę zepsuć opinię Oliwii i Kaśce, w końcu miłość to jakby wojna. Wszystkie chwyt dozwolone. Weszli do kuchni.

Na środku leżała kobieta. Duża silna i martwa. To znaczy nie, leżały dwie, ale jedna była duża i silna, a druga martwa. Pierwsza zdecydowanie żyła.

Druga miała nóż wbity w pierś.

I wcale nie wyglądała uroczo, jej twarz wyrażała grozę. Szeroko otwarte oczy, poranione ręce, wielkie zdziwienie na twarzy.

– O szlag! – jęknęła Justyna. – To Zośka! Ktoś zabił Zośkę, możliwe, że ta druga? Kim ona jest?

– Aspirancie! – Wiktor wybiegł na korytarz i złapał wychodzących policjantów prawie w ostatnim momencie. Trochę im zajęło ogarnianie towarzystwa po tym, jak zgasły światła, więc byli wciąż w pobliżu. – Trzeba znów wezwać techników, może nie odjechali za daleko?

Odjechali, ale musieli wrócić.

Drugi trup w tym samym miejscu to nie było coś, co zdarza się często.

I to drugi taki, nie ofiara bijatyki, porachunków sztachetowych czy wścieklej żony, ale taki z morderstwa niewiadomego pochodzenia.

– Czyli wszyscy mamy alibi. – Justyna westchnęła, patrząc na Wiktora. – Widziałam wszystkich na górze, zanim zgasło światło.

– No nie, nie wszystkich, Łukasza nie było i Maksa – stwierdził Robert. – Nie żebym ich podejrzewał, ale trzeba być dokładnym.

– Bardzo trzeba i bardzo dokładnym – przytaknęła. – No ale kiedy zgasło światło, prawie wszyscy byli...

– Tę Zośkę zabito albo wcześniej, albo przy latarce. – Wiktor wskazał na ręce. – Ma rany obronne i przerożenie na twarzy, raczej widziała, że ktoś ją atakuje. I raczej widziała kto. To mogła być ta druga. Zresztą po co była w kuchni, kiedy cała reszta kotłowała się na górze? Chyba się z kimś umówiła, to musiało być ciekawsze od zwłok kucharki...

– Ja zupełnie tego nie rozumiem – powiedziała nagle staruszka, czyli prateściowa właściciela. – Taki był spokój, a tu nagle najpierw duchy, a teraz to. To przecież nienormalne.

– To znaczy?

– No bo niech pan patrzy: tyle lat hotel stał, tyle lat działał bez morderstw, duchów i takich innych cudów, a teraz jakaś plaga.

– Wie pani może, kim jest ta kobieta?

– Jasne, że wiem, to Zośka, jeżeli chodzi panu o zwłoki, a jeżeli o tę drugą, to nasza pokojowa Berta, to znaczy Al-berta Kruczyk. Zośka pracuje, to znaczy pracowała, u nas prawie od początku.

– A te duchy?

– Ja w duchy nie wierzę – burknęła, wzruszając ramionami. Ona też była pod urokiem młodzieńca. No przecież, może to się wydać śmieszne, ale tak jest, tylko mało kto to rozumie. Starszy facet, nawet w wieku matuzaleмовym, ma prawo czerpać przyjemność z patrzenia na młode dziewczyny, doceniać ich piękno i zgrabne figury i jakoś nikt tego nie uważa za głupie. Dlaczego żałować staruszkowi widowisków, a czasami nie tylko przecież, ale jeżeli starsza kobieta spojrzy z lubością na młodzieńca... Momentalnie awantura, ona nie powinna na młodych mężczyzn patrzeć, bo od razu zboczona, rozwiązała, niemoralna... Jej widowisków zakazać nawet należy, nie tylko można.

– Babciu! – warknęła Rita. – Nie kłam! Ty? Ty nie wierzysz w duchy? Przecież się boisz! Wrzeszczysz jak opętana, latasz po nocach, a teraz nie wierzysz?

– Nie! No zaraz! Powiedziałam, że nie wierzę w duchy, ale to nie znaczy, że mam rację i że nie są niebezpieczne.

\*\*\*

Zwłoki Zośki Talarek zabrano prawie natychmiast. Lekarza nie dało się ponownie ściągnąć na miejsce, więc policja porobiła zdjęcia, a technicy pobierali, co się dało, ale obfotografowali też całą kuchnię i pobrali odciski zewsząd.

Z Alberty Kurczyk też.

Z garnków, talerzy, kuchni, a nawet zamrażarek.

– Nic wam to nie da – stwierdziła Oliwia. – Wszyscy tu łaziliśmy i wszystkiego dotykaliśmy, jak wyszła sprawa z mrożonkami i Justyna miała widzenie, że znajdziemy tam zwłoki. Zośka Zośką, ale tej kobiety to nikt z nas chyba nie znał. – Wskazała na Albertę.

– Ja znałam, nadal znam. – Maryla Kotowicz też się przywlokła, choć z bolesną miną. – Ona mi pomagała, jak tam ten duch mnie molestował. To znaczy, nie tak, że bardzo jakoś znam. Widziałam raz czy dwa, ale tak to ona za bardzo nie rzuca się w oczy.

– Z taką posturą? Nie rzucała się?

– Chodzi mi o to, że raczej rzadko się ją widuje.

– A bo jak się tak wygląda, to przecież lepiej się ludziom nie pokazywać. – Oliwia skrzywiła się złośliwie.

Chęć zamordowania Oliwii była na twarzy Justyny tak wyraźna, że aż wszyscy się skrzywili. Oliwia wiedziała, co robi. Jej chamskie zachowanie wobec tej kobiety to było prawie nic wobec tego, co powiedziała o Justynie. Mówiąc, że Justyna miała widzenie, sugerowała, że miewa widzenia. Niby nic, ale gdyby iść w to dalej, świadczyłyby to o tym, że Justyna nie jest całkowicie normalna ani zdrowa psychicznie, a jaki facet, przystojny, do tego policjant, związałby się z kimś takim? Z dziewczyną niezrównoważoną psychicznie, która wierzy w widzenia i jeszcze o nich gada?

Wiktor jako policjant nie był łasym kąskiem, nie zarabiał milionów, nie dawał szans na pałace i celebryckie ścianki ani na znajomości w pożądanym kręgu, ale po pierwsze na chwilę też był dobry, a po drugie chciała ukraść go Justynie.

W ten sposób Oliwia torowała sobie drogę do łóżka Wiktora.

A przez łóżko, wiadomo, do serca. Kiedyś się mówiło, że przez żołądek, ale ludzie teraz jedzą rozsądniej. Zresztą to były czasy, kiedy najpierw zdobywało się serce, a potem trafiało z kimś do łóżka, często nawet już po ślubie, ale to według Oliwii była strata czasu. Po pierwsze zakochanie, lzy, bzy i kwiatki, to staroświeckie i nudne, a po drugie można trafić na kogoś, z kim seks nie do końca jest dobry albo po prostu jest w porządku, a to za mało. Oliwia lubiła seksualne Himalaje orgazmu.

Dlatego najpierw wolała chłopaka sprawdzić. Jeżeli był finansowo ustawiony plus zapewniał dobry seks, to dawało szansę na kilka miesięcy, jeżeli był bardzo bogaty, seks się nie musiał liczyć, ale to musiałby być facet bogaty jak krezus, a takich nie spotyka się codziennie. Dlatego nawet tacy zwyczajni też mieli sens. Choć na chwilę.

Wydawało się, że Oliwii się udało.

\*\*\*

– Miałś widzenie? – Wiktor siedział wraz z innymi przy stole nakrytym do śniadania i pił wodę, bo o tej porze tylko to było dostępne. Wiadomość go wyraźnie zaintrygowała.

Na śniadanie była ta zimna płyta przygotowana jeszcze przez zmarłą kucharkę, a podana przez ciecia. Przerażonego ciecia.

Kuchnia została wyłączona z użytku na trochę, ale teraz już ją otworzono i cieć miał za zadanie szykować obiad.

Czarno to widzieli. To znaczy pokojowa miała mu pomagać, o ile będzie w stanie, ale nie bardzo była, bo natychmiast wszyscy uznali, że to ona zamordowała Zośkę, a może i kucharkę.

Cieć nie mógł sobie poradzić z wyraźnym zakazem podawania bimbru, choć tylko to potrafił podawać.

Owszem, najrozsądniejszym wyjściem było zamknięcie hotelu, ale dwie rzeczy to uniemożliwiały. Po pierwsze to był jedyny taki obiekt w okolicy, zgoda, były jeszcze jakieś pokoje gościnne, ale nie wynajmowano ich w zimie, a tym bardziej w święta. Druga sprawa to była konieczność zatrzymania ludzi w jednym miejscu i niepozwalanie im na wędrówki po świecie. Gdyby teraz się rozjechali, to byłby naprawdę koszmar, bo to była zbieranina z całej Polski. Byłoby strasznie trudno do nich dotrzeć i trwałoby to miesiącami.

Dlatego policja nie tylko hotelu nie zamknęła, ale praktycznie zamknęła gości w hotelu.

– Aspirancie, czy pana żona nie jest przypadkiem z zawodu kucharką? – zapytał Mariusz Puchacz, właściwie tylko tak dla przyzwoitości.

– Z zawodu to ona jest matką pięciorga rozwrzeszczanych i zasranych bachorów, z czworaczą ciężą, kucharką to ona była. Kiedyś.

– No a widzi pan, ja z nią rozmawiałem i wydaje mi się, że nadal jest – stwierdził Wiktor.

– Rozmawiał pan? Z moją żoną? Ale jakim cudem?

– Zwyczajnym, spotkałem ją pod domem, śmieci wynosiła.

Nie musiał dodawać, że specjalnie pod ten dom poszedł i trochę tam poczekał.

– Śmieci? W święta? To nieprzyzwoite! – jęknęła Lena, obruszona.

Z przyzwoitością jest tak, że ma wielu strażników, jedni zajmują się długością spódnic, inni tatuażami, jeszcze inni kolorem włosów, a święta to już w ogóle, wszyscy strażnicy przyzwoitości łączą się w wielką rodzinę i potępiają wszystko. Dla nich świętecznie ubrana kobieta powinna być ubrana na czarno, zakryta czymś w rodzaju burki z włosami z przedziałkiem.

Wyrzucanie śmieci w święta i niedziele jest nieprzyzwoite.

Co ciekawe, strażnicy przyzwoitości nigdy nie zajmują się sprawami, którymi właściwie powinni. Na przykład biciem żon czy dzieci, awanturami do białego rana czy pijaństwem skutkującym spaniem na wycieraczce.

Wyraźnie te sprawy nie są nieprzyzwoite.

– Ale po co pan rozmawiał z moją żoną? – Alojzy nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Och, to proste! Postanowiłem pomóc właścicielowi hotelu i znalazłem mu kucharkę. A będąc żoną policjanta, dodatkowo będzie miała oko na wszystko! Prawda, pani Karolino? – zwrócił się do wchodzącej właśnie żony podwładnego. Jakim cudem znalazła się tu tak wcześnie rano, było dla wszystkich nieodgadnioną tajemnicą.

– Oczywiście, że prawda.

– A dzieci? Co z dziećmi? – prawie zawył Alojzy.

– Teraz zajmuje się nimi sąsiadka, potem je tu przywiezie. Dziś zamieszkają tutaj, na jedną noc, a jutro masz załatwić opiekę – warknęła żona Alojzego.

– Ale jaką opiekę? Kochanie?! Kogo ja załatwię?

– Mamusię! Twoją mamusię! Sama mówiła, że pięcioro dzieci to pryszcz! Ja chętnie popracuję! Jestem tak wypoczęta po opiece nad dziećmi, że chętnie się trochę zmęczę – stwierdziła, zacisnąwszy zęby.

– Aleee...

Miny Wiktora i żony nie wróżyły nic dobrego. Alojzy zrezygnował więc z negocjacji, zwłaszcza że czekały go jeszcze te z mamusią.

Mieszkańcy hotelu, owszem, mogli wychodzić, spacerować, przemieszczać się, odwiedzać rodziny, ale nie mieli prawa wyjechać ani zmienić miejsca zakwaterowania (gdyby na przykład udało im się coś gdzieś znaleźć albo gdyby rodziny się nad nimi zlitowały), dlatego właściciele musieli liczyć się z tym, że goście będą coś jeść.

I że będą wciąż głodni i wściekli, bo talenty kulinarne ciecica z pewnością doprowadzą do rozwolnień i zatruc, a może i rozruchów.

Nie był to taki układ, że był hotel i była restauracja, gdzie ludzie po prostu zamawiali sobie, co chcieli, owszem, to planowano na przyszły rok, ale jeszcze nie udało się tego zrealizować.

Teraz działało to trochę jak stołówka kolonijna, bez wyboru, ale za to z tysiącem dokładek i wszystkiego, co najlepsze, o ile ktoś umiał gotować.

Ciec nie miał o gotowaniu pojęcia, a pokojowa jakoś sobie radziła, ledwie, bo ledwie, ale ledwie jakoś. To znaczy męża nie zagłodziła, ziemniaki, kotlet mielony i buraczki potrafiła robić co drugi dzień z różnym skutkiem, ale mąż nie był wybredny.

Potrafił nawet zjeść betonową jajecnicę, którą smażyła pół godziny, dziwiąc się, że wciąż twarda.

Zresztą jak mu zanosła Zośczyne mięso dinozaura z kapustą, był zachwycony.

Justyna wraz z innymi siedziała przy stoliku. Była niezadowolona z tego, co wymyśliła Oliwia.

– Nie miałam żadnych widzeń! – wróciła do tematu. – Nie miewam takich dziwnych stanów, gdybym miała, nie interesowałyby mnie sprzęty elektroniczne do łowienia duchów. Nie, po prostu miałam skojarzenie. Zwykle, proste, ludzkie skojarzenie.

– Z morderstwem! – Kaśka westchnęła.

Wszyscy siedzieli przy jednym stole wyczarowanym z zsuniętych stolików, tak żeby Wiktor, który, choć był weselnikiem i mieszkańcem hotelu, to też był starszym aspirantem i policjantem, mógł mieć ludzi na oku.

I na uchu też i pod ręką, jakby czegoś od kogoś chciał.

– Poważnie?

– No, poważnie, a co ty byś pomyślał? W pokoju leży pół wanny mrożonek, które ktoś wyciągnął z zamrażarki. Co byś pomyślał? – Nie czekając na odpowiedź, powiedziała sama: – Że ktoś je wyjął z zamrażarki. Tylko po co? Bo potrzebował miejsca na coś innego, na co?

– Na zwłoki?

– Właśnie.

– Ale nie miałaś racji.

– Wiesz, jak się ucieszyłam?! – zawołała Justyna, która nie miała wielkich ambicji pod tym względem, nie chciała być ani najlepsza, ani najważniejsza, ona w ogóle nie chciała mieć takich pomysłów, no ale pomysły to coś, co pojawia się samo.

– Można jednak powiedzieć, że miałaś.

– Co?

– Rację. Tylko na odwrót. Zamiast robić miejsce na zwłoki, co w kuchni byłoby trudno zorganizować, bo ludzie się kręcą i tak dalej, zabrał mrożonki, żeby te zwłoki schłodzić.

Zaczęto podawać śniadanie, choć była dopiero siódma rano, ale ciec nie wiedział, co ma ze sobą począć, a Karolina właśnie zakasała rękawy i zabrała się do pracy, pokrzykując na niego głośno.

W jakiś czas potem do sali weszła Lena, podpierając się i pojękując. Trzymała się za plecy. Usiadła przy stoliku i zaczęła sobie nakładać jedzenie.

– Spała pani u siostry? – Wiktor zwrócił się do Leny. – Bo jakoś pani w nocy nie widziałem.

– A gdzież tam, przecież ona nie ma na to nawet cienia warunków! Nie mogłabym u niej spać! Byłam u niej wczoraj tak do wieczora, potem wróciłam. Jezu, ale zmarzłam.

– Oszczędza na ogrzewaniu?

– Nie, ale Joanna nie przejmuje się tym zupełnie. Eeech, szkoda gadać! – westchnęła jęcząco. – A co do reszty, to byłam tam na górze, jak znaleźli kucharkę, tupali jak stado reniferów. A swoją drogą też się zastanawiałam. Te mrożonki to dziwna sprawa. Może chciała je ukraść?

– Są tanie – wyjaśniła Justyna, niezbyt przekonana, ale wiedziała, że istnieją ludzie, których często nazywa się „gównozjadami”, ci potrafią ukraść wszystko, nawet to, co do niczego się nie nadaje, bo może się im przydać.

– Tak, to prawda, fakt, niektórzy ludzie to pasożyty i kombinatorzy, potrafią ukraść nawet papier toaletowy, i to nawet ten zużyty, więc może właśnie kradła. Albo to nie ona, a morderca to tam przyniósł, żeby się nie rozłożyła.

– I karpie też?

– No, karpie trochę się nie zgadzają, ale kto wie, co siedzi w głowie kogoś takiego?

– Mnie to się też wydaje, że Ernestyna kradła – wyjaśnił ciec. – Nie że bardzo, ale czasami, jak czegoś było dużo. Może ona te karpie chciała obłożyć mrożonkami? Żeby, ja wiem, do sylwestra dotrwały?

– No ale one, te mrożonki, były na tapczanie, a karpie wewnątrz.

– Może otworzyła i chciała włożyć i ktoś ją zadzgał?

– No tak. To by było... No ale patrzcie na pogodę, mogła wynieść to wszystko na zewnątrz, a nie pakować do tapczanu, to bezsens, na dworze śnieg i jaki taki mróz, więc dlaczego tego nie wykorzystała?

– Wilki! – oświadczyła Berta.

– Co z wilkami? – zdziwił się Robert, po męsku zainteresowany tematem, w końcu wilki to jednak męska sprawa.

– Ernestyna wyczytała, że koło nas pojawiło się stado wilków. Poważnie.

Wyobrazenie sobie stada wygłodniałych wilków rzucających się na mrożoną brukselkę było czymś, no... Nie do wyobrażenia.

– Nie, to nie tak – wtrąciła się prateściowa, która z lubością raczyła się śniadaniem. – Ernestyna coś mi mówiła, że zamierza sprowokować ducha. Wy to się chyba na tym powinniście znać. – Machnęła widelcem ociekającym olejem i płamiącym obrus w kierunku Justyny. – Zimne punkty czy coś. I ona wymyśliła, że jeżeli duchy robią punkty, to punkty mogą przyciągać duchy, dlatego to zrobiła w tamtym pokoju, bo już był nawiedzony. A że krađa, niewykluczone.

Takie podejście do tego, co się stało, jakoś nikomu nie przyszło do głowy.

– Ale po co? – zdziwiła się Justyna, bo ona by na coś takiego nie wpadła i uważała, że nie był to wcale taki głupi pomysł. Pewne rzeczy zawsze widzimy w ten sam, stereotypowy sposób, z przyzwyczajenia, z nawyku, albo dlatego, że wszyscy tak robią, tymczasem niekiedy można by odwrotnie, choć gdyby była to prawda, to Arktyka byłaby najbardziej nawiedzonym miejscem na świecie, a zamrażarki w Lidlu straszłyby kupujących wyciem, za każdym razem, kiedy ktoś by je otworzył.

– Tego to nie wiem, ale coś z nimi miała do pogadania chyba. Powiedziała, że ona nie zamierza płacić za stare sprawy, na dodatek to nie ona była winna, a duchy niech się odpięrdolą.

– No cudnie, czyli były jakieś stare sprawy?

Wiktor uśmiechnął się słabo.

– Zawsze są jakieś stare sprawy. Niestety, są też oczywiście nowe, ale za nowe rzadziej się zabija. Ale co ta druga ofiara, ta Zośka, miała z tym wspólnego? Ona była stąd. Znała tu wszystkich. Kucharkę znała, i to bardzo dobrze, a ta Alberta? Też przecież tutejsza. To i sprawa jakaś tutejsza.

– Tak, o ile mi wiadomo, to Berta mieszkała tu kiedyś, ale z gości nikogo tu nie znała. Wiem, że rozmawiała raz chyba z Duchaczami, bo wydawało mi się, że widzę Kaškę z jakąś wielką babą, ale to mogło mi się tylko wydawać. – Justyna wskazała głową na zatopione w myślach i kontemplowaniu sałatki jarzynowej Maksa.

– Jasne, że ci się wydawało – obruszyła się Kaška. – Wcale z nią nie rozmawiałam, pytałam tylko o suszarkę do włosów. Chciałam to lustro przesuszyc i sprawdzić, czy nie było czymś pomazane.

– No tak, Zośka była bardzo wścibska – stwierdziła Alberta, która zaczynała jakoś dochodzić do siebie. – Może coś widziała?

– A pani co tam robiła? – zapytał Wiktor, choć nie był pewien, czy Alberta na tyle już doszła do siebie, że może ją przesłuchać. Na okoliczność. Jakąś okoliczność. Leżała na zwłokach, ale czy była morderczynią? Mordercy czasami tak robią, żeby w ten sposób usprawiedliwić swoje ślady biologiczne na zwłokach, ale czy ona była aż taka przebiegła?

– Potknęłam się o nią! Zwyczajnie. Było ciemno! Skąd mogłam wiedzieć. Nie spodziewałam się jej tam.

Nikt się Zoški tam nie spodziewał, bo jeszcze chwilę wcześniej była na górze.

– Jak długo tam pani leżała? – Wiktor zadał pytanie dla spokoju ducha.

– Czterdzieści cztery sekundy.

– Skąd pani wie?

– Nie wiem! Nie zabiłam jej, niech pan nawet nie próbuje tak myśleć!

– Ale dlaczego akurat czterdzieści cztery?

– Dla niczego. Nie wiem po prostu! Głupoty gadam. Wcale nie będę za nią tęsknić, ale nie zabiłam jej, gdybym chciała, to miałam na to sporo czasu. Pracowałyśmy razem od lat! Nie musiałabym tego robić ani tu w hotelu, ani teraz.

– Dlaczego pani za nią nie będzie tęsknić? – Wiktor uczył się tego pytania, bo Berta była z tych kobiet w pewnym wieku, które holdowały pewnym tradycjom, z których jedna głosiła, że o zmarłych albo dobrze, albo wcale, więc jej niechęć do denatki musiała być potężna.

– No... Długo by mówić i jakby co, ty wołę na osobności – oświadczyła, rozglądając się dookoła dość niepewnie – ale nie żebym miała coś do ukrycia, tylko to jakby jest sprawka tego ducha, to on je pozabijał, a jak zacznę gadać, do-

padnie i mnie.

Tego nikt się nie spodziewał.

– Jakiego ducha?

– Tego, co one go zabiły.

– Czy ja dobrze rozumiem, że one zabiły jakiegoś ducha?

– Weź się pan zamknij, co?! – Znów trwożnie się rozejrzała.

W sali powiało chłodem, poczuł to i Wiktor, ale uważał, że to albo wiatr z otwartych drzwi, albo wrażenie.

Do rozmowy włączył się też cieć i przerwał jej obcesowo.

– O co tu chodzi? – jęknęła Justyna, też zmrożona do szpiku kości.

– O nic – mruknął. – Może Zośka kogoś zobaczyła? Ja to myślę sobie, że ona wiedziała coś, co chciała wykorzystać. Coś obrzydliwego. Wiecie, co mi wczoraj powiedziała? Że niektóre laski są puste! Przecież ona była głupia jak but, no i o kogo jej mogło chodzić?

– Może o tę kochankę Winicjusza? – mruknęła prateściowa. – Taka sprytna baba i pewnie też taka cicha woda. Mogła coś wycząić.

– Nie mam żadnej kochanki! – wrzasnął Winicjusz zza progu.

– Ale Zośka podobno ją widziała. No nie wiem. Ta kochanka to w ogóle istnieje? Bo jakoś jej nie ma w gościach – zdziwiła się Alberta. – Znaczy wiem, że ktoś jest, ale ja jej jeszcze ani razu... A powinnam. Pokojowa jestem, to wiem, ile czego się zużywa i gdzie.

– Może chodziło o Justynę – wycedziła Oliwia, wciąż wprowadzając w życie swój plan usidlenia Wiktora, dość zresztą obcesowy – albo o jakąś akcję?

– Oj, zamknij się – warknął Maks. – Co widziała?

– Może kogoś noszącego mrożonki?

– Mogła, nikt jej nie widział ale ona mogła widzieć wszystkich, tyle że jeżeli chodzi o Bertę, chyba nie było jej w hotelu wczoraj do późna, miała iść do domu po śniadaniu. – Prateściowa wiedziała, jak zamotać sprawę.

– No a ten ktoś, kto uciekł? – zapytała Justyna, bo pamiętała, że jakiś czas temu Maryla coś jej o tym fakcie wspomniała.

Teraz Maryla musiała opowiedzieć o wypadku z brukselką.

– No bo jak tam poszłam sobie bolący ty... bolącą kość ogonową zamrozić, to nachyliłam się, żeby pozbierać te brukselki, bo nie chciałam się zabić. Wtedy, w nocy, znaczy wczoraj.

– Jakie brukselki? – zapytał Wiktor, nie do końca rozumiejąc.

– Bo mi się jedna paczka rozwalila. I wtedy zobaczyłam, że w kącie pod oknem ktoś stoi. Zapytałam, co tu robi, a on powiedział „mnie tu nie ma” i przebiegł przez pokój, wlaź na brukselkę, pośliznął się na niej, wpadł w drzwi, obił sobie o nie twarz i wyleciał na korytarz.

– To był mężczyzna?

– Nie wiem. Naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć. Duże było, ale niezbyt chyba ciężkie.

– A kucharka? Kiedy była widziana po raz ostatni?

– A bo ja tam wiem? Jeżeli chodzi o kucharkę, to jak tylko podała wigilię, to poszła do domu, następnego dnia miała iść do kościoła, ale w kuchni wszystko przygotowała. Miała wrócić tego dnia przed kolacją, bo na kolejny dzień trzeba było obiad przyrządzić, śniadanie było prawie gotowe, no ale nie wróciła.

\*\*\*



– Panie aspirancie, starszy – dodał, widząc minę Wiktora – ale z tą moją żoną to przegięcie jest. Poważnie. Tak nie można.

– Jestem teraz pańskim przełożonym, chwilowo, bo chwilowo. Staram się usprawnić wszystko, co dotyczy tego śledztwa. Potrzebuję tu zaufanej kucharki. To nie jest przegięcie. Zresztą pan też tu zostanie. Muszę pilnować tych ludzi, żeby się nie wymordowali!

Tyle powiedział, choć mógł powiedzieć więcej. Był przecież jednym z weselników, a wesele skupiło bardzo dużą część młodych ludzi z okolicy, w tym kobiet. Jedną z takich kobiet była jego chwilowa partnerka, którą mu przydzielono, a która była bardzo miłą dziewczyną.

Była poza tym przyjaciółką Karoliny.

A przyjaciółki opowiadają sobie o kłopotach. No a kłopoty z teściową? Komu o tym powiedzieć? Przecież nie mężowi, bo on mamusię kocha najbardziej na świecie, własnej matce też nie, bo ona zaraz powie „a nie mówiłam”, dlatego z teściową można się zwierzyć tylko przyjaciółce. No i tak czasami bywa, że to ma swoje konsekwencje, czasami bardzo pozytywne.

Wiktor rozumiał, że musi zdobyć kucharkę.

To było nieodczwonne, żeby goście mogli zostać, a przecież było to konieczne, zresztą taka kucharka powinna mieć papiery i być poza podejrzeniem, a poza tym nie polubił Alojzego, jego mamusi też. Pomyślał, że czasami można zabawiać się w Świętego Mikołaja albo bardziej we wrednego Mikołaja.

To znaczy zależy, jak na to spojrzeć. Żona Alojzego uwolniona od słodkiego ciężaru pięciorga dzieci po prostu odcznie, niestraszne jej będą gary, hektolitry zup i sosów ani tony mięch pieczonych, duszonych i smażonych, a do tego zarobi. A mamusia Alojzego trochę się zmęczy. Sam Alojzy z pewnością dostanie w kość, ale to już inna bajka.

Poza tym Wiktor uważał, że nie jest to dla żony podwładnego niebezpieczne, po pierwsze, że w ten sposób zmusi go do większej czujności, a po drugie czuł, że to jakaś stara sprawa. Coś sprzed lat, a więc dziewczyna powinna być bezpieczna.

Duchami się nie przejmował, choć kto wie, może powinien?

Duch jest najstarszym i najtrwalszym motywem w literaturze, a często i w życiu, w opowieściach i plotkach też. Zmieniają się opowieści, przemijają mody, a obraz ducha pozostaje i nie chodzi o to, że jest trwałym elementem kultury popularnej, ale o to, że daje nadzieję na to, że istnieje życie pozagrobowe, na to, że ktoś z oddali się o nas troszczy, albo że ktoś odwali za nas jakąś koszmarną zemstę.

I tu właśnie o to mogło chodzić, tyle że mordercą nie był przecież duch.

Duchy nie używają noży.

Zawały im wystarczą.

Ktoś bezwzględnie używał ducha jako zasłony dymnej, pisał na lustrach, straszył, wył po nocach, tylko kto? I po co Winićjusz sprowadził tych dziwnych ludzi?

Choć może dobrze, że sprowadził Justynę.

\*\*\*

Wiktor i Justyna siedzieli właśnie w biurze, w którym leżały przyrządy poławiaczy duchów (poławiaczy, bo duchy są rzadkie jak perły, a nie łowców, bo są jednak rzadsze i mniej banalne niż zwierzyna łowna), kiedy z góry z tupotem zbiegł Robert.

Był zaafcerowany, ale naprawdę, tak naprawdę na sto procent.

– Słuchaj, Justyna, coś jest! Nie żartuję, coś jednak jest. Bierz mierniki. Lecimy na drugie. Idziesz? – Z tym ostatnim pytaniem zwrócił się do Wiktora.

Starszy aspirant jako policjant raczej nie powinien się bawić w coś takiego, ale zawsze mógł potraktować swój udział albo jako ochronę świadków, albo jako dodatkowe doświadczenie.

Albo nawet jako udział w zabawie świątecznej. Na przykład. No oczywiście mógł też służyć ochroną.

– Idę.

– Tylko nie przeszkadzaj. Nie mdlej, nie piszcz i takie inne – poinstruował go Robert.

Wiktor zbaraniał.

Jeszcze nigdy nikt mu czegoś takiego nie powiedział, owszem, on sam to kiedyś powiedział mężowi swojej siostry, ale to było na porodówce i nie miało nic wspólnego z duchami.

Justyna bardzo sprawnie złapała jakiś przyrząd, coś przy nim pogrzebała i pobiegła na górę za Robertem, tam czekał już Łukasz z kamerą termowizyjną. Było ciemno, choć na dworze jeszcze całkiem ciemno nie było.

Coś się działo.

Na korytarzu snuły się smugi zimnego, bladego dymu.

Nawet bardzo zimnego.

– To może być suchy lód – oświadczył Wiktor sceptycznie.

Nikt mu nic nie odpowiedział.

– Miałaś nie przeszkadzać – mruknęła Justyna z wyższością. I może powiedziałaaby coś jeszcze, gdyby nie to coś.

Nagle poczuli czyjąś obecność. Naprawdę ktoś tu był. Coś nawet szeptało. Na ścianach pojawiły się jakieś dziwne cienie.

– Co wy tu, do cholery, robicie?! – zawołał Winicjusz, wychodząc z jednego z pokoi.

Justyna pomyślała, że to chyba tam trzyma tę swoją kochankę, ale ponieważ nikt jej nie widział, zastanawiała się, co ta biedaczka je i jak tam wchodzi.

No, chyba że nie wchodzi. I nie wychodzi. I może jest tam uwięziona. Jakaś współczesna niewolnica seksualna?

Domniemana niewolnica seksualna trochę nie pasowała do zimna, smug i cieni na ścianach ani do wycia, bo coś zawył. Rozległ się łopot jakby skrzydeł, a potem coś przebiegło przez korytarz w dziwnej łopocącej szacie i pobiegło z wrzaskiem do końca korytarza.

Po czym rąbnęło w ścianę z hukiem, choć wszyscy się spodziewali, że przez nią przeniknie.

– Szlag! – jęknęło. – Zaplątałam się – dodało głosem prateściowej. – Co za durny szlafrok!

Justyna zrezygnowała z obserwowania staruszki i wróciła myślami do niewolnicy seksualnej.

No może Winicjusz na takiego seksdrapieżcę nie wyglądał, ale pozory czasem mylą.

Napomknęła o tym Wiktorowi, jak już zeszli na dół, żeby sprawdzić nagrania i czujniki.

Ten pomyślał, że to wcale nie musi być kochanka, a może być na przykład morderca, którego Winicjusz chroni.

Albo wcale nie morderca, ale jakiś współnik? Jednego, drugiego albo obu?

Kazał natychmiast Alojzemu zainstalować na korytarzu kamerkę, żeby dało się podejrzeć aktywność w pobliżu drzwi pokoju, w którym, jak sądzono, Winicjusz kogoś przetrzymuje. A może tylko gości.

Niestety, zamiast kamerki musiał zainstalować posterunkowego Puchacza, bo kamerki nie mieli, a on był pod ręką. On i tylko on.

– Czy Winicjusz mógłby chcieć zabić kucharkę i Zośkę?

– Zośki mógłby nawet nie chcieć, ale może musiał, bo coś wiedziała, a kucharka? Trzeba się przyjrzeć ich ukłdom.

Nadszedł czas pewnych pokątnych przesłuchań.

Na pierwszy plan poszli Duchacze. Oni i DrDuch zupełnie jako mordercy nie byli brani pod uwagę. Justyna właściwie zaczęła uczestniczyć w śledztwie (choć nie powinna w żadnym wypadku), ale była inteligentniejszym wyborem niż Alojzy, choć on nie tylko mógł, ale i powinien w śledztwie uczestniczyć. Ponieważ Wiktor był tu na wpuł służbowo, na wpuł prywatnie jako weselnik, postanowił nie komplikować sobie życia.

Duchacze też ponakręcali jakieś filmiki, ale nikomu nie chcieli ich pokazać.

Wiadomo, konkurencja.

– Czy wyście w ogóle poznali kucharkę? – zapytał Wiktor.

Okazało się, że nawet nie mieli jak, bo przecież przyjechali w pierwszy dzień świąt, a ona zniknęła zaraz po podaniu kolacji wigilijnej. W ten sposób liczba potencjalnych morderców została ograniczona.

Oczywiście tylko pobieżnie, bo mogli mówić prawdę i wedle wiedzy dostępnej w tym momencie nie mieli ani jak, ani po co jej zabijać, ale przecież to nie takie proste. Mogli tu być wcześniej prywatnie i się do tego nie przyznawać. Mogli znać kucharkę, bo była z rodziny, albo w ogóle. Jakoś tak.

Już miał zadawać kolejne pytanie, kiedy do biura wkuśtykała Lena, psując mu koncepcję.

– Ja w sprawie tych nocnych awantur – oświadczyła głośno i dobitnie.

– Znaczy chodzi o wczoraj? – zapytał Wiktor, bo po raz pierwszy coś takiego mu się przytrafiło, żeby w miejscu morderstwa ktoś skarżył się na jakieś awantury, no chyba że to miało coś wspólnego z morderstwem albo morderstwami, choć nie było pewne, kiedy je popełniono, przynajmniej to pierwsze.

– Nie. O w ogóle.

– To nie do mnie – odburknął i pożałował natychmiast.

– Ja pana nie pytam do kogo! Ja panu każę coś z tym zrobić! Jest pan policjantem! To ja płacę pańską pensję, z moich podatków, z mojej krwawicy! Ma pan się tym zająć, jak nie, to napiszę gdzie trzeba, załatwię...

– Czy pani zawsze musi marudzić? – zapytała Justyna, zmęczona jej gładzeniem.

Kobietę zatkano.

– A pani co tego ryja pruje? Za młoda pani na to, żeby się wtrącać w rozmowy starszych, inteligentnych ludzi. Tfu! Gówniara! – Lena splunęła spektakularnie.

Wiktor nie wiedział, o co naprawdę jej chodzi.

Może to ona była morderczynią i w ten sposób chciała narobić koło siebie zamieszania?

Lena na morderczynię nie wyglądała. I to nie do końca prawda, że nikt nie wygląda, niektórzy wyglądają, mają takie fizjonomie, że od razu za sam wygląd można by ich pakować do więzienia, bo jak ktoś jest wytatuowany po gałki oczne (a czasami i one też są wytatuowane) napisami w stylu „jebać policję”, to od razu widać, że herbatka nie jest jego ulubionym napojem, a noża i widelca, szczególnie noża, używa nie tylko do jedzenia (choć czasami potrafi jeść nożem i widelcem, bo go w kryminale nauczyli).

Niestety, Lena była mała, starutka i słaba.

Takie kobiety też mordują, ale raczej trują, niż dźgają, bo od ich trzęsących się rąk to ciało denata wyglądałoby jak sitko podżgane na chybił trafił, a nie trafił.

– O co chodzi?! – zapytał, chcąc mieć już to za sobą.

– O nocne wariactwa, tam na drugim. Co noc to samo! Coś wyje.

– Niemożliwe! – jęknął Maks w zachwycie. – A pani to słyszała?

– A pan to co? Nienormalny jakiś? Oczywiście, że słyszałam! Debil. – Lena robiła sobie coraz większe grono wrogów.

– A czy to brzmiało o tak?

Teraz Maks włączył swój rejestrator i puścił dźwięk.

– Iiiiiooooouuuuu aaaabili... – poleciało głucho z aparatu. Lena podskoczyła.

– O, o! Dokładnie o to mi chodziło!

– To w takim razie niestety.

– Co znowu?

– Niestety. Nic się nie da zrobić – odparł, wzruszając ramionami, Maks.

– Bo co? Bo szef policji tam wam wyje czy jakiś pieprzony polityk i nie można go ruszyć? – Lena zrobiła się czerwona z wściekłości.

– Nie. Bo to duch, czyj nie wiem, może być, że szefa policji albo polityka, ale jednak duch.

Lena zbladła.

– Jaja sobie ze mnie robicie?

– Nie, ale...

Mieliby może coś jej do powiedzenia, gdyby nie wycie, które rozległo się w korytarzu parteru, a potem przeniosło wyżej, odrobinę zanikając.

Lena zemdląła.

– To nie jest żaden duch, to jakieś jaja! – stwierdził Wiktor.

Pobiegli na górę. Wpadli na korytarz.

Marcin Puchacz właśnie wstawał z podłogi, cały roztrzęsiony.

– Macało mnie! Coś mnie macało! I wyło – wydukał.

– Co?

– Nie wiem! Nie wiem! – wrzasnął i zaczął uciekać.

– Szlag! Trzeba jednak zdobyć jakąś kamerkę. Macie może w samochodach?

Okazało się, że tak. Zebrali aż trzy, bo Wiktor też przyniósł swoją, i zainstalowali je w korytarzu. Niestety były to zwykłe kamerki, nie włączały się na fotokomórkę. Dlatego trzeba było rejestrować wszystko jak leci, a potem oglądać w czasie rzeczywistym.

Lena podniosła się z omdlenia drżąc.

– To niemożliwe! – oświadczyła. – To po prostu niemożliwe!

– Dlaczego? Poza oczywistym faktem, że duchy nie istnieją?

– Bo... Bo... I tak pan nie zrozumie! Nic panu nie powiem! Idę do siostry! Muszę z nią pogadać.

– Ona jest tutejsza?

– A jaka ma być? – fuknęła Lena wściekle. – Oczywiście, że tutejsza. Tu się urodziła.

– To może jej pani zapyta o układy w hotelu?

– A skąd ona mogłaby je znać?

– No stąd, że jest tutejsza.

– Widzi pan – Lena jakby się poddała – nawet jeżeli się jest tutejszym, nie zawsze wie się wszystko. Hotel to specjalne środowisko. Możliwe, że to, czego nikt nie wie, wiedzą tylko pracownicy, a oni nie dzielą się z gośćmi czy mieszkańcami swoimi sprawami, czy wy tam na policji opowiadacie o wzdęciach waszego komendanta albo o hemoroidach patologa?

– Skąd pani wie, że nasz patolog ma hemoroidy?! – wrzasnął Alojzy, wchodząc. – Szeffie, znaczy aspirancie, panie starszy, żona przyszła.

– To ty masz żonę jednak? – zdziwiła się Justyna.

– Nie jego! Moja! – Alojzy westchnął. – O ja pierdolę. Będzie katastrofa.

Do pokoju wpadła Karolina, zaróżowiona, rozochociona, cała w skowronkach i śladach po karmieniu dzieci.

– Jestem gotowa! Mogę się brać do dalszej pracy. Po śniadaniu musiałam maluchy ogarnąć, ale teraz jestem już wolna.

Poszli wszyscy do kuchni, jakoś tak wyszło.

Dziewczyna, bo mimo piątki dzieci była naprawdę młoda i ładna, rzuciła się do pracy, jakby to było powietrze, bez którego dotychczas się dusiła.

– Kroić włoszczyznę, tłuc ten schab, gdzie jest bułka tarta, jajka mi tu roztrzepać, tylko bez skorupki, ty! – wrzasnęła do jednej ze sprzątaczek. – Ziemniaki obierać!

Opuścili kuchnię, żeby jej nie przeszkadzać.

– Podkuchenną mi dajcie, sama nie poradzę – oświadczyła tylko i od razu było widać, że wie, jak to działa.

Na podkuchenną zgłosił się cieć, bo Berta się bała wchodzić do kuchni, a cieć ciągle marzył, ale niestety nie miał badań. Tak więc ściągnięto z urlopu Maryskę Kapicę. Prawdziwą pomoc kuchenną, która liczyła na wolne, ale się przeliczyła.

Już godzinę później zapachy zaczęły wszystkim dawać nadzieję na dobre jedzenie.

Wiktor cały czas w głowie jeszcze przetrawiał to, co powiedziała Lena. Tak, to mogła być sprawa czysto hotelowa, nieczysta, bo mordowanie w żaden sposób nie jest czystym załatwianiem sprawy, ale mogło to być związane właśnie z hotelem, ale jeżeli tak, to dlaczego teraz?

Nie jest prawdą, że zawsze jest dobry czas na morderstwo, nie, nie zawsze, ale coś je wywołuje. Ludzie latami gryzą się w sobie, męczą i denerwują, ale po nóż nie sięgają, coś musi się stać, żeby taki ktoś po ten nóż sięgnął.

Coś sprawia, że ktoś już nie daje rady inaczej, że nie widzi wyjścia albo że właśnie wreszcie je widzi i ma ono kształt noża.

Tylko co to może być?

Raczej nie święta, bo te są co roku.

Nie. To musi być coś innego. Coś, co sprawia, że ustalony porządek się wali.

Tak. Ktoś zakłócił porządek rzeczy. Kto?

Nie ktoś, kto tu był od zawsze, raczej więc ktoś przyjezdny, ale czy ten ktoś zabił, czy tylko był katalizatorem?

– Pani Marylo. – Poszedł na górę do pokoju dwadzieścia pięć. Za nim dość czujnie pognała Justyna.

– Tak, o co chodzi? – zapytała kobieta, to wstając, to przysiadając. Wyraźnie wszystko ją jeszcze bolało.

– Chciałem się dowiedzieć... – zaczął, ale nie dała mu dokończyć.

– Dziękuję bardzo, niestety nie, nie czuję się lepiej.

– Nie o to mi chodziło – odpowiedział, nieco zakłopotany.

Wielka nadzieja Maryli na współczucie pogrążyła się w niebycie.

– To o co chodzi? – burknęła, nie siląc się nawet na miły ton.

– Niech pani wszystko mi opowie, wszystko. Od początku świata – zażartował Wiktor.

– Jasne. Jeszcze czego. – Maryla poczuła się tak oszukana, że obawiała się śmieszności.

– Nie, poważnie. Wszystko, co się wiąże z tym hotelem i z panią. Jest tu pani po raz pierwszy?

– Nie. Już tu byłam. U nas w rodzinie były chrzciny, no a ja, wie pan, wolę spać w hotelu niż tam u rodziny. Oni zdecydowanie za dużo piją i jedzą. Poważnie, nie że jacyś alkoholicy, ale chłają strasznie i jeszcze nie wolno odmówić, bo zaraz się obrażają. No i małe dziecko, to wiadomo.

Wiktor zawsze miał ochotę dusić swoich rozmówców. Owszem, lubił sprawiać wrażenie przyjaznego słuchacza, ale tu szalał morderca, co go obchodziły problemy alkoholowe jej rodziny?

– No i? – Powstrzymał się od agresji.

– Co i? Przyjechałam, wyjechałam i tak ze trzy razy. To nie jest dobry hotel, ale jedyny rozsądny, no i w miasteczku, nie trzeba jeździć kilometrami. Najgorzej to było, jak wtedy te kible im poszły, to rzeczywiście nawet się chciałam skusić na mieszkanie u rodziny, ale mimo wszystko nie skusiłam się.

– A tak, słyszałem. Wszyscy o tym opowiadają.

– Tak im poszła kanalizacja, że nie dało się używać łazienek, trzeba było latać za kuchnię.

– Kłopot poważny.

– Nie dla mnie, ja tylko tu spałam, ale wszyscy się denerwowali, że trzeba przez kuchnię przechodzić, a tam ta kucharka cały czas jak cerber stała i pilnowała, żeby nikt jej łap do garów nie wtykał, bo jeszcze czymś jedzenie pozaraża.

– Czym? – zapytał, mimo że pochwalał takie stawianie sprawy, bo żywienie zbiorowe to nie jest bułka z masłem, a zatrucia się zdarzają.

– A bo ja wiem? Pewnie jakąś chorobą weneryczną.

– Ale dlaczego weneryczną?

– A bo to wiadomo? Przecież to prostytutki były.

– A, no tak. – Justyna klepnęła się w czoło. – Tu podobno jakiś zjazd był?

– Tak, związek zawodowy chyba prostytutki zakładały czy kasę emerytalną? W każdym razie coś takiego, no ale ja tak dokładnie nie wiem. Ta stara z laską może coś wiedzieć, bo też tu była, ale ona to często tu siedzi, a co do tego zjazdu, to chyba lepiej zapytać te wasze dwie dziewczuchy.

– Jakie dwie dziewczuchy? – Tym razem Wiktor aż zeszytywniał z zainteresowania.

– No te, co latają takie rozgogolone, przecież one też wtedy tu były.

I nagle okazało się, że Oliwia i Kaśka nie powiedziały im wszystkiego i że jakby nie są dokładnie tak niewinne, na jakie pozowały.

\* \* \*

– Kaśka, Oliwia! – wrzasnęła wściekle Justyna, choć takie sprawy do jej kompetencji nie należały. – Co to było z tym zjazdem? Dlaczego nie mówiłyście wcześniej...

Obie dziewczyny usiadły w biurze ze skrzywionymi minami.

– No kurczę, dorabialiśmy sobie. Wiesz, jak trudno się utrzymać?

– No ale...

– Normalnie to chciałyśmy na escortki, ale mamy za małe cycki i w ogóle bez znajomości się nie da, więc trochę tak dorabialiśmy. No ale wiesz, chwalić się za bardzo to nie było czym, nie że wstyd, praca jak praca, ale jednak ludzie nie patrzą na to za dobrze, szczególnie jak wycieknie do Internetu, a my chcemy się porządnie wybić, a nie miotać jak smród po gaciach w byle jakich Internetach, nam są potrzebne jakieś rozsądne pieniądze, a nie wiesz...

Justyna nie wiedziała. To znaczy starała się nie oceniać, choć z trudnością jej to przychodziło.

Że te dwie były prostytutkami? Tak zawodowo, nawet nie dorywczo? Poważnie? Strasznie to paskudnie odebrała, ale jeszcze gorzej odebrała ich kłamstwo na temat tego, że przyjechały tu po raz pierwszy.

– Ale to by oznaczało, że byliście tu już wcześniej! – stwierdziła, nie komentując ich wcześniejszych rewelacji.

– No bo byliśmy – Oliwia wzruszyła ramionami, jakby to nie miało dla niej najmniejszego znaczenia – i co z tego? Wiesz, gdzie byliśmy? Kaśka to nawet w Paryżu z klientem była i co, i trzeba to wszystkim mówić?

– Nie, tego nie trzeba – burknęła, choć właściwie to była racja w pewnym sensie. Tak, ale w pewnym sensie jednak nie. – Znałyście kucharkę. Mogłyście ją zabić!

– Zwariowałaś?! Po co?! – wrzasnęły obie, bo chyba obie, i Kaśka, i Oliwia poczuły się dotknięte do żywego, ale na wszelki wypadek zwróciły się do Justyny, a nie do Wiktora, mimo wszystko wołały sobie z policjanta wroga nie robić.

– Żeby nie powiedziała na przykład Maksowi co robiłyście wcześniej?

– Maks wie. Wie i korzysta. Możesz mi wierzyć. – Oliwia skrzywiła się trochę złośliwie.

– No ale jednak ją znałyście? – zapytał Wiktor, chcąc uniknąć szczegółów ich życia seksualnego z Maksem czy bez Maksa.

– Jasne, w przelocie, ale znalazłyśmy, a przelot polegał na tym, że wpadałyśmy do kuchni, przelatywałyśmy obok wąsatego cerbera i tyle. Nawet z nią nie rozmawiałyśmy. To był koszmar, najpaskudniejsze kilka dni w życiu. Paskudnie trafiłyśmy, a ta jeszcze dowalała do pieca tym swoim cerberowaniem.

– No ja raz próbowałam, grzecznie zapytałam, co dobrego dostaniemy na obiad, to mi powiedziała, że gówno, i tyle znajomości było. Wredna baba. Naprawdę.

– No, nie była miła – dodała swoje trzy grosze Oliwia.

– A tę staruszkę też goiła, tę z łaską. Wyzywała ją od szmat. Naprawdę, pierwszy raz widziałam, żeby personel wyzywał kogoś z gości w taki sposób, no z normalnych gości, bo nas to wiadomo: zawsze traktują jak śmieci.

Rzeczywiście seksworkerki (jak to się teraz ładnie nazywa) w hotelach nie mają dobrych notowań, a na dodatek nikt ich nie traktuje inaczej, niż jakby były brudne albo zadżumione z przewagą zarażenia syfem albo HIV-em. Tak jest, nawet pokojówki potrafią takie kobiety wyzywać, no ale żeby normalnych gości?

– Może myślała, że ona od nas?

– W jej wieku?

– A kto by wiedział, niektóre pracują do upadłego. To ja bym mogła zrozumieć, ale przecież nie tylko.

– Kogo jeszcze tak traktowała? – Wiktor coś sobie notował.

– No, tę Marylę to widziałam, jak złapała ją kiedyś za kuchnię i powiedziała, żeby jej szemrana rodzina się tu nie pojawiała, bo ich siekierą przywita.

– Wyraźnie dziwna to była kucharka. Czy ona była współwłaścicielką? – wymruczał Wiktor, ale od razu tę myśl odrzucił. Wyraźnie nie, gdyby była, toby szanowała ludzi, a nie awanturowała się z nimi, ale musiała mieć jakąś władzę albo tylko jej nadużywała?

– Co jeszcze widziałyście? – zapytał dla spokoju sumienia, żeby niczego nie zataiły.

– W sumie nic? Chyba nic. Rita łąziła wściekła, ale ona tak zawsze, jej matka rzucała garami, ale to też jakby nic, najgłupiej było, jak chłopaki się pobili.

– Jakie chłopaki?

– No jak jakie? Nasze. Oczywiście, że nasze. To, że seksujemy, nie znaczy, że nie uprawiamy seksu!

– To znaczy?

– Ja byłam z Łukaszem, a Oliwia z Maksem, ale potem oni zaczęli korzystać z usług jakiejś dziewczuchy i się pobili o nią, pokłócili się na śmierć i życie i tak wyszło, że Łukasz poszedł do was, a Maks został.

– Ale tutaj?

– No a gdzie?

– Chodzi mi o to, że tutaj się pobili?

– Tutaj, tutaj, chyba nawet na dachu, bo wleźli po drzewie od strony parku, tego maszynowego, ale potem właściciel to drzewo ściął. Bo mu się źle kojarzyło.

Wiktor popatrzył na Justynę, Justyna na Wiktora, potem oboje spojrzeli na Roberta.

– Nawet nie próbujcie! – mruknął wściekły. – Mnie tu nie było. Ja tylko mam dojście do policjanta tu niedaleko, ale wolałem o nim nie wspominać, żebyś mu jakiejś krzywdy nie zrobił, że z cywilami się kuma.

Nagle wszyscy zdali sobie sprawę, że jakoś tak wszyscy uważali niby przypadkiem, ale jednak, że mordercą musi być kobieta, nawet uwzględniano Lenę, a i prateściową Winicjusza, choć ją dopiero zamierzali przesłuchać, ale nikt nie brał pod uwagę żadnego faceta, fakt, niewielu ich tu było, bo tylko Winicjusz i cieć. Obu policjantów w tej chwili, choć tutejszych, Wiktor również pod uwagę nie brał, ale ze względu na to, co usłyszał, postanowił ich nie wykluczać, w końcu do tej chwili wydawało im się, że ani Oliwia, ani Kaśka nigdy tu nie były, nie mówiąc już o Maksie, którego można było podejrzewać, w końcu kartotekę miał, ale i o Łukaszu, który był tak niewidoczny i wydawał się tak niewinny, że aż zaczął świecić własnym światłem.

– A Winicjusz?

– Co znowu ja? – warknął, wchodząc, właściciel, który nawet nie zapukał, ale wiadomo, to teraz było biuro. Do biura się nie puka.

– Zastanawiamy się, czy miałby pan motyw, aby zabić kucharkę.

Winicjusz jakby oklapł.

– Jasne, że bym miał. Nie zrobiłem tego, ale ona na mnie donosiła. Do żony.

– W jakim sensie donosiła?

– A ile dań biorę do pokoju, jakie wino, ile szampana...

– I to takie ważne?

– Musicie mnie zrozumieć. Rita to już przeżytek! Kiedy się pobieraliśmy, była inna, młoda, ładna, gibka, a teraz? Przecież to jakaś wojownica, a nie kobieta. Cycem mogłaby kogoś zabić. Jest stara i gruba, nie na to się pisałem!

To rozumowanie jest częste u zamożnych mężczyzn poślubiających młode kobiety dla ich aparycji. Niemniej te kobiety też często zmieniają zdanie na temat swoich miśiaczków, których poślubiły dla pieniędzy, kiedy tylko te pieniądze już się skończą. Tylko że to brzmi nieco inaczej: „on jest biedakiem, nie na to się pisałem” mówią, ale cała reszta wygląda tak samo.

Justyna chciała jednak konkretów.

– No ale ani jedna, ani druga od cyca nie zginęły.

– A wiadomo? – Winicjusz trzymał się swojej wersji. – Mogła dopaść i cycem wbić nóż. Jest duża i silna.

– A ta Zośka?

– Co z nią?

– Też na pana donosiła?

– My tu żyjemy trochę jak w rodzinie. – Westchnął i choć nie było pewne, co dokładnie to ma znaczyć ani czy to jest złe czy dobre, to poczuli raczej, jakby było to coś w rodzaju rodziny patologicznej.

– A teściowa?

– To znaczy obie – dopytała Justyna, czując się prawie pełnoprawną śledczą.

– Mogłyby, a jasne, tyle że nie wiem dlaczego. One się z Ernestyną jakoś dogadywały. Może miały jakieś swoje sprawy, tego się nie dowiemy, takich rzeczy się po prostu nie wie, ale to wszystko zaczęło się jakiś czas po tym zjeździe.

– To wszystko?

– Te duchy, napisy, te dziwne wydarzenia. – Winicjusz powiedział to zmęczonym głosem i widać było, że te sprawy dobijają go bardziej niż morderstwa.

– Jakie dziwne wydarzenia?

– Dwóch idiotów pobiło się na dachu, to nie jest dziwne?

– To akurat nie. – Justyna się roześmiała.

– No to to, że ktoś chciał rozwalić ładunkiem wybuchowym Feniksa naszego?

– Jakiego Feniksa?

– No tę rzeźbę sprzed hotelu. Albo to dinozaurowe żarcie? Albo wycie po nocach?

– I to wszystko zaczęło się wtedy?

– Tak.

– Czyli uważa pan, że to morderstwo jest konsekwencją zapchanego kibla i zjazdu prostytutek?

Jakkolwiek to zabrzmiało, Wiktor, który zadał to pytanie, nie był w stanie uwierzyć sam w to, o co pyta. Co zapchany kibel mógł mieć wspólnego z duchami? Co związek zawodowy prostytutek (może nawet ulicznych) miał wspólnego z morderstwem? Choć to akurat pasowało o wiele bardziej.

Co wysadzenie w powietrze rzeźby miało wspólnego...

– Zaraz, a ta rzeźba to skąd się tu wzięła?

– W latach dziewięćdziesiątych została tu postawiona.

– Nie jest ładna.

– Ano nie jest, ale co robić? Jest, stoi. Gdybym chciał się jej pozbyć, to musiałbym to miejsce jakoś zagospodarować, a to kosztuje.

– Wiąże się z czymś konkretnym? Chodzi mi o rzeźbę, nie o miejsce?

– Nie, raczej nie. Tu był hotel robotniczy, a wtedy w końcówce PRL-u takie rzeźby pakowali gdzie popadnie, żeby dodać awangardy.

– To nie jest awangarda, to jest stos kamienia. Łupa-kurwa-nego – odezwał się Robert.

– Pan się ze mną nie kłóci. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Owszem, mieszkalem tu. Nawet za dawnych czasów. Teściowa też, jej matka to pracowała w rybiarni, ale nic tu się takiego nie działo, żeby coś takiego stawiać...

– A ten wybuch?

– Nie było żadnego wybuchu.

– Sam pan mówił.

– Że ktoś chciał, nie że wysadził. Po prostu nie wiem, jak to wyszło, bo nie do końca się interesowałem, ale mnie wtedy nie było. Jakoś tak ktoś zobaczył pod tym cholerstwem taki odkurzacz, jakby okrągły. No i go ukradł.

No i zabrał, i mu ten odkurzacz chałupę rozwalił. Okazało się, że to jakaś mina była. No i on nas do sądu chciał podać, że to zrobiliśmy specjalnie. I tak się okazało, skąd on to wziął, no a jak się okazało, to już było wiadomo. Nawet chcieli mi to przypisać, że nielegalną rozbiórkę dzieła artystycznego chciałem załatwić. Miałem szczęście, że byłem nieobecny. A reszta to nic ciekawego. Wie pan, hotel robotniczy to takie trochę główniane miejsce.

– A ta matka pana teściowej to mówiła, że tu cuda się działy.

– Oj tam cuda, pan nie wierzy. Ona jest nienormalna. To zwyczajny hotel robotniczy był, co tu się mogło dziać?

Z pewnych względów Wiktor wiedział, co mogło i co działo się w takich miejscach, a w momencie kiedy Winicjusz dodał do hotelu robotniczego słowo „zwyczajny”, aż dreszcz go przeszedł.

Bimbrownie, burdele, paserskie dziuple, podziemie aborcyjne, takie hotele były wylegarnią kłopotów.

Inna sprawa, że w ustach i pamięci staruszki, która wtedy była młoda i możliwe nawet, że ładna (choć trudno by ją o to podejrzewać), dawne czasy są zawsze piękne, choć kiedyś raczej nie były.

– A ten kelner, co z dachu zleciał i się zabił? – rzucił mimochodem Wiktor.

– Kelner? Nie słyszałem. Ale rzucił się czy spadł? – Winicjusz bardzo się zainteresował tematem.

– No ja słyszałem, że się zabił, najpierw był na dachu, potem na betonie, ale pomiędzy to różnie, nie wiem, spadł, rzucił się? Został zrzucony? Co pan wie?

– Nie, no co pan gada? Jaki kelner, żaden kelner, co pan wymyślił?

– A ktoś inny?

– Tutaj to nie za bardzo wiem, ale na sto procent to nie był kelner. – Wyszedł pospiesznie.

I to było dość niepokojące. Wszyscy zainteresowani wyczuli, że coś było z tym kelnerem albo z kimś innym, ale ktoś chyba spadł. I raczej się zabił. Beton to nie jest miejsce na miękkie lądowanie. Tylko dlaczego Winicjusz tak dziwnie zareagował? Oburzył się na kelnera, a potem od tematu uciekł. Czyli kelner był ważny, choć w mniemaniu Winicjusza go nie było, albo był, ale nie był kelnerem i to miało jakieś znaczenie.

– To ja pojedę jutro do kumpla, tego z policji? – Robert trochę jakby zaproponował, a trochę jakby zapytał. – Nie jestem pewien, co mam zrobić. Bo rzeczywiście drogą służbową też to dałoby się załatwić – dorzucił, w końcu patrząc pytająco na Wiktora.

Nie za bardzo chciał się wtrącać.

Nie za bardzo chciał narażać kumpla.

Nie wiedział, czym pachnie Wiktor, a z policjantami zawsze tak jest, że prywatnie może i są czasami w porządku, a służbowo to wariat na wariacie i świrem pogania.

– Jasne, że by się dało, ale wtedy dostaniemy raporty i dokumenty, o ile woda ich nie zalała na przykład, a mogła, albo nie było pożaru w archiwum, a prywatnie to dostaniemy plotki i przypuszczenia, które mogą nam o wiele więcej dać niż suche (a nawet mokre dokumenty). Jedź z samego rana.

– Pytać o coś konkretnego?

– O wszystko, nawet o szraczkę w hotelu, nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

\*\*\*

Obiad podano.

To był moment wielkiego oczarowania. Karolina, tymczasowa kucharka, przeszła samą siebie, obiad był może niezbyt wyszukany, ale taki, jakiego właśnie wszyscy w tym momencie potrzebowali. Potrzebowali rosółu z domowym makaronem, schabowego z toną panierki i mizerii ze śmietaną, a do tego kompotu. Był to prawdziwy kompot z dżemu.

Klasyka z PRL-u.

Lena aż się popłakała z rozrzewnienia.

– Dawno, o jak dawno nie jadłam i nie piłam niczego równie dobrego, przecież to jak z czasów mojej młodości! Takie rzeczy się wtedy jadło, a kompot z dżemu to był rarytas!

Inni, ci młodszy, tym kompotem byli lekko zaciekawieni, bo nigdy dotąd czegoś takiego nie próbowali.

I nie mieli ochoty powtarzać tego doświadczenia.

Alojzy oczywiście kręcił się po hotelu dość bezproduktywnie, ale jednak coś tam robił.

– Ale ja też mogę ten obiad? – zapytał wreszcie, pojawiając się w jadalni z oczami pełnymi tęsknoty i przerażenia. – Bo wie pan, ona, moja żona tu, a tam w domu pusto. Głodno. Nie ma jedzenia. Nic nie ma. Ja cierpię.

Wiktor się ulitował, choć to właściwie nie była jego sprawa.



– Zjemy wszyscy! Trzeba się zregenerować. To w końcu nie nasza wina, że mordują. Na głodniaka nic nie zrobimy, a teraz to rzeczywiście nie ma ani jak, ani gdzie cokolwiek zjeść.

W jadalni było cicho, tak cicho, że aż słychać było mlaskanie.

– No, pani Karolino, wspaniale się pani sprawiła – powiedział Winicjusz.

Oczywiście chwalenie kucharza nie było u niego czymś normalnym czy naturalnym, należał do tej kategorii pracodawców, którzy się boją, że chwalony pracownik się znarowi i jeszcze poprosi o podwyżkę, więc praktycznie nigdy nikogo nie chwalił, Karolina jednak nie była jego pracownicą, więc mógł się odrobinę wychylić, poza tym nie miał kucharki, a przecież jej potrzebował.

Stara prawda mówi, że jak się wróbelka łapie, to mu się ziarenka sypie. I on właśnie to zrobił.

– A bo ja tak sobie pomyślałam, może bym tak na stałe? Skoro wam kucharkę coś trafiło, a ja bym do pracy poszła natychmiast. Natychmiast!

– A dzieci? – jęknął przerażony Alojzy. – Przecież nie porzucisz dzieci?!

– Mamusia! – warknęła Karolina, która tak dobrze się czuła w pracy, że za nic w świecie nie chciała dać sobie jej odebrać.

– Jasne, pani Karolino! – odpowiedział Winicjusz. Nie trzeba dodawać, że był szczęśliwy jak dziecko.

Alojzy zemdlał. Po chwili jednak się ocknął.

– A dzieci? – wyjącał spod stołu jeszcze raz. – A ja? – dodał nieśmiało.

Karolina miała na to jedną odpowiedź.

– Mamusia! Ja idę do pracy! – odparła zdecydowanym tonem.

– Ale przecież miałaś być w ciąży? – rzucił Alojzy tym razem z nadzieją, bo wołał kolejną czwórkę dzieci niż takie paskudne układy, gdzie żona nie będzie na każde zawołanie, nie uprasuje, nie poda piwa, nie podsunie pod nos obiady, nie zrobi kolacji, a nawet nie przygotuje kanapek na drugie śniadanie do pracy.

– Nie jestem, tylko cię straszylam, to jak? Kiedy mamusia przyjedzie?

– Jutro rano, ale ona sobie nie poradzi z piątką dzieci!

– Twierdziła, że to żaden problem. Sama słyszałam! Najwyżej jej pomożesz.

– Ja? – Przeważenie i niedowierzenie zatkały go zupełnie. – Ale ja pracuję!

– Ja też – powiedziała Karolina z taką dumą, że aż miło było na nią patrzeć. A kiedy wszyscy, a właściwie wszystkie kobiety spojrzwały na nią ze zgrozą, stwierdziła z uśmiechem: – No co?! Kocham moje dzieci, bardzo je kocham, ale to nie znaczy, że mam ochotę przez nie zwariować! Praca będzie dla mnie odpoczynkiem! A wie pan? – zwróciła się do Wiktora. – Słuchałam tego, o czym gadaliście, i wie pan co? Ernestyna była tu od zawsze i Zośka też, a Alberta to się z nimi kumowała.

Może nie było to wielkie odkrycie, ale Wiktor też czuł, że te trzy kobiety były ze sobą jakoś powiązane.

Postanowił wreszcie zająć się Albertą. Może późno, ale chciał jej dać chwilę czasu na ochłonięcie.

\*\*\*

– Jak to się stało, że wpadła pani na Zośkę w kuchni? I jak pani wpadła, bo zakładam, że to nie pani ją zabiła?

– Nie, nie ja, ale teraz to trochę zaczęłam się martwić. – Westchnęła, wywołując niedowierzenie u policjanta, bo jeżeli ona zaczęła się martwić dopiero teraz po dwóch trupach, to rzeczywiście miała nerwy ze stali.

– Bo? – Wiktor wołał wydusić z niej jak najwięcej, ale nie chciał jej niczego sugerować.

– Bo my we trzy byliśmy tu tak jakby najstarsze.

Co mógłby mieć wiek do zabójstw, nie wiedział.

– No, niech pani nie gada, a babcia żony właściciela? Przecież jest o wiele starsza. – Wiktor udał, że nie rozumie, co tamta mówi.

– Nie chodzi mi o wiek, ale o staż.

– A, w hotelu? – zapytał, choć przecież to było oczywistą oczywistością.

– Tak jakby.

– Co tak jakby?

– O staż w całym układzie. Przecież Ernestyna i Zośka to tu się kręciły od czasu młodości. Nie chodzi o pracę, ale o całokształt. Naprawdę, pomieszkiwały tu trochę, jak pracowały.

– To one nie były stąd?

– Były, ale załatwiły sobie hotel, bo mieszkały pod miastem, a dojazdy szwankowały. Zresztą miały chody. Potem ja do nich jakoś dołączyłam.

– No dobra, nie uwierzę, że ktoś morduje ludzi tylko dlatego, że często przebywali w tym hotelu, to nie jest ani niebezpieczne, ani karalne. Mnie bardziej interesuje, jak to było z tą Zośką.

– Ja byłam w korytarzu, na dole, nie poszłam na górę, bo wszyscy tam poleźli i nie chciałam się tam pchać, miałam iść coś zjeść do kuchni, bo spóźniłam się na kolację, a w domu stary się awanturował, więc nie miałam jak, zresztą chciało mi się śledzia. To poszłam, przecież to nie jest karalne, jak Winicjusz może swojej babie nosić żarcie? To dla czego ja mam nie móc jeść, kiedy chcę?

– Ale on jest tu właścicielem.

– A ja tu pracuję!

– No i co?

– I nic, jak się pracuje w hotelu, to można – oświadczyła, jakby praca w hotelu upoważniała do wszystkiego.

– Bardziej o Zośkę mi chodziło. Jak to było?

– Nijak. Usłyszałam, że z kimś gada. Klóciła się, że coś... nie wiem. Że to nie była jej wina czy coś? Że jakaś „ona” sama sobie była winna i nie ma co gęby sobie strzępić.

– Z kim rozmawiała?

– Nie wiem. Nie rozpoznałam i właściwie to słyszałam tylko Zośkę, choć przecież nie gadała sama ze sobą. A może przez telefon?

– Telefony nie dźgają nożami. Tam musiał być ktoś jeszcze – uświadomił ją Wiktor, choć nie było to aż takie głupie, ktoś rozmawia z kimś przez telefon, a ktoś inny go dźga.

– Możliwe. Bo jak zgasło światło, to usłyszałam szamotaninę, ale z rozpędu szłam dalej i wpadłam na Zośkę i całym się na niej wywaliłam. Nawet nie wiedziałam, że ona jest martwa. I zaczęłam krzyczeć, żeby mi ktoś pomógł, ale wtedy dostałam czymś w głowę. O, jeszcze guza mam.

– A to może pani sama się o coś walnęła?

– Kiedy w tym miejscu to nie bardzo jest o co się walnąć – westchnęła – a potem wpadliście wy wszyscy – dodała, zamilkła, a następnie zapytała o coś, co Wiktorowi jawiło się prawdziwym i niestety możliwym koszmarem: – Czy pan myśli, że on teraz zabije mnie?

Wiktor zdawał sobie sprawę, że morderca może mieć taką ochotę. Może myśleć, że Berta coś słyszała albo też coś widziała. Może więc chce się jej pozbyć.

– Nie, to niemożliwe – powiedział, starając się, żeby w tym stwierdzeniu było jak najmniej nieszczerości. – Weszła pani do kuchni, jak już było ciemno, prawda?

– Tak.

– Czyli wiadomo, że nie mogła pani nic zobaczyć.

– Tylko, że... Hmm... – Berta zachowywała się tak, jakby chciała coś ukryć albo jakby nie wiedziała, że powinna coś powiedzieć.

– Tylko, że... Hmm co? – zapytał Wiktor w stresie, bo przecież w takiej sytuacji powinien wiedzieć naprawdę wszystko. Ukrywanie wiedzy to prośenie się o kłopoty. A to może skutkować kolejnymi zwłokami. – Do jasnej cholery, czy pani nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa? On może chce panią zabić! – wrzasnął, nie umiejąc nad sobą zapanować.

– Przed chwilą mówił pan, że nie! To jak w końcu jest?

Wiktor poczuł się zmęczony. W pewnych konkretnych sytuacjach inaczej interpretuje się dane. Jeżeli nie widziała zabójcy, to może i zabójca o tym wie, a że nie był widziany, nie będzie chciał jej zabić, choć paranoja może mu podpowiedzieć jakieś czynności mordercze, ale jeżeli był widziany, to już zupełnie inna sprawa, ale to, co mówi policja, zależy od tego tylko, jaką posiada wiedzę.

– Przecież to nie jest wróżenie z fusów, ale ocena sytuacji na podstawie faktów. Czy on mógł się zorientować, że pani jest gdzieś w pobliżu?

– No, bo ja wiem? – Berta nie była pewna. Wolą, żeby nie, ale przecież ona też musiała jakoś oceniać fakty, a przecież nie siedziała w głowie tego mordercy, może kiedy ona nie patrzyła, on wyrzwał na chwilę i na nią spojrział?

Może zapach mu coś podpowiedział? Ludzie nie czują własnego zapachu, ale innych już tak. Berta miała do czynienia z taką ilością środków czystości, że może nimi przesiąknęła?

Takich rzeczy się nie wie.

– A i jeszcze. Facet czy baba? – Policjant zadał pytanie, które ona sama sobie też zadawała, ale nie odpowiedziała natychmiast.

– Co: facet czy baba? Chodzi o mordercę? Przecież mówiłam, że nie widziałam, ale coś jakby słyszałam – wydukała wreszcie niepewnym głosem.

– No, czyli? Jakby? Co jakby pani usłyszała?

– Jest mój, nie oddam go... Jest mój. Zawsze był mój...

– Ale co to było?

– No właśnie takie coś słyszałam. Taki jakiś szept, jakby ktoś Zośce tłumaczył, że jakiś facet jest zajęty? No i ja wtedy to nawet Zośki nie widziałam.

W tym momencie posypało się wszystko. Wiktor nie umiał sobie poradzić z tym wyznaniem Berty. Do niczego mu nie pasowało.

– Rita?

Wiktor wrócił do sprawy pierwszoplanowej, pomyślał, że jedyną osobą zazdrosną o kogokolwiek mogłaby być Rita, ale przecież nie o Zośkę?

– Zazdrość?

– Tak jakoś to brzmiało, ale wie pan, ja to nie wiem, to tak jakby tam była więcej niż jedna osoba. Ale potem ktoś powiedział: „To była moja siostra, ona nie żyje, rozumiesz?”. No ale tego głosu też nie rozpoznałam, choć był inny.

– No i jeszcze jakaś siostra? – Wiktor zupełnie się pogubił. – Czyli Zośka mogła zabić Ernestynę, a jej siostra, tej Ernestyny, zabiła Zośkę? To by pasowało.

Jeżeli Rita podejrzewała Zośkę o romans z Winicjuszem i za to ją zabiła, to oznaczało spore kłopoty, bo Rita musiałaby po prostu zwariować.

Niektóre kobiety są bardzo zazdrosne, niektóre szalenie, ale obiekt tej zazdrości też przecież się liczy. Można być zazdrosnym o młodą i piękną dziewczynę, ale nie powinno się być zazdrosnym o starą babę, no chyba że ma się coś z głową.

Rita była od ofiary młodsza o co najmniej piętnaście lat, na pewno ładniejsza, zdecydowanie bardziej elegancka i pociągająca. Po co miałyby zabijać kogoś, kto jej nie zagrażał?

– Rita? – powtórzył jeszcze raz z niedowierzaniem, usiłując jakoś to sobie poukładać.

Przez okno zobaczył, jak Karolina i Alojzy wprowadzają do hotelu swoje pięć pociech, zdecydowanie koleżanka już nie miała siły się nimi opiekować, no ale na noc mogły zostać w hotelu, bo i Karolina, i Alojzy mieli tu zostać na noc.

– Nie, to nie mogła być Rita, to znaczy mogła, ale nie, to był inny głos, jakiś nieznan, bardzo taki...

– Jaki?

– Nie wiem, burdelowy?

Istnieje takie określenie jak burdelowa muzyka, która skłania do pewnych czynności i te czynności raczej nie są tańcem, a także burdelowy wystrój, co właściwie nawet się udało stworzyć w pokoju Kaśki i Oliwii, a co niechcący okazało się pewną prawdą, ale istnieje też burdelowy szept albo głos, to taki zmysłowy, rozmemłany sposób mówienia, który bardziej kojarzy się z uprawianiem seksu niż z rozmową.

– Zaraz. Ja chyba zdurniałem kompletnie! A kochanka Winicjusza?! – zawołał Wiktor. – Przecież to mogła być ona, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

Berta jakby zbladła.

– A wie pan, że z tą kochanką to nie jest taka prosta sprawa? – zapytała, trochę jakby zdenerwowanym głosem.

– To znaczy? Jakaś skomplikowana?

– Nie, ale jakoś dziwnie wychodzi. Wie pan, że nikt jej jeszcze nie widział? – Zadała to pytanie z pewną dozą satysfakcji, z jaką rozprowadza się najlepsze, najsmakowitsze plotki. Te, które potem rozchodzą się jak smród po gaciach albo ciepłe bułeczki.

– Nawet pani?

– Ja to zupełnie, ani razu! Wiem, że Zośka widziała, jak Winicjusz żarcie jej nosi do pokoju, tego na samym końcu korytarza, na drugim, ale jej samej to nie widziała. Tak przynajmniej twierdziła.

– A Rita?

– To jest tak: Rita uważa, że jej nie ma. To znaczy jest, ale nie ma.

To dość karkołomne stwierdzenie pobudziło Wiktora do rozmyślania o niezbadanych meandrach rozprzestrzeniania się chorób umysłowych.

– No niech pani nie świruje!

– No, ona uważa, że on zwariował i ją wymyślił albo tylko wymyślił, a to ona zwariowała.

– Czyli?

– No bo tak: on się chce rozwieść z powodu kochanki, której nie ukrywa, ale jak Rita poda go do sądu i tę kochankę tam jakoś przedstawi, to może się okazać, że ona nie istnieje i Rita wyjdzie na wariatkę?

– Trochę to naciągane. Poważnie. Nie mogą się rozwieść jak ludzie? Dzieci nie mają!

– Ale mają hotel.

– W zapaści... Według tego, co słyszałem, dochodu nie przynosi.

Hotele nawet w zapaści są dość sporym dobrem, wystarczy zmienić profil albo zarządzanie, a pieniądze się pojawiają.

– Jeżeli pan posłucha Winicjusza, to rzeczywiście, ale jakby tak się przyjrzeć, to nie jest tak znowu źle, to nie złoto i diamenty, ale da się żyć.

Z tym życiem to jest tak, że to, co dla jednego jest sumą wystarczającą na przeżycie, bo starcza mu na ziemniaki i pasztetową, dla drugiego będzie głodowym koszmarem, bo nawet na węgorki i kawior go nie stać. A mówimy tylko o jedzeniu, do tego dochodzi cała reszta. Ubrania też, bo majtki można kupić i za pięć złotych i za pięćset oczywiście też, są tacy, którym wystarczają te pierwsze, są tacy, którym potrzebne są te drugie, i to w ilościach hurtowych.

To samo z kosmetykami, dlatego to, co mówiła Berta, mogło być niemiarodajne.

Ten hotel w zapaści mógł być całkiem dochodowy, a nawet jeżeli nie, to jego sprzedaż coś mogłaby dać.

– Czyli że Winicjusz mógł wymyślić kochankę, żeby Rita go podała i zrobiła z siebie wariatkę.

– No właśnie, ale mógł też wymyślić kochankę, bo mu zwyczajnie odpierdoliło, tak czy tak kochanki nie ma, ale też ona może jednak być. To, że jej nie widać, nie musi świadczyć o tym, że jej nie ma, ale może na przykład jest czarna?

– A co to ma do rzeczy?

– U nas nie lubią czarnych. O, albo nieletnia? Albo jakaś... Sławna?

Wiktor spał się, bo właśnie uzmysłowił sobie, że musi przesłuchać kochankę Winicjusza. Jeżeli jest czarna, nie będzie z tym problemu, o ile mówi po polsku, jeżeli jest nieletnia, to będzie koszmarny problem, ale może Winicjusz nie jest aż takim debilem, a jeżeli jest sławna? Przechlapane, sławni ludzie mają adwokatów, ale pocieszające było to, że sławni ludzie mają bardzo wyszukany gust, a więc Winicjusz chyba odpadał.

Zadzwonił do niego, ale ten roześmiał mu się w nos.

– Kochankę? Pan oszalał? Nie mam żadnej kochanki! – zawołał rozeźlony. – Co pan wymyślił?!

– Ale żona mówi, że pan ją zdradza.

– Zdradzam, ale nie mam kochanki – powiedział z zadowoleniem Winicjusz.

– To co? Ma pan kochanka? Mnie tam wszystko jedno, ale muszę go przesłuchać, przecież to on mógł być mordcą. Nie wolno panu ukrywać świadka przed policją.

– Oszalał pan? Nikogo nie ukrywam!

– A ta osoba z pokoju na drugim piętrze? Dla kogoś pan przecież nosi jedzenie.

– Dla siebie noszę!

– Nalegam jednak, żeby pan... – Nie zdążył wyrazić swojej prośby i miał w tym względzie dużo szczęścia, bo nie do końca wiedział, jak tę prośbę sformułować.

Bo jak? Miał nalegać, żeby Winicjusz pokazał mu nieistniejącą osobę? Zaraz, nagle coś przyszło mu do głowy. A jeżeli Winicjusz kogoś ukrywał, ale ten ktoś nie był jego kochanką? A na przykład matką? Ciotką? Ojcem? Bratem?

Na szczęście Winicjusz przerwał mu rozmyślania.

– Jak pan chce, to zapraszam. – Naprawdę się wkurzył, no ale trudno się nie denerwować, kiedy słyzy się pewne insynuacje, a poza tym to była jego prywatna sprawa. – Czekam na pana na gorze. Sam pan zobaczy.

\*\*\*

– Pani Alberto, kto skorzystał na śmierci Ernestyny? – zapytał niepewnie, bo dopiero teraz o tym pomyślał.

Nie zabija się ludzi dla samej przyjemności zabijania, no w każdym razie niezbyt często. Zabójstwo jest po coś, to eliminacja jakiejś przeszkody albo wroga. I to nie takiego wroga, który kłapie pyskiem i kłapie, ale nie jest w stanie zagrozić. To eliminacja kogoś, kto może być niebezpieczny. W jakiś sposób.

Może też chodzić o seks lub pieniądze, ale Ernestyna i seks – to chyba nie wchodziło w rachubę. Nie w takim układzie, ale mogło chodzić o seks czyjs inny. A pieniądze?

Fakt, że Ernestyna była kucharką, sprawił, że nie myślał o niej jako o bogaczce, którą ktoś zamordował za miliony odziedziczone w spadku, ale przecież mogła być bogata. Niemniej korzyści z czyjejś śmierci nie zawsze są aż takie wymierne. Są domy czy działki, które się dziedziczy, jest wolność małżeńska, którą się odzyskuje, jest święty spokój albo na przykład zachowanie jakiejś tajemnicy, wszystko to może być korzyścią i nie musi kosztować milionów.

Motyw, właśnie. Jaki ktoś miałby motyw, żeby mordować kogoś takiego jak Ernestyna?

Najbardziej z tego wszystkiego pasowała mu tajemnica, hotele to takie miejsca, gdzie tajemnice istnieją, czasami w nadmiarze.

To tu mężowie zdradzają żony z sekretarkami, a żony spotykają się z kochankami, to tu odbywają się niepewne transakcje, to tu spotkanie kogoś przez przypadek może zaowocować nożem w plecach.

Ale przecież nie tylko hotel był ważny.

Dom i rodzina też. A właśnie, siostra. Czyjaś siostra. Możliwe, że Ernestyny, bo chyba nie Zośki? A może siostra Zośki zabiła je obie?

Mąż Ernestyny mógłby ją zabić, ale raczej w domu albo na ulicy, a nie w hotelu, gdzie ktoś mógłby go zobaczyć. Zobaczyć i uznać, że to dziwne, że się tu właśnie kręci, albo choć go zapamiętać.

W miliony Wiktor nie wierzył.

W działki i domy może trochę tak, ale to znów prowadziłyby do męża albo jakiejś rodziny.

Poza tym nie był pewien, kto był ofiarą podstawową. Ona czy Zośka?

Raczej Ernestyna. Zośka mogła być ofiarą, bo coś zobaczyła, albo też po prostu drugą ofiarą. Przecież niektóre sprawy dotyczą większej liczby osób, ale wtedy sprawy rodzinne należałoby odrzucić.

\*\*\*

Przed pokojem na drugim piętrze na Wiktora czekał Winicjusz i był już nieco wkurzony, bo policjant wcale się nie spieszył.

Zanim dotarł na górę, zdążył jeszcze poprosić Justynę, żeby z nim poszła, bo miał wrażenie, że przyda mu się tam jakieś kobiece oko, a Alberty brać ze sobą nie zamierzał, choć ona sama chętnie by się z nim zabrała.

Danie takiej ilości czasu Winicjuszowi na ewentualne doprowadzenie pokoju do jakiegoś porządku, pochowanie niepewnych fantów i usunięcie ewentualnej kochanki nie było może zbyt profesjonalne, ale po pierwsze Wiktor nie dysponował nakazem, po drugie Winicjusz nie wyglądał na całkowitego idiotę, owszem, był nieco bucowaty, ale nie głupi, tak więc Wiktor przypuszczał, że już dawno ogarnął to miejsce na tyle, żeby nie musieć robić tego w ostatniej chwili, a poza tym musiał się spodziewać takiego obrotu rzeczy.

Może nie przeszukania, ale choćby próby o kontakt z osobą zamieszkałą w tym pokoju.

O ile ktoś tam mieszkał, bo w tej chwili to już Wiktor niczego nie był pewien.

– Proszę. – Winicjusz otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Pokój był zasyfiony, zagracony i śmierdziało w nim pleśnią.

Zapach pleśni, o ile był to zapach, a nie odór, uderzył Justynę, aż ją chwilowo zatkało.

Na stoliku stały talerze po różnych daniach, raczej sprzed kilku, a może i kilkunastu dni. Na wpół opróżnione butelki i kilka kieliszków. Grał włączony telewizor. Okna były zasłonięte.

– Męska jaskinia! – oświadczył Winicjusz z pewną dumą.

– Dlaczego tu jest taki syf? – zapytała Justyna, zaszokowana, bo nawet w jaskiniach czasami trzeba sprzątać.

– Bo to jest męska jaskinia – odpowiedział Winicjusz zdecydowanym głosem.

– I uważa pan, że w męskich jaskiniach się nie sprząta?

– Nie, nie uważam, ale kto miałby to zrobić? Przecież żadnej baby z hotelu tu nie wpuszczę. Zaraz by ploty rozniosła, a ja się do sprzątnięcia nie nadaję.

Ploty tak czy tak istniały, ale Wiktor z rezygnacją stwierdził, że jednak żadnej kochanki, kochanka ani współnika tutaj Winicjusz nie trzyma.

W każdym razie w tym momencie.

Taki przetrzymywany tu gość od samego zapachu by się pochorował.

Justyna weszła do łazienki, żeby sprawdzić, czy nikt się tam nie ukrywa. Smród był jeszcze większy. Winicjusz bardzo się starał, żeby wszystko zasyfować.

Nawet prysznic i kibełki były bure i brudne.

Na lustrze za to, szminką chyba, w każdym razie miała nadzieję, że szminką, napisane było coś dziwnego. Jedno słowo.

„Śmierć”.

Zawołała obu panów.

– Czy to nie jest... – miała zamiar o coś zapytać, ale Winicjusz, kiedy na to popatrzył, zbladł, a potem od niechcecia machnął ręką.

– A nie, to ja sam to napisałem. Chciałem sprawdzić, jak się pisze szminką na lustrze, żeby potem mi nikt nie wmawiał, że duch... Tylko tyle – dodał po chwili.

Jego reakcja była niespójna. Nie uwierzyli mu, bo jeżeli chciał cokolwiek sprawdzić, to nie musiał pisać takiego akurat słowa, ale udowodnić mu niczego nie mogli.

– A co pan sądzi o zabójstwie Ernestyny? – Wiktor postanowił przy okazji jakoś go przesłuchać. Może odrobinę dokładniej niż wcześniej.

– A co mam sądzić? Ktoś ją zabił, ale więcej nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– I w ogóle to pana nie nurtuje?

– A dlaczego niby miałyby mnie nurtować, jak pan mówi?

– Choćby dlatego, że to jest pański hotel! Ktoś lata z nożem po pańskim hotelu, morduje personel, a pan nic?

Wiktor usiadł z westchnieniem na łóżku.

– Ale to nie może mieć nic wspólnego z hotelem. Niech pan pomyśli! Jakim cudem? Może ktoś tu przyjechał i morduje, to bym zrozumiał, ale nie ktoś z hotelu.

– No ale dlaczego morduje personel?

– A bo to mało frustratów? Nie dostał dokładki? Zośka nie ukloniła się dostatecznie czolobitnie? Lepiej pan sprawdzi gości.

– Nie, nie za bardzo się zgadzam – mruknęła Justyna. – Kucharka została zaatakowana w dziwny sposób, wyraźnie się nie bała tej osoby, nawet nie była zaskoczona. Stała z tymi mrożonkami, ktoś ją zamordował, a ona nawet nie wpadła w panikę. To musiał być ktoś jej znany.

– Kilkoro z gości przyjechało po raz kolejny. To może ktoś z nich? Albo mąż? O, już wiem, mąż przyszedł po mrożonki, ale postanowił skorzystać z okazji i ją zadźgał.

– I zostawił mrożonki?

– Panie, a po co mu mrożonki, jak wreszcie będzie miał forsę jak lodu?

– To znaczy?

– No Ernestyna była bogata. Kradła jak opętana, nawet żarcie do domu nosiła, więc nic nie wydawała, mogła zaoszczędzić.

Ta informacja była ciekawa, ale niedokładna.

– Ale zaraz, ona była bogata czy sądzi pan, że była bogata? Bo to jednak różnica, na takich kradzieżach to majątku człowiek się nie dorobi.

– Tylko że ona robiła większe interesy. Wiem na pewno, że szantażowała Albertę. A zresztą mnie też, każdego, jak tylko się dało.

– A pana dlaczego?

– I co, powiem teraz panu i gównu się wyleje? – zdenerwował się Winicjusz.

– Mnie interesuje tylko morderstwo, reszta zupełnie mi zwisa, więc jeżeli pan nikogo nie zabił...

– Nie, jasne, że nie zabiłem, ale park mam na lewo od hotelu. – Mrugnął okiem.

– A nie na prawo? – Justyna wskazała ręką w stronę, w której znajdował się park maszyn do wynajęcia.

– No zależy jak patrzeć, ale jest lewy. No i tyle. A Ernestyna zawsze mówiła, że jak jej nie odpalę stówy czy dwóch, to pójdzie i mnie do fiskusa podpierdoli, to jej dawałem.

– To też nie kokosy. – Wiktor pokręcił głową z niechęcią.

– No ale jak tych dwóch idiotów się utopiło, to już nie było stowa czy dwie, ale na dwadzieścia tysięcy mnie skasowała i musiałem to jej odpalić, bo nawet sternik nie umiał pływać i był bez papierów. Kamizelek nie było, a turyści się nachlali i teoretycznie nie powinienem im tego wynajmować.

Wiktor rozumiał, o co mu chodziło, ale zabijać?

– A innych? Też szantażowała?

– Wiem, że tak, ale za co? Takich rzeczy się nie wie, bo jak stają się tajemnicą poliszynela, przestają być dochodowe. Ernestyna była dociekliwa i skuteczna.

Wtedy, nie wiadomo dlaczego, Justyna wyczulona na pewne zmiany atmosfery, na jakieś dziwne anomalie, a może po prostu na przeziębiony pęcherz, poszła znów do łazienki.

– O ja pierdole! – jęknęła i zrobiła to naprawdę bardzo głośno.

Wiktor wpadł tam natychmiast, jak tylko to usłyszał. Pierwsze, co zrobił, to tak jak i Justyna, zerknął na lustro, inaczej się nie dało, po prostu biło po oczach czerwienią.

Na lustrze ktoś dopisał „przemawia za mną”.

– Kto to napisał? – zawołał Wiktor. – Proszę mi powiedzieć, kto i jak to napisał! Natychmiast. Czy tu jest jakieś inne wejście?

– Nie ma, zwariował pan? Jak? Przez dach?

– To kto to napisał?

– Kiedy nie wiem – odpowiedział drżącym głosem.

– „Śmierć przemawia za mną”? Co to znaczy?

– Mnie wszystko jedno, co to znaczy, ja chcę wiedzieć, kto to napisał! – powiedział Wiktor poważnym głosem. – Winicjusz siedział tu cały czas. Czy to ty? Bo to mogłaś zrobić tylko ty...

– Nie mam przy sobie szminki, a poza tym jesteś idiotą! Coś tu się dzieje, ale to nie jest takie proste, jak by ci się wydawało.

– Czyli jednak duch? – Winicjusz zbladł jak ściana.

– No nie wiem, albo jakiś zdolny chemik, ale nie wydaje mi się. Może istnieje sposób, żeby szminka pojawiła się tak sama z siebie.

– Jeżeli to szminka.

– A co to może być?

– Krew!!! – Winicjusz wyraźnie oszalał. – Ktoś chce mnie zniszczyć! Czy może pan tych techników wezwać?!

– Nie tylko mogę, ale i muszę – westchnął Wiktor.

\*\*\*

Pojawienie się ducha narobiło sporo bałaganu. To znaczy nie do końca, bo przecież właściwie to duch grasował tu od dawna, ale panika Winicjusza doskonale pokazała wszystkim, że jest prawdziwy, a aktywność obu grup łowców duchów plus osobiste świadectwo Justyny sprawiły, że w oczu wszystkim zajaśniało szaleństwo.

– Ale jak to? Chcecie nas tu trzymać z jakimś demonami? Puśćcie nas do domu! Natychmiast, nie zostaną tu ani chwili dłużej, tu grasuje jakiś psychopatyczny duch morderca! – krzyczała Lena.

– Mamy tu siedzieć z siłami nieczystymi? Przecież one nas w nocy we śnie poduszają! – wrzeszczała Maryla.

– Na litość boską, rozumiem morderca, ale duchy?! Przecież to wbrew naturze! – jęczała Alberta.

Ludzie w duchy nie wierzą. Nigdy, bo przecież to i głupie, i dziecinne, ale jak ktoś wierzy, ktoś przy nich, to ta wiara im się udziela.

I wtedy wszyscy wpadają w panikę, niekiedy nawet moralną.

– Wypuście nas! – wrzeszczeli praktycznie wszyscy, nie robiło to jednak na Wiktorze wrażenia. Duchy duchami, ale podejrzanych musiał mieć na miejscu. I nic innego go nie obchodziło.

Kolacja zyskałaby o wiele większą aprobatę, gdyby nie panika, ale i tak zjedli z przyjemnością, choć konsumpcję przerywali atakami paniki, bo teraz dosłownie wszystko kojarzyło im się z duchami.

Nawet kiedy ktoś upuścił widelec, to jego brzęk powodował na sali wrzaskliwą panikę.

Karolina się niczym nie przejmowała. Była w swoim żywiole. Lubiła ten rodzaj zajęcia i uwielbiała gotować.

Za nic na świecie nie oddałaby pracy. Nawet w nawiedzonym hotelu.

Zresztą nie zamierzała tu mieszkać, miała zamiar przeczekać tu ledwie jedną noc z dziećmi, do przyjazdu mamusi, a potem odesłać dzieci do domu i wracać tam sumiennie co wieczór. Najchętniej kiedy dzieci będą już spały.

Posprzątała, poskładała wszystko, przygotowała to, co miało być na śniadanie, i poszła do pokoju do swoich dzieci.

I do męża.

\*\*\*

Noc była okropna. To była jedna z tych nocy, w których może nie za dużo się dzieje, ale to, co się dzieje, nabiera wymiaru katastrofy, tylko dlatego że ludzie są nastawieni na jakieś makabryczne wydarzenie.

Wiadomo, że najłatwiej przstraszyć tego, kto się spodziewa, że ktoś go przestraszy, bo nastawiony, sprężony, spodziewający się ataku, reaguje o wiele mocniej na każdy szum, stuk czy furkot. A właśnie w takim stanie byli w tym momencie wszyscy mieszkańcy i pracownicy, ci, którzy zostali na noc, ale i ci, którzy poszli do domów, żeby zażywać odpoczynku i szerzyć plotki. Plotki są cennym towarem, można za nie kupić coś, czego inaczej nie da się zdobyć, zainteresowanie znudzonego małżonka, podziw wrednej teściowej albo zachwyty dzieci. Nawet tych nastoletnich!

A duchy to taki temat, który potrafi zachwycić nawet sąsiadkę z dołu i ciecia z góry, a właściwie odwrotnie.

Wszystko wszystkim kojarzyło się z działalnością nadprzyrodzoną, gdziekolwiek się znajdowali, ale ci, którzy siedzieli w hotelu, reagowali o wiele mocniej, na dodatek Maks i reszta Duchaczy jeszcze skomplikowali sprawę, latając po piętrach i nagrywając, co się da, mierząc, sprawdzając i co chwila anonując, że coś znaleźli.

– Coś tu jest! – wykrzykiwali do kamery termowizyjnej, w której sami wyglądali jak duchowe negatywy, ale filmiki były konieczne.

Nawet jeżeli niewiele znaleźli. Choć niewiele nie znaczy wcale nic.

Coś w tym wszystkim było, jakieś powiewy, szумы, jakieś dziwne postacie snujące się po korytarzach i nie brano pod uwagę kilku weselników, którzy przyszli zmienić ubrania.

Trochę to trwało. Atmosfera gęstniała, ludzie dostawali szału. Jednego z najpaskudniejszych, szału beczynności. Na duchy nie można było nic poradzić.

Ale dopiero wtedy, kiedy już wszyscy poszli spać, stało się najgorsze.

Mówi się, że śmiech dziecka to najcudowniejsza rzecz na świecie, chyba że jest trzecia rano, a nigdzie w pobliżu nie ma dzieci.

Dla większości mieszkańców tak właśnie było, bo nikt nie wiedział, że w pokoju kucharki jest ich aż pięćcioro.

To znaczy było, bo się rozlazły.

Dzieci spały na tapczanie zastawionym krzesłami, ale jak się ma trzy lata, to wydostanie się z takiego miejsca nie stanowi problemu.

Zmęczona po przepracowanym dniu Karolina zasnęła snem kamiennym.

Alojzy zszedł z posterunku przy dzieciach i poszedł do Wiktora, żeby nadrobić straty wizerunkowe.

Teraz tym bardziej chciał dobrze rokować w pracy, żeby przypadkiem jej nie stracić.

Chichot na korytarzu. Słodki, dziecięcy, ba nawet radosny, i ciemność nocy sprawiły, że ludzie zaczęli się kulić, wręcz zakopywać we własnych łózkach.

Poza tym przewartościowało się pojęcie niebezpieczeństwa. Goście hotelowi nie zamykali tym razem drzwi na noc. Teraz bali się bardziej ducha niż mordercy, a duchy przechodzą przez ściany. Zamknięcie drzwi na duchy nie mogło pomóc, ale im samym, czyli mieszkańcom pokoju, mogło utrudnić ucieczkę.

Pierwsze z dzieci Alojzego przeszło przez korytarz i zaczęło macać ściany. Trafiło na niedomknięte drzwi. Zatrzymało się i pchnęło je, powodując jęk zawiasów. Weszło do pokoju Maryli, stanęło w drzwiach i wywołało wrzask, jakiego nikt nigdy jeszcze nie słyszał.

Maryla, usłyszawszy jęk zawiasów, otworzyła oczy. Kiedy zobaczyła ducha w wersji mini, wrzasnęła i rzuciła się do okna.

– Aaaa, aaa, aaaa! – zawiadomiła wszystkich o swoich zamiarach i wyskoczyła przez okno.

Nie wiadomo dlaczego, ale taki dziecięcy duch budzi większą grozę niż dorosły, z siekierą, nawet zakrwawiony.

Wrzask i skok były więc odruchem.

Nic na to nie mogła poradzić.

Na szczęście nie spadła na beton pod hotelem, ale na napis, złapała się litery S i wraz z nią zleciała na dach przed wejściem.

\*\*\*

– Co to za wrzaski? – zapytał Alojzy zmęczonym głosem, bo choć siedzieli w biurze na parterze, to jednak nocą pogłos niósł się po całym obiekcie. – Idź do kuchni i przynieś herbaty! – rozkazał posterunkowemu. – Może być zimna.

Posterunkowy Puchacz wszedł do kuchni. Zanim zapalił światło, usłyszał chichot małego dziecka.



Zemdlął.

Nie, nie wierzył w duchy, ale wiara i niewiara często zależą od okoliczności.

Potem zemdląca Lena, która wyszła na korytarz pierwszego piętra sprawdzić, co się dzieje, i trafiła na dwie dziewczynki stojące nieruchomo w ciemnym korytarzu.

Takie widoki mogą przerazić, nawet jak się nie ma pojęcia o Hitchcocku.

Dziewczynki miały wielkie i chyba pełne pieluchy, a mimo to wyglądały, jakby były wysłanniczkami piekieł.

Wrzask Leny wyciągnął z biura Wiktora. Razem z Alojzym i Justyną weszli na pierwsze piętro. Po chwili zostali staranowani przez Albertę, która z wrzaskiem rzuciła się ze schodów i zatrzymała dopiero na dole, na Maksie, którego przytrzasnęła swoim ciałem zdecydowanie i mocno.

– O kurwa, coś mnie zabiło – jęknął ten ostatni. – Cuchnie chlorem! I jęczy.

Coś, to konkretne coś, dodatkowo sapało i wrzeszczało.

– Pani Alberto? Co się stało? – zapytał Wiktor, zapalając światło, by ujrzeć damski taran siedzący na sprasowanym Maksie.

– Duch! Widziałam ducha! Widziaaaamm! O tam. – Wskazała na górę schodów. U szczytu stał nieduży dzieciak z palcem w buzi i dobrze zapewnioną pieluchą i to wyglądało naprawdę strasznie, bo z pieluchy po nóżkach wyciekała mu brązowa ciecz, a dzieciak nic sobie z tego nie robił. To znaczy maczał w niej palec. Tak, ten palec.

– Szanowny kolego. – Wiktor westchnął pod adresem aspiranta. – Dzieci się panu rozlały, niech pan je wyłapie, i to szybko, bo będzie jeszcze więcej ofiar.

Po chwili zaczęto zbierać zemdlonych.

Ściągnięcie Maryli z daszku było najtrudniejsze.

Była przekonana, że nie żyje.

– Ona nie skoczyła sama – oznajmiła, jakby mówiła nie o sobie albo o sobie, ale w osobie trzeciej. – To dziecko ją zabiło.

– Nic pani nie zabiło – wyjaśniła jej Justyna. – Pani żyje.

– Nie żyje. Zabiło ją, ale ona zabiła ją najbardziej. Zabiła.

– Ale kogo? Przecież pani żyje! – Justyna nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Nie chodzi o mnie, ale o Joannę.

– Kto to jest Joanna?

– Kobieta. Zabita. Tutaj – wyjęczała Maryla, a ponieważ nikt nie znał żadnej Joanny, to temat zainteresował wszystkich.

– Ktoś jeszcze został zabity? – zapytał Wiktor niepewnym głosem, bo z jednej strony jako policjant powinien wiedzieć, z drugiej, jako człowiek, miał dosyć trupów.

– Yyyy wcześniej – wydukała Maryla, roztrzęsiona duchem, upadkiem, zimnem oraz akcją ratowniczą, która trochę nią wstrząsnęła. Kobieta była poobijana i podrapana, a jej kość ogonowa nadal dawała o sobie znać.

– Przed Ernestyną?

– O tak! Tttaaakk. Przed!

– To gdzie są zwłoki?

– No przecież chyba nie na cmentarzu! – Westchnęła. – Pod Feniksem są. Na pewno! Trzeba to rozwalić!

Majączyła czy nie, to pomysł z rozwaleniem Energii Feniksa wydał się Wiktorowi znajomy.

Kiedy kobieta została wniesiona do jadalni, pod hotelem rozbrzmiały dźwięki kolędy.

I kolęda, i dźwięki były niecodzienne.

„Mizeria licha, stryjenka zdycha, pasterze!” śpiewali weselnicy, z których kilku wracało do hotelu, aby się wyspać albo dopić, bo to akurat nie było pewne.

„Chcemy być sobą, chcemy być sobą wreszcie” śpiewało dwóch innych, którzy szli za nimi.

Uciszenie ich nie miało sensu.

– Cicho! – zawołał Wiktor. – Debile, jest noc! – dodał po chwili, wywołując „cichą noc” oraz „deszcze niespokojne”.

Wszyscy po efektach specjalnych zafundowanych im przez progeniturę Alojzego zeszli się do jadalni, gdzie Alberta, nie chcąc budzić Karoliny, która była bardzo cenna dla hotelu, podała wszystkim grzańca z kartonu zagotowanego naprędce w wielkim garze i doprawionego wszystkim, co odebrano weselnikom, którzy wraz z innymi zalegli na krzesłach przy stolikach, żądając jajecznicy, bo na weselu jakoś było mało żarcia.

– Pani opowiada, pani Marylo – rozkazał Wiktor.

– Kiedy ja nic nie wiem. – Zaczęła się wycofywać, licząc, że jej wyznanie zostanie odebrane jako stres albo panika.

– Opowiadała pani o kimś zabitym.

– Z dachu ktoś zleciał, mama mi mówiła, ona tu mieszkała w latach osiemdziesiątych.

– Może nas pani z nią skontaktować? – Włączył się natychmiast siedzący w Wiktorze policjant.

– Chyba że macie...

– Nakaz? Jasne, w każdej chwili możemy mieć, a właściwie nie nakaz, tylko wezwanie na przesłuchanie, jeżeli o to chodzi – odpowiedział ostro.

– Nie nakaz, żaden nie pomoże, tablicę ouija!

– To znaczy? – zapytał Wiktor, ale cała reszta, no prawie cała, zaczęła się w tym momencie oburzać.

– O nie, nie. Nie będziemy wywoływać duchów! Mowy nie ma – jęknęła Lena, równie blada jak inni.

– Dlaczego nie? Skoro i tak już tu są? To niech powiedzą, o co chodzi, i już, wy nie macie tego czegoś? – zwróciła się Alberta do Justyny, traktując ją jako przedstawicielkę tych ludzi od duchów. Wszystkich tych ludzi bez różnicy.

– My mamy – zamiast niej odpowiedziała Oliwia. – Zawsze zabieramy, żeby jakoś filmiki zaczynać.

Wszyscy popatrzyli na dziewczynę, nie rozumiejąc. W świecie, w którym filmiki są aż takie ważne, istnieje jeszcze sporo osób, które tego nie zauważyły.

– No, jak zaczynamy kręcić, to najpierw robimy najazd na tablicę, a potem dokładamy resztę, to daje atmosferkę.

– Kurwa, zawał daje – jęknął jeden z weselników i pobiegł do łazienki na parterze, żeby zwymiotować.

Po chwili wrócił wymizerowany i blady.

– Tam, kurwa, chyba ktoś grasuje – powiedział i chwycił się stołu, żeby nie upaść, po czym złapał kubas gorącego grzańca i wypił go prawie duszkiem, od czego oczy stanęły mu w ślup.

Wiktor poszedł niechętnie do łazienki.

– Znowu pieprzone lustro. Kto to zrobił? – zapytał, nie licząc na odpowiedź.

– Ale co?

– Kto napisał na lustrze te słowa?

– Ale jakie?

– Ty chuju jebany... – westchnął weselnik.

– Zaraz, co pan, do policjanta takie słowa? – Alojzy dosłownie przyjął tę wypowiedź.

– Nie, to słowa, które zostały napisane. Nie wyobrażam sobie ducha z takim tekstem.

– Bo to ja napisałam – oświadczyła Rita, która weszła do jadalni w szlafroku i kapciach z puchatymi pomponami.

Nikt się jej nie spodziewał. Jakoś właściciele z resztą, czyli z gośćmi, się nie integrowali. Pewnie nie mieli tego w naturze, dlatego nawet teraz duchy nie zjednoczyły jednych z drugimi, a poza tym dziwnie się czuli w jej obecności, oni byli ubrani hotelowo, ona domowo.

– Ale po co?

– Bo mam dość zdrad! – wrzasnęła niezadowolonym głosem. – Nie wierzę w żadne duchy, to jest jego kochanka, on ją ukrywa, to nie żadne duchy! On chce mnie doprowadzić do szaleństwa. Dlatego to napisałam.

– Ale na lustrze?!

– Bo teraz to przynajmniej odczyta, a poza tym on może? To i mnie wolno, w końcu hotel jest mój!

– Nie jest! – Winicjusz też wszedł, ale chyba nie przyszedł z dołu, z prywatnej części hotelu.

– Gdzie byłeś, śmieciu?! – wrzasnęła Rita jak rasowa żona.

– Niech to cię nie interesuje! – odwrzasnął mąż.

Awantura rodzinna zapowiadała się na naprawdę spektakularną. Ludzie może lubią o awanturach plotkować, może nawet lubią je jakoś komentować, ale mało kto ma ochotę w nich uczestniczyć, szczególnie jeżeli są to awantury małżeńskie i każda reakcja stawia człowieka po stronie jednego z małżonków, a nikt, naprawdę nikt, w takie spory mieszać się nie chce. Dodatkowo, jeżeli jest to prywatna awantura na gruncie jednak publicznym, to tym bardziej.

Trzeba to było jakoś zastopować.

Justyna znalazła jedyny pomysł, który mógł coś dać, i jedyny, który nie wymagał użycia siły.

– Dobra, dawajcie tę tablicę! Już! Może się czegoś dowiemy.

Wobec tej nadprzyrodzonej nawet Winicjusz i Rita musieli skapitulować.

Oczywiście Justyna nie wierzyła w możliwości takiej tablicy, zazwyczaj ktoś nią manipuluje i udziela jakichś dziwnych odpowiedzi, które potem można interpretować na różne sposoby i cieszyć się z zabawy, ale prawdziwych od-

powiedzi się nie uzyskuje.

Chyba że...

Chyba że ktoś naprawdę chce coś powiedzieć, ale boi się ujawnić.

I na to właśnie liczyła.

\*\*\*

Tablica była spora, żółtawa, choć drewniana, zaokrąglona na rogach i dziwna.

Wszyscy patrzyli na nią z lękiem, a właściwie z lęklwym zaciekawieniem.

– Będą potrzebne świece – zaordynowała Oliwia.

– I zgasimy światło – oświadczyła Kaśka, jakby to nie było zrozumiałe samo przez się.

– Ej, moment, wszystko w porządku, ale kogo będziemy wzywać? Zośkę czy Ernestynę?

– Oszalałyście! – Alberta nagle wysforowała się na wróżkę pierwszej kategorii. – Nie można, nie zostały jeszcze pochowane! Jeszcze by tu zostały! Możemy wezwać tę Joannę.

– A ona została pochowana?

W tym momencie chyba wszystkim zaświeciły się oczy.

– No chyba tak – mruknęła Alberta. – Ja tam nie wiem.

– Ale skąd pani wie o Joannie?

– Przecież nie wiem, sami o tym mówiliście.

– Nie, my akurat nie wspominaliśmy o tym wcale, w każdym razie przy pani.

– No to ta baba mówiła? – Wskazała na Marylę. – Znaczący ta pani – poprawiła się.

– Tylko że ona to mówiła na dachu, a tam pani nie było.

– Oj, to pewnie mówiła gdzieś indziej.

– Dobra, dość tego, teraz, zaraz, natychmiast chcę wiedzieć, kim jest lub była Joanna – warknął Wiktor, patrząc na wszystkich, z których mógłby coś wyciągnąć.

– To jakaś tutejsza legenda – mruknął jeden z ledwo wciąż żywych weselników. – Ktoś spadł z dachu, dawno temu, może to była ta Joanna – powiedział, zadziwiając tym Wiktora, bo akurat od weselników odpowiedzi na to pytanie się nie spodziewał.

– Kto spadł z dachu?

– Jakiś kelner – wyjaśnił Alojzy – ale to są tylko plotki, ja się plotkami nie interesuję, a poza tym to było bardzo dawno temu.

– Co ma kelner do Joanny?

– Bo może to ona była kelnerką?

– A co to ma do rzeczy?

– Nic nie ma. Ktoś zapamiętał, puścił, poszło i teraz ludzie opowiadają sobie to jak bajkę.

– Czyli co opowiadają? Dokładnie. Proszę mi powiedzieć.

– Na weselu, wiesz – mruknął weselnik do Wiktora, którego weselną przynależność pamiętał – goście opowiadali, że jakaś afera tu była, ktoś zabił, nie wiem, jedni, że kelnera, drudzy, że dziewczuchę i coś tam z dzieckiem było. Urodziła. Oddała? Zniosła komuś? Ktoś się wkurzył? To były czasy hotelu robotniczego. To, co się wtedy działo, to było ostre szaleństwo, ochłaje tu były, że ho, ho.

– No były. Jasne, że były – jęknęła Maryla. – Mama mi opowiadała...

– A właśnie, mama. Może wezwiemy ducha pani mamusi – zaproponowała Oliwia.

Maryla chyba się zawahała, ale wiedziała, że odmówić nie może. W końcu sama to w pewnym sensie zaproponowała.

Pogaszono światła, blask świec migotliwie oświetlał tablicę i przybliżone ku niej twarze. Ludzie zaczęli się zastanawiać, do czego dojdzie i jak to się wszystko skończy.

– Ale wy wiecie, że spirytyzm jest zakazany i jest grzechem? – zapytała na wszelki wypadek Alberta.

– To nie jest spirytyzm, to nowoczesna metoda śledcza.

– A jeżeli taki duch się znarowi, wścieknie, oszaleje i... no wiecie.

Wszyscy nagle zaczęli się zastanawiać, co taki duch mógłby zrobić.

Nagle podmuch wiatru, zupełnie niespodziewanego w pomieszczeniu, zdmuchnął wszystkie świece.

Wrzask, jaki się rozległ, i pisk oraz przewracanie krzesel dodały atmosferze grozy.

To wręcz zabawne, jak groza bawi, kiedy jej nie ma, kiedy na przykład oglądamy ją w telewizji, a jak potrafi przerazić, kiedy zaistnieje choć minimalna szansa, że się objawi.

Wszyscy zerwali się na równe nogi, gotowi do ucieczki, z nerwami w strzępach, z bledością i palpitacjami serca, gotowi mdleć już tylko nawet na wspomnienie ducha, a przecież duchy są Bogu ducha winne.

Nie są jadowite, nie gryzą, nie duszą, nie mają dostępu do broni palnej ani żadnej innej, a wszyscy się ich boją, a właściwie nie ich jako bytów, ale samego ich istnienia, bo to świadczy albo o tym, że mamy kłopoty ze zdrowiem psychicznym, albo że zaświaty istnieją, a więc być może jednak będziemy musieli zapłacić za pewne, wydawałoby się zapomniane, sprawy.

Stół został przewrócony, gdy ludzie spanikowali tak strasznie, że roztłukli nawet spirytystyczną pomoc naukową, bo jakaś dziwna postać w szacie, może nie białej, ale białoburej, przebiegła przez jadalnię, wyjąc.

Zapachniało pleśnią.

Wybiegając z jadalni, zjawa zahaczyła swoją szatą o choinkę, po czym uciekła. Nago, a rozchwiana choinka padła.

Z tego można by wywnioskować, że bura szata była zwyczajnie fizyczna, a nie mistyczna, i zwała choinkę, więksość jednak uważała, że szata była duchowa, a choinka po prostu zemdlą.

Ozdoby rozprysły się plastikową kaskadą po podłodze, nie tłukąc się, ale powodując potłuczenia – u tych, którzy na nie nastąpili.

– Jest, mamy ją! – wrzasnął Maks, wybiegając z biura, gdzie monitorował wszystkie możliwe parametry związane z nadprzyrodzonością.

– Nie była wasza? – zdziwiła się Justyna, znając możliwości i pomysły Maksa.

– Nie, nasz to ten, co tam siedzi. – Wskazał ręką w kąt. – Nie mogłem go wyłączyć. Coś się spaskudziło i wciąż tam majaczy.

Justyna zerknęła tam, gdzie wskazał. Rzeczywiście blada postać długowłosego Indianina w pióropuszu siedziała na krześle oparta o ścianę i paliła papierosa. Wypełniała ją nieco bardziej fizyczna osoba jednego z weselników.

– Nie, no kurwa – jęknęła siedząca postać. – Znów mi zgas!

Justyna dałaby sobie głowę uciąć, że generowane przez maszynę do zjaw obrazki nie powinny mówić.

Indianin wstał. Trochę jakby, bo teraz pióropusz miał na brzuchu, a twarz mniej więcej w tym miejscu, w którym powinien mieć przyrodzenie.

– Aaaaaa! – wrzasnęła Lena i rąbnęła ducha laską. Nie klasycznie przez łeb, dźgnęła go w to, co było dolną twarzą.

Pisnął, zwinął się. Puścił papierosa, którego właśnie podpalał żarówką zapalniczką.

– Aua – jęknął i stanął w płomieniach. To znaczy jego włosy stanęły w płomieniach, bo on zwinął się i padł, zapaliła mu się pożyczka. Nie miał dużo włosów, ale paliły się pięknie, choć zaledwie chwilowym płomieniem.

Alojzy potraktował go kubkiem gorącego grzańca.

Nie mogąc się zdecydować, jak go gasić, chlusnął mu grzańcem w górną twarz.

Dziwna postać, tym razem w krwistej szacie, znów przebiegła przez jadalnię, wyjąc.

– Babciu! Co ty wyprawiasz?! – zawołała Rita. Pobieгла za kobietą, ale po chwili wróciła, dość zaniepokojona. Ręce miała przyciśnięte do ust i tym sposobem usiłowała powstrzymać odruch wymiotny.

– No i? – zapytał Wiktor.

– To nie babcia – wybełkotała Rita i zaczęła mocno oddychać, żeby się poczuć lepiej.

– A kto?

– A skąd mogę wiedzieć? Coś gadała, ale nie mam pojęcia, kto to był. Przez ten jej wrzask nie mogłam zrozumieć, co mówi. Cuchnęła tak paskudnie, że aż mnie zemdlilo.

\*\*\*

Dzieciaki znów się rozlazły. Tym razem pilnowali je na zmianę i dokooptowali dziewczyny z Duchaczy, które miały tylko sprawdzać, czy nie robią sobie krzywdy, a do zmiany pieluch wołać matkę.

Aż dziw, jak takie duże, choć jeszcze małe dzieci potrafią się ukryć.

Wyciągano je z różnych dziur, szaf, schowków, aż Alojzy dostawał oczopląsu, bo wystarczyło, że odwrócił oczy, a któregoś z dzieciaków brakowało.

Jeden z chłopców znalazł nawet dziurę w podłodze pod płytkami PCV (znalazł czy zrobił, oto jest pytanie), na które ktoś położył panele, i fakt, dzieciak najpierw te panele musiał zdjąć, ale chłopak w wieku trzech lat potrafi ta-

kie rzeczy, o jakich się nie śniło filozofom (choć możliwość przelknięcia kożucha z mleka nie wchodzi w rachubę), nie mówiąc o tym, jak trudno było wleźć pod szafę.

Potem się wszyscy dziwili, jakim cudem jest cały w pajęczynach. I dlaczego ma buciki pełne kamyków. I dlaczego te buciki tak hołubi i nosi wszędzie ze sobą zawieszzone na ramieniu, ale dzieci to dzieci, widocznie tak chciał, po co było to psuć?

\*\*\*

Technicy przyjechali, wyśmiali ich i wyjechali wściekli, że muszą się zajmować pierdołami.

– Lubrykant, żel intymny, wazelina, szminka w sztyfcie i szminka w płynie – wyjaśnili wszystkie wskazane im napisy na lustrach oraz dwa dodatkowe lustra, pomazane, ale też wymazane płynem do płukania ust.

\*\*\*

Robert z samego rana pojechał do kumpla swojego kumpla pracującego w tutejszej (mniej więcej tutejszej) policji, żeby się dowiedzieć czegoś na temat historii obiektu, jak to się ładnie nazywało, ale w sumie najbardziej zależało mu na plotkach, bo obrobione w umiejętny sposób mogły dać im całkiem dużo, im jako poszukiwaczom duchów i im jako poszukiwaczom mordercy.

Tutejszość tego posterunku nie była bliska fizycznie, ale jakoś tak było, że coś tam podlegało czemuś tam i w ten sposób kolega miał dostęp do wszystkiego, do czego chciał ten dostęp mieć, zresztą to nie były sprawy tajne, a poza tym on był nawet bardziej tutejszy jako człowiek niż jako policjant, bo się rodził w Borkach Pokutnych, i to dosłownie, bo choć izby porodowej tutaj nigdy nie było, jego matka urodziła go w domu, przy pomocy swojej matki akuszerki.

A akuszerki mają sporą wiedzę o społeczeństwie.

I o porodach oczywiście też.

\*\*\*

– Dopóki coś się nie wyjaśni, nikt nie wyjeżdża. Zostajecie tu tak długo, jak będzie to konieczne – oświadczył Wiktor.

– A ja mogę do rodziny? – Lena podniosła rękę, jakby była w klasie i w ten sposób chciała się zgłosić do odpowiedzi.

– Jasne, ale nocuje pani tutaj.

– Oczywiście, że tak. U niej nie dałabym rady, już to mówiłam, dlatego właśnie tak to zorganizowałam, zresztą zawsze tak robię.

– Ale bardzo proszę, niech pani tu nie zaprasza rodziny, bo jest tu trochę niebezpiecznie, wołałbym nie martwić się o dodatkowe osoby.

– Pewnie, nawet gdybym zapraszała, też by nie przyszła. Moja rodzina jest mało mobilna. Nie lubią się gościć, ale poza tym to wszystko tak samo?

– Tak. Najbardziej chodzi mi o to, żebyście nie rozjechali się do domów, reszta pozostaje bez zmian, możecie robić, co chcecie.

– Mordować też? – Zaszuszone staruszka swoim skrzekliwym głosem dodała swoje trzy grosze. Wyraźnie ją to bawiło.

– Niech się pani nawet nie waży tak mówić – warknął Wiktor, zauważając, że babcia Rity jest w bardzo dobrym nastroju, gotowa do śniadania.

Karolina też była gotowa. Wstawanie o piątej rano nie było dla niej żadnym problemem.

Najpierw zrobiła „kacówkę”, czyli pożywną zupę dla weselników, której przepis miała od swojej matki, a ta znęcała się nią nad swoim mężem. Był to rosół zalany kwasem z ogórków, barszczem czerwonym i sokiem z kiszzonej kapusty, zabielały śmietaną, trochę dla niepoznaki.

Rzygało się po tym naprawdę dobrze.

Dla wszystkich innych przygotowała mniej więcej co się dało. Taki szwedzki stół z parówkami, jajkami na miękko, śledziami i stertą wędliny, oraz coś, co uwielbiał jej ojciec, też na kacu, bo rzadko na nim nie był, a więc salceson pokrojony w plastry, a potem usmażony na maśle z piekielnie ostrą papryką i sokiem z cytryny. Po tym też niektórzy rzygali, ale raczej z powodu tego, że wyglądało niewyjąciowo, a może właściwie trochę tak wyjąciowo, jakby z kogoś wyszło już niejedną raz.

Karolina wiedziała, że jeżeli będzie oszczędna, dłużej tu zagrzeje miejsce, nie była kucharką z *haute cuisine*, nie bardzo nawet wiedziała co to takiego, ale żabie udka z kurczaka i kraba z mortadeli potrafiła zrobić wręcz koncertowo.

I mimo braku specjalnej wykwińtości gotowała potrawy bardzo smaczne. Nie było to dobre dla hotelu jako takiego, ale dla tego jednego, konkretnego hotelu było idealne.

Tu ludzie nie robili zdjęć potrawom, oni je po prostu jedli, nie szukali szalonych składników, nie podniecali się nazwami, a dania opisane jako „piwna pianka o posmaku orzechowym na orkiszowym łożu ze smażonym żółtkiem i pulardą *sous vide*” omijali z daleka, bojąc się, że im zaszkodzi, a z francuskiej potrawy vichyssoise rezygnowali, bojąc się, że ktoś każe im jeść krem do twarzy.

Wiktor zebrał w biurze swoich podwładnych i Justynę.

W oczekiwaniu na powrót Roberta chciał wszystko sobie poukładać.

– Czyli Ernestynę mógł zabić Winicjusz?

– Moim zdaniem to nie on, nie robiłby tego u siebie w hotelu. Raczej ta Maryla. Ona tam była za każdym razem pierwsza, jak pokazał się napis, jak wpadła w mrożonki przypadkiem (Ernestyna już tam musiała być) i w końcu jak usiadła na mrożonkach celowo.

Tego jakoś nie brali pod uwagę, ale Maryla mogła być podejrzana.

– Poza tym od matki wiedziała o jakichś tutejszych sprawach, no ale to trochę przegięcie.

– Wiecie, a może to jednak naprawdę jest związane z tymi zapchanymi kiblami? – zapytał Alojzy, nie wiadomo dlaczego. Mamusia z samego rana zabrała dzieciaki i Alojzy był szczęśliwy jak dziecko.

– Niemożliwe. Jakim cudem, to było kilka miesięcy temu. No i kible nie zabijają.

– Mogą – oświadczył posterunkowy Puchacz.

– Ale nie nożem!

– No dobra, ale to głupie, kto jeszcze? Kaśka i Oliwia. Bo były tutaj w czasie afery kiblowej i Lena, bo też wtedy była, choć i Maryla też.

– No i Maks – dodała Justyna – oraz Łukasz.

– Naprawdę nie wiem dlaczego, ale cały czas mam wrażenie, że to jest sprawa którejś z kobiet – westchnął Wiktor.

– To logiczne! To z powodu mrożonek – oświadczył Alojzy. – Mężczyźni się mrożonkami nie zajmują.

– Ani kiblami! – dodał Puchacz, chcąc się przypodobać szefowi.

– Mówisz tak, jakby na świecie istnieli tylko żeńscy hydraulicy! – wypunktował go Wiktor. – Dobrze, to zobaczymy: z mężczyzn Winicjusz, cieć, Łukasz i Maks. Nie, to nic nie da, jeżeli nie znajdziemy motywu, nie ma szans. W tej chwili motyw ma tylko Winicjusz, bo go szantażowała, reszta może mieć, ale to nic pewnego, co do sposobności to właściwie każdy mógł, ale najbardziej Alberta, bo była wtedy w kuchni, przy zabójstwie Zośki. Co do tamtej, to nie wiemy, kiedy została zabita. Może zaraz po tym jak wydała wigilię, więc odpada i Maks, i Łukasz, nie mówiąc o Kaśce i Oliwii. A bierzemy ich pod uwagę tylko ze względu na to, że byli tu w czasie katastrofy kiblowej, co przecież może nie mieć najmniejszego znaczenia.

– Ale mogła zostać zabita dopiero następnego dnia, kiedy już tu byliśmy – stwierdziła Justyna, zresztą rozsądnie. To by ich nie wykluczało, ale co robiła w tym czasie? Nikt jej nie widział, a do domu też nie dotarła.

– Lena i Maryla?

– Obie były w czasie tego kiblowego armagedonu tutaj, obie były tu w czasie wigilii i jeszcze przed nią. Obie mogły, ale nie wiadomo, czy miały motyw i czy dałyby radę fizycznie to zrobić, choć ta Maryla mi się tu jakoś coraz bardziej wyłania.

– Alberta?

– Tak, ona pasuje najbardziej, ale nie mamy motywu, poza tym po co zabijałaby w swoim miejscu pracy? To jednak kieruje na nią podejrzenie, mogła to zrobić gdzieś indziej. Miała taką możliwość.

– Dobra, jest dzień po świętach, są sklepy otwarte, może popytajcie ludzi – tu Wiktor zwrócił się do Alojzego i Marcina Puchacza – czy jej nie widzieli w Wigilię. Wy możecie to zrobić, choć nie bardzo liczę na rezultaty. Reszta, czyli Justyna i ja, rozejrzemy się w samym hotelu.

Rozglądanie się polegało na pytaniu wszystkich o wszystko. I choć hotel to środowisko specyficzne, to jednak nagle okazało się, że większość ludzi w ogóle nie widziała kucharki, to znaczy nie zwracała na nią uwagi, a nawet gdyby zwracała, to miała marne szanse ją zauważyć. Ona właściwie siedziała tylko w kuchni i nie wychodziła na salę, więc poza obsługą nikt jej nie musiał wcale widzieć. Dodatkowo wszyscy na wigilię pojechali do rodzin, weselnicy spędzili ten czas w swoim gronie gdzieś w miasteczku, a tylko Zośka była pewna, że nigdzie Ernestyny nie było, ale

Zośka nie żyła, więc w tej chwili jej zeznania nie mogły zostać potwierdzone ani brane pod uwagę. Ona musiała coś wiedzieć, więc mogła nie mówić prawdy.

– A jeżeli to Zośka zabiła Ernestynę?

– To kto zabił w takim razie Zośkę?

– Alberta? No albo ta babska mafia – wyjaśnił Alojzy.

– Mamy tu jakąś mafię?

– No ta trójca, żona, matka i babka, wszystkie trzy mogły się zacząć na Ernestynę i ją zabić, żeby wszystko zwalić na Winicjusza i przejąć hotel.

– Naciągane...

– Nawet bardzo naciągane – przytaknęła Justyna. – Czyli po prostu nie wiemy nic. No i te duchy.

– Kurczę, Justyna, nie wi... – chciał powiedzieć, że nie wierzy chyba, ale się powstrzymał, przypomniawszy sobie, czym dziewczyna się zajmuje. – Nie wiążesz chyba tych duchów z morderstwami?

– Podobno mówi się, że w sprawach o morderstwo nie ma przypadków! – odgryzła się, doskonale wiedząc, co chciał powiedzieć.

– Tylko w serialach kryminalnych, w prawdziwym życiu przypadek to potężna siła, z którą trzeba się liczyć. Rozumiem, że oglądasz CSI i takie inne dokumenty o zbrodniach, gdzie policjanci pod krawatem i w kamizelkach kuloodpornych, obwieszeni odznakami i kajdankami wpadają na miejsce zbrodni i w dziesięć minut na podstawie DNA ofiary dowiadują się, że miała sześcioro dzieci i nosiła japonki?

– O właśnie, szefie – Alojzy przerwał tę przekomarzanekę – ja po drodze, jak będę szedł na ten sklepowy rekonesans, wpadnę do domu zobaczyć, jak mamusia sobie radzi z dziećkami.

– Jasne, wpadaj – zgodził się Wiktor. – Jak wiem, masz w tym spore doświadczenie – dodał złośliwie, choć po cichu.

Justyna seriale oczywiście oglądała, w przypadki jednak wierzyła, mimo to duchy nie dawały jej spokoju.

– Powiedz, po co one tu są? – zapytała Wiktora.

– Kto? Dzieci Alojzego? – Wiktor chyba nie zrozumiał.

– Nie, duchy. Przecież nie pojawiły się znikąd bez powodu i tak, wiem, czy się w nie wierzy czy nie, one są. Jeżeli są prawdziwe, coś musiało je tu przyciągnąć, jeżeli natomiast nie są?

– To ktoś to robi specjalnie.

– A więc po coś. Z jakiegoś powodu. Tak więc niezależnie od tego, czy są prawdziwe czy nie, dobrze byłoby wiedzieć, z czym się wiąże ich obecność.

– Słuchaj, ty możesz mieć rację. Tylko co to zmienia?

– Zamieszanie? Awantury? Wrzaski? Odwrócenie uwagi od czegoś istotnego? Pamiętaj, że to się zaczęło zaraz po aferze kiblowej, ale wybuchło dopiero teraz. Inaczej nas by tu w ogóle nie było.

– A wasza obecność jest tu potrzebna? Komuś?

– Winicjusz, z tego co słyszałam, chciał na tych duchach zarobić. Wiesz, nawiedzony hotel i tak dalej, ale czy on by sam to robił? No w sumie mógł, te napisy to żadna magia. Mogło być napisane jakimś tłuszczem i wylaziło, kiedy łazienka zaparowała, a przy tutejszym sprzętaniu to takie napisy mogły istnieć miesiącami, a te czerwone to była szminka?

– Szminka, jedna zwykła, druga w pędzelku. Te już nie mogły zostać zrobione wcześniej.

– A wtedy, jak siedzieliśmy, to może ktoś wchodził?

– Nie, nikt, chyba że...

– Może jakaś pokojówka?

– Nie, no każdy by zauważył.

– Pokojówek się nie zauważa. Każdy wie, że istnieją, ale są praktycznie niewidzialne. Wiemy, że nikt z nas wtedy do łazienki nie wszedł, ale ktoś z zewnątrz? Wszedł, wyszedł?

Wiktor zadzwonił do Alberty i dowiedział się, że owszem, pod jej okiem jako pokojowej pracują trzy dziewczyny, pokojówki takie od ścielenia łóżek, zmiany ręczników i mycia kibelków.

\*\*\*

Alojzy poszedł ze swoim podwładnym pod sklep, gdzie spotkał tylko kilku meneli, którzy chcieli się podleczyć po świątecznych przejściach, i kilka kobiet, które liczyły, że dostaną jakieś pieczywo.

I jedni, i drugie stali i czekali. Menele na to, że wino zacznie wreszcie działać, choć zimno, kobiety, że coś przywiozła z piekarni, bo podobno jadą.

– Ernestyna? W Wigilię? Ona zawsze w Wigilię do kościoła chodzi. Może tam poszła.

– Ale jak zawsze? To nie spędza Wigilii z mężem?

– Spędza, to znaczy spędzała, bo mówili, że nie żyje, ale w Wigilię to ona zawsze najpierw do kościoła szła, w lepszym roku to na krótko, w gorszym na dłużej.

– Jak to? – Marcin Puchacz nie był w stanie tego sobie ułożyć, bo on też do kościoła chodził, ale nie wiązał tego z takimi sprawami jak lepszy lub gorszy rok.

– No chyba chodziła do spowiedzi – powiedziała jedna z kobiet.

– A ty głupia jesteś – odpowiedziała jej druga. – Jak do spowiedzi? Ona nie chodziła do kościoła, ale za kościół. To znaczy w niedzielę do kościoła chodziła, ale jak miała jakieś kłopoty, to chodziła za kościół.

– Dlaczego?

– Zwyczajnie, w kościele zioła nie sprzedają – zauważył z rechem jeden z meneli.

– Ale zioła zioła czy bardziej zioła w sensie pietruszki, oregano czy jakiej innej kolendry? – niepewnym głosem zapytał Puchacz, bo jego antyfeministyczne podejście nie pozwalało mu na łączenie kobiety, tym bardziej kucharki, z czymś innym niż zwykła zielenina.

– O ja pierdołę! – jęknął menel, zdając sobie sprawę, że powiedział za dużo – przecież, że cholendra i pietruszka i te inne gówna, co pan władza, marychy nie sprzedają u nas wcale a wcale! Nie za kościołem. Nigdy, co pan!

To sprawiło, że obaj policjanci jednak postanowili iść za kościół.

Już mieli odchodzić, kiedy jedna z chlebowych kolejkowiczek ich zatrzymała.

– Ernestyna lubiła sobie coś zapodać.

– To znaczy?

– Coś mocniejszego tak bardziej dla spokojności sumienia chyba. No, a od czasu tych duchów, to świra dostała takiego, że szkoda gadać. Do księdza latała co drugi dzień.

– A nie wie pani...

– Oj wiem, przecież, że wiem, Ernestyna to się za młodu musiała puszczać, a potem jak te kurwy tam przyjechały, to coś się porobiło, duch kurewstwa jej się objawił i się przestraszyła.

– A tam się kurwiła, ty to głupia jesteś, od kurwienia się jeszcze nikt z głodu nie umarł, to było co inne! Ona tam dzieciaka zabiła swojego. Znacząca udusiła i jak w takiej książce do kibelka i się zapchało, i wtedy tam mieli taki ten i duch tego dzieciaka...

– A on był jej?

– Duch?

– Nie, dzieciak.

– A czyj miał być? Jej był.

– A gdzie tam jej?! Nie jej, tylko takiej jednej z rybiarni, wzięła dzieciaka i zakopała pod tą rzeźbą.

– Jak dała radę?

– Bo tam, rzeźby nie było wtedy jeszcze.

– Głupoty, baby, gadacie. Jej się duch męża ukazał.

– Toż jej mąż żyje. To jak miał się ukazać?

– Bo tam jak się kible zapchały, to hydrauliki mówiły, że gdzieś po drodze w rurze pakunek znalazły.

– Po drodze?

– No w rurze, gdzieś w tej ich kanalizacji, między kibelkami a kuchnią. I ten pakunek zapchał im całą instalację.

– I co to było? – zaciekawił się Alojzy. – Wiadomo?

– Ano trochę tak, a trochę nie. Zasyfione było, ale przeczytali, żeby coś w kociołku zakopać. Kwiaty dać, bo są bezcenne, ale to było tylko takie trochę, bo rozpadło się prawie.

– Pewnie długo tam nie leżało. – Marcin pomyślał, że rury nie mogą być w za bardzo dobrym stanie, skoro kawałek papieru tak to zapchał, o ile to znów nie była plotka.

– Nie, papier był w folii i w skórzanym woreczku. I ten woreczek to zapchał. Wiem, bo mój chłop tam pracował – stwierdziła jedna z kobiet.

– To wcale nie to. Chodzi o to, jak spadł facet z dachu i się zabił, a potem gadali, że to było zabójstwo polityczne, a w papierze to o ulotki chodziło, a nie kwiatki.



– U nas? – Facet rozejrzał się niepewnie dookoła. Tu naprawdę nie było klimatu do zabójstw politycznych, ani kiedyś, ani teraz.

– A u nas, u nas, no bo potem się okazało, że on był babą – wyjaśnił pierwszy z nieco już lepiej czujących się me-neli.

– Znaczący ten, no...

– Cicho, nie wolno mówić, bo zaraz się policja czepi, no właśnie, to był facet, przerobił się na babę i urodził dziecko, i Ernestyna to dziecko zjadła.

– Boże kochany, chodźmy stąd – jęknął Puchacz. – Przecież to aż niedobrze się robi! Jak mogła zjeść dziecko?

– Ona? Przecież on była koszmarna!

– No dobra, zjadła to dziecko i teraz...

– Nie zjadła, ona kogoś zabiła!

– No jakby to dziecko zjadła, to też nie zostałyby żywe.

– Nie, nie, coś się stało ostatnio, bo często latała za kościół, a nie tamto. Tamto to było kupę lat temu. Mówili, że coś było nie tak z tamtym spadkiem.

– To był jeszcze jakiś spadek?

– No był, z dachu! Afera jak się patrzy, ale wtedy to Internetu nie było, a gazety niewiele pisały, zresztą co miały pisać, jak to było niewygodne. Bo ona wzięła dziecko i zrzuciła z tego dachu, i ono się roztrzaskało. Normalnie, mówię panu na kawalki, a krwi było tyle, że aż po ulicach płynęła – jedna z kobiet była wyraźnie zafascynowana – a dziecko takie malutkie, ledwo żywe.

– Ledwo żywe? To przeżyło tę masakrę?

– Nie, a co pan, roztrzaskane by nie przeżyło, ledwie żywe, bo się dopiero urodziło.

\*\*\*

Wiktor i Justyna zastanawiali się nad możliwościami, jakie mogły dać komuś duchy. To znaczy ich domniemana, ale zdecydowanie widzialna obecność.

– One przecież nie istnieją – mruknął Wiktor – a jednak są, i to są po coś.

– Tak, duchy to tylko gra, taka zabawa, takie coś, co powoduje coś innego. To nie może być bezsensowne, tego nawet dzieciaki by nie wymyśliły bez celu, zauważ, że straszy się tylko tych, którzy się boją.

I to oczywiście była prawda. Nie ma sensu straszyć kogoś, kto nie reaguje. To nie jest zabawne, choć tu może wcale nie chodziło o zabawę.

– Sądzisz, że to jest straszenie? Że chodzi o to, żeby wywołać strachem jakąś reakcję, panikę, jakieś nieobliczane zachowanie? Jakąś reakcję, która komuś by coś dała? O to chodzi? Na przykład straszy się mordercę, że ktoś odkopał ciało, on jedzie sprawdzić i wtedy się go łapie?

– Albo odwrotnie.

– Nie rozumiem.

– Duchy są nie po to, żeby wywołać reakcję, ale żeby coś usprawiedliwić.

– Czyli?

– Nie wiem, na przykład wezwanie was?

– A co wezwanie nas miałyby z tym wspólnego? I co miałyby usprawiedliwić?

– Większy tłok? Więcej osób podejrzanych? Jak inaczej zapełnić hotel obcymi ludźmi?

– Jak obcy ludzie zapewniliby anonimowość obsłudze?

– Może wcale nie chodzi o obsługę?

– To jak ktoś z gości zmusiłby Winicjusza do wezwania nas?

– No tak... Ale taka demoniczna czasoprzestrzeń mogła to spowodować. I do tego święta. To mogło zadziałać. A może ten ktoś go dobrze znał? Wiedział, jak Winicjusz zareaguje?

– Czyli znajdziemy ducha, a znajdziemy mordercę?

Taki pomysł był trochę „od capy”, bo te dwie sprawy, czyli duch i morderstwa, mogły w ogóle się nie łączyć, ale Wiktor się uparł, że jakoś muszą.

\*\*\*

Alojzy miał już dosyć. Nic z tego nie zrozumiał, ale postanowił iść za kościół, na szczęście powiadomił o tym Wiktor.

– Niech pan tam nie idzie. Panu nic nie powiedzą. Ja pójdę – oświadczył Wiktor, co bardzo ucieszyło Alojzego. – Miał pan wpaść do domu, to niech pan idzie i za godzinę spotkamy się w hotelu, bo będę miał chyba więcej wieści – dodał, wiedząc, że Robert wraca z rekonesansu.

Było to rozwiązanie sensowne, bo Alojzego jako tutejszego policjanta wszyscy znali i od zlej, i od dobrej strony, zresztą czy to ważne? Znali go, a rozmowa z policjantem na temat sprzedawanych przez siebie środków psychoaktywnych po prostu nie mogła się udać. Mogła nie przynieść oczekiwanych rezultatów, ale te zupełnie nieoczekiwane, w postaci kłopotów. W końcu nielegalna sprzedaż nielegalnych środków mogła policję za bardzo zainteresować.

\*\*\*

Alojzy wraz z nieodłącznym w tym momencie podwładnym poszedł do domu.

Na chwilę. Wszedł na chwilę, na szczęście sam.

Po chwili wybiegł z szaleństwem w oczach.

– Co się stało? – zapytał posterunkowy Puchacz, który nie zdążył jeszcze wejść.

– Nie wiem, chyba muszę wezwać policję – jęknął Alojzy.

– My jesteśmy policją.

Weszli tym razem obaj.

Matka Alojzego leżała na podłodze związana, dzieci spały wszędzie, jedno na kanapie, drugie za kanapą, trzecie i czwarte pod choinką, a piąte na drzwiczkach od piekarnika.

Wszędzie wały się talerze, szklanki, pieluchy, te zasrane też, ściany były wymazane do wysokości metra wszystkim, co się dało, i nie pachniało to najlepiej.

– Mamusiu! Mamusiu! Co się stało? – jęknął Alojzy, podnosząc i rozwiązując matkę. Jej więzy było pieluszkowo-śpioszkowe.

– Ciii, syneczku, patrz, jak ładnie śpią – powiedziała z przerażonym zachwytem.

– Ale kto wam to zrobił?

– Przecież mówię, że grzecznie śpią, nie waż się podnosić głosu, bo jak obudzisz te potwory, to rzucę się z okna. Ja tego dłużej nie wytrzymam! Oszaleję, przecież to są mali przestępcy!

– Ale przecież mówiłaś...

\*\*\*

Robert przywiózł wieści zbliżone do tych, które Wiktorowi przekazał Alojzy, kiedy już wrócił, bo trudno mu było wyjść z domu. Jego matka nie chciała go wypuścić, rzuciła się w przedpokoju na podłogę, krzyczała i łapała go za nogawki od spodni, żeby tylko został z nią i z dziećmi.

Robert miał wieści podobne, choć nieco mniej chaotyczne.

– Był wypadek, ktoś spadł z dachu, akta zalało. To było w dziewięćdziesiątym, kiedy jeszcze hotel się z robotniczego nie przekształcił. I rzeczywiście coś ktoś mówił, że to był kelner, ale kolega twierdzi, że nie, jest też pewien, że chodziło o jakieś dziecko.

– Samobójstwo?

– Ale jak dziecko? – wtrąciła Justyna, bo ostatnio się jakoś sporo o takich sprawach czytało.

– Otóż nie samobójstwo. Mówiono o zabójstwie, ale nikt nic nie widział. Był podobno jakiś świadek, ale uciekł.

– Ale co z tym dzieckiem?

– Chodziło o to, że urodziło się jakieś dziecko, a facet z rozpachy skoczył z dachu albo został zepchnięty. Ono zostało oddane chyba, nie wiem, do rodziny? Bo to jakaś prostytutka była?

– A, to teraz rozumiem, dlatego gadali, że Ernestyna zjadła dziecko.

– Ja za to nie rozumiem, jakim cudem ktokolwiek może to zrozumieć? – Wiktor nie widział związku z porodem, zabójstwem i zjadaniem dzieci, ale Alojzy jak najbardziej.

– To tak działa, ludzie makabrują wszystko, a co jest bardziej makabrycznego niż jedzenie dzieci? Potrzebna im była makabra, to sobie jej dołożyli.

Wszyscy w pewnym sensie doszli do wniosku, że nic się nie klei.

– Ktoś rodzi dziecko, może sama Ernestyna? Facet się dowiaduje i skacze z dachu? Durne, ni przypiął, ni przyłatał, nie dość, że drugie piętro to nie wieżowiec, to po cholerę miałyby skakać z powodu dziecka?

– Kochał babę, a ona mu się puściła?

– I z tego powodu się zabił?

– Nie, ktoś go zabił z tego powodu.

– Też bez sensu. No wtedy bardziej ją by trzeba zabić niż jego, nie? – mruknął Robert.

– I pewnie stąd to zamieszanie, że jedni mówią, że chłop, inni, że baba.

– I był jakiś świadek. Ale co ma z tym wspólnego Ernestyna? To ona to dziecko urodziła?

– Nie, gorzej, w resztkach akt widać, że była podejrzana, ale nic jej nie udowodniono. Tyle że gdyby to ona zabiła, to ojcem dziecka mógł być jej mąż Waldemar. Wtedy byłoby z sensem.

– Raczej bez sensu. Przecież go nie zabiła. To prędzej ona urodziła, a mąż zabił fatyganta.

– Tak bardzo się kochali?

– A gdzież tam, nie, ale własność małżeńska to własność! Takich rzeczy się pilnuje.

Przed hotelem przejechał samochód z wielką reklamą na dachu, z głośników leciała kolęda.

Na plakacie widać było napis.

„Do shopu hej pasterze”

– Dlaczego do shopu? Nie powinno być do szopy? – zapytał Robert.

– Powinno, ale to nasz miejscowy sex shop – wyjaśnił Puchacz – i ma właściciela idiotę, który nie umie uszanować tradycji, a ja nic nie mogę.

– Ja też – skwapliwie potwierdził Alojzy – ale baby chcą go podpalić – dodał z zadowoleniem.

W tym momencie do jadalni zajrzała Karolina, cała rozpalona od pracy i oparów fasolki po bretońsku z kapustą kiszoną, bo wigilijnej jej zostało.

– No i jak Lojzicku? – zapytała Alojzego przymilnie. – Jak dzieci? Jak mamusia? – To ostatnie wymówiła z lekkim wzdrygnięciem.

– Cudownie kochanie, cudownie – odparł jej mąż, bo inaczej nie mógł, powiedzieć, co się tam działo, to po pierwsze podważyć autorytet instancji wyższej, a autorytet mamusi był nawet wyżej od komendanta powiatowego policji, po drugie Karolina by go tam wysłała. Tam. W to piekło, żeby mamusi pomagał. Mowy nie ma.

Widząc minę posterunkowego, Wiktor zorientował się, że coś było nie tak, ale w sprawy rodzinne nie chciał się wtrącać.

– Dobra, siedźcie, my z Justyną idziemy za kościół, po obiedzie narada. Musimy jakoś to wszystko uporządkować. Posterunkowy Puchacz, Borkowo Pokutne ma jakąś gazetę? Portal? Historyka? Trzeba to ogarnąć. I weźcie adres do tego związku zawodowego pracownic seksualnych, może to coś da. Ja to muszę w końcu rozwikłać!

Fajnie jest tak pracować, to znaczy temu kazać jedno, tamtemu drugie, a potem ciach i wszystko pokazać jako swoją zasługę.

– Ten związek to załatwię ja – oświadczył Robert. – Łukasz jest mi winien wyjaśnienia, może coś wiedzieć, a że był w jakimś układzie z tymi dwiema dziewczynami, to mi pomoże. Kto wie zresztą, czy Maks nie wie czegoś ciekawego albo same dziewczyny, tylko po prostu źle pytamy?

Stara, może nawet jeszcze przedinternetowa prawda głosi, że jeżeli nie uzyskałeś odpowiedzi, to pewnie zadałeś niewłaściwe pytanie.

No bo tak bywa. Jeżeli kogoś zapytać, co robił w nocy z dwudziestego trzeciego marca na drugiego kwietnia, mało kto odpowie, ale jakby zapytać, co robił po imprezie u Krzywego, natychmiast sobie przypomni pobyt w szpitalu.

\*\*\*

Szli w śniegu, pośród świątecznych dekoracji, w ponurym, bynajmniej nie świątecznym nastroju. Wiktor nie liczył, że wiele osiągnie, ale zapytać musiał.

– Tylko wiesz, co nałogi kucharki, znaczy Ernestyny, mogą mieć do jej zabójstwa?

– Sporo, choćby to, że marycha kosztuje.

– Ale chyba nie myślisz...

– Nic nie myślę, naprawdę, i w tym problem. Mogła palić ziolo całe życie i wtedy to zupełnie przechłapano, ale mogła palić ostatnio, a to by mogło coś nam dać.

– Jakim...

– Słuchaj, duchy, jakieś sprawy sprzed lat, jakieś podejrzenie o morderstwo to nie są błahostki, coś mogło w tym być. A jeżeli się bała, nie wiem, duchów czy starych spraw, bo z pewnością nie oskarżenia, które chyba już się przedawniło, to mogła się wspomagać. Ale – Wiktor stanął i podniósł palec wskazujący – ale to zależy od tego, ile brała i od kiedy.

Za kościołem, ale na prywatnym już terenie stało dwóch zmarzniętych mężczyzn opatulonych w marniutkie kurteczki i grzejących się przy typowym peerelowskim koksowniku, ale napełnionym dość lichym drewnem.

– Czego? – warknął jeden z nich.

– Ziola – odburknął Wiktor.

– Taa, jasne, a kto cię przysłał?

– Ernestyna – powiedział bez wahania Wiktor, co wywołało pewien lęk w obecnych.

– Świętej pamięci? – zapytał jeden z nich.

– Świętej nie świętej, zza grobu do mnie nie przemówiła, kilka dni temu mi poleciła, ale na weselu się schlałem i nie miałem potrzeby się wspomagać jak ciotka.

– To ciotka?

– No taka przyszywana.

– No bo tak za bardzo to ona się nie wspomagała, tylko ostatnio jakoś na nerwy brała. Bo jej się coś objawiło i mówiła, że ją wykończy.

– No bała się, że zwariuje.

– Oj tam, daleko do wariacji nie miała, ale się bardziej bała dopaścia.

– To znaczy?

– No, że ją dopadnie.

– A co?

– A bo ja wiem? Laska jakaś?

– A może laska? – wtrąciła się Justyna.

– Nie. Jak laska miałaby kogoś dopaścić? – zdziwił się Wiktor. – Ale ja jednak nie wezmę – powiedział do sprzedającego.

– No to co pan dupę zawracasz?

– Ja wezmę – rzuciła Justyna i bez targowania się wzięła działkę, na oczach zaszokowanego Wiktora.

– Aleee... – Wiktor nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie marudź – odpowiedziała mu dopiero, kiedy odeszli dostatecznie daleko. – Jeżeli ktoś idzie w taką pogodę, w śniegu, w ciemnicy, choć nie nocą po działkę, to albo kupuje, albo jest kapusiem. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Przytaknął jej.

– Czyli widzisz, bała się. Jakiejś laski. Są dwie. Kaśka i Oliwia.

– Są trzy, jeszcze Lena ma laskę! – Westchnęła. – Zależy, o jaką jej chodziło.

– Ale pominąwszy taką czy inną laskę, to ona się bała, czyli duchy zrobiły swoje.

– A może nie duchy? – Justyna do duchów miała stosunek naukowo ambiwalentny.

– Wszystko w sumie jedno, coś ją przestraszyło, a zaczęło się od duchów.

– Nie, od afery kanalizacyjnej – sprostowała dziewczyna.

– Myślisz, że zapchany kibel może mieć aż takie znaczenie? No to zreasumujmy: kibel, zjazd prostytutek, duchy. Tak?

– No właśnie tak. A co do zjazdu, to były tu jeszcze inne osoby. Może nie samymi prostytutkami historia się toczy. Były jeszcze Lena, Maryla, chłopaki. I te dwie pindy od Duchaczy. – Justyna nie omieszkała skrzywić się sarkastycznie.

– Tak to jakoś trwało, ludzie się rozjechali, ale duchy się pojawiały od czasu do czasu.

– Ano właśnie! To świadczy o kimś z hotelu – uściśliła.

– Albo o pokojówkach syfiarach. – Wiktor miał swoje zdanie na temat czystości w tym akurat hotelu.

– Bo?

– Bo te napisy mogły tam sobie trwać miesiącami, jeżeli nikt nie przemył lustra.

– Albo ktoś tu bywał w międzyczasie i w międzyczasie coś dopisywał. W hotelu nie musiał nawet się meldować. Wpadł, wypadł, zajrzał do kogoś? – Justyna mogła być bliska prawdy, bo przecież nie sprawdzali zameldowań, a na

dodatek nie wierzyli, że nawet gdyby je sprawdzili, coś by to dało. Winicjusz wcale nie musiał być solidnym właścicielem w tym zakresie.

Wrócili do jadalni, gdzie przygotowano już stoły do obiadu, który dziś był nieco szybciej, bo kolacji w ogóle miało nie być, tylko ognisko z kiełbaskami, dla chętnych oczywiście, a dla niechętnych albo kolacja w rodzinie, albo jakiś suchy prowiant.

Tylko Alojzy był niechętny, ale on się nie liczył, to znaczy on tak naprawdę był szalenie chętny, ale bał się o mamusię. Dzieci rzeczywiście mogły zrobić jej krzywdę. Oczywiście wiedział, że gdyby nawet mamusia została zamordowana, to dwu-, trzylatków do więzienia się nie zamyka, ale trochę dziwnie żyć z taką liczbą morderców pod jednym dachem.

– Ale dlaczego ten ktoś postanowił zamordować kucharkę w święta? – zapytał posterunkowy Puchacz z telefonem w rękę, bo przesłano mu zdjęcia artykułów, które dotyczyły wszelkich duchów i morderstw w okolicy. Pierwszy poświęcony dzień to nie jest dobry moment na pracę, ale i tak mu się udało.

– A bo ja wiem dlaczego? – mruknął Wiktor. – Co tam powypisywali?

– Nic takiego, to stare gazety sprzed trzydziestu chyba lat. Z dachu spadła kobieta, Joanna K.

– Czyli nie kelner?

– Może ona była kelnerką? W każdym razie nie było to samobójstwo, podejrzewano udział osób trzecich. Czyli chyba ktoś ją zrzucił, ale poza tym artykułem i jeszcze jednym o świadku, który powinien się zgłosić na policję, nie ma tu nic.

– Bardzo to nielogiczne, nawet jeżeli świadek wyjechał, był chory albo, nie wiem, siedział w więzieniu, to jednak się nie zgłosił.

– Nie chciał?

– Nawet jeżeli nie chciał czy nie mógł. to nie pojawiałby się po trzydziestu latach prawie i nie mordowałby.

Przerwał na chwilę.

– Popatrzmy. Ernestyna zamordowała kelnerkę, widział ją świadek, teraz przyjechał i ją zamordował. Dlaczego zamordował ją teraz?

– No bo...

– Właśnie zupełnie nie pasuje, skoro ją widział wtedy, w czasie zbrodni, dlaczego nie zabił dwadzieścia lat temu? Trzy lata temu? Dlaczego teraz?! Zresztą nie ma pewności, czy to Ernestyna. No i co z Zośką? I co z tą laską?

– Zośka rozpoznała kogoś? Mordercę? Tylko kogo, Kaśka i Oliwia są laskami, Lena ma laskę, ale na przykład Maryla ani to, ani to.

– A bo ty wiesz, jak kobiety postrzegają inne kobiety? – wściekła się Justyna. – Może dla Ernestyny Maryla była laską? A może chodziło o kogoś innego?

– Kogo?

– Mnie najbardziej pasuje Rita. – Justyna jakoś nie lubiła rodziny właściciela, jego samego zresztą też nie.

– I tu nie masz racji. Rity by się bała od dawna, od lat, odkąd ta się tu wprowadziła, a nie ostatnio! To nie może być ani ona, ani żadna z tych trzech bab, ani Winicjusz, ani cieć. To wykluczone, to ktoś, kto się pojawił. Pojawił w jakimś momencie, coś sobie uświadomił i postanowił działać.

– Duch?

Branie pod uwagę ducha w sprawie morderstwa jest fajne w filmach, zabawne w książkach, ale w życiu trochę psuje zabawę, po pierwsze dlatego, że trudno ducha aresztować, nie można go przesłuchać, a wszelkie przedstawienie prokuratorowi koncepcji z duchem jako sprawcą może sprawić spore kłopoty natury zawodowej.

– Mamy tu trzy oddzielne grupy: rodzinę właściciela, która z wcześniej wymienionych powodów odpada, pracowników, którzy też z tych samych powodów odpadają, oraz gości.

– Oni nie odpadają.

Tylko goście, o ile pomyśl, że mordercą jest ktoś, kto się jakoś przypadkiem tu pojawił w jakimś momencie, coś sobie uświadomił i postanowił zacząć mordować chyba w ramach zemsty, był prawdziwy, prawdopodobny w sumie był, ale to jeszcze nie przesądzało sprawy.

– Właśnie.

– Czyli to musiała być jakaś przywłoka! – oświadczył posterunkowy, budząc zdziwienie tym słowem.

– A co to takiego przywłoka?

– No ktoś, kto się przywłókł.

– No tak, ale Zośka? Co z Zośką, ją też zamordowała ta przywłoka? Zośka też zamordowała tę z dachu?

– Ta Zośka wszystko paskudzi. Zazwyczaj to drugie morderstwo, jeżeli się jakoś łączy, pozwala trochę dowiedzieć się o pierwszym, a tu nic, jeszcze bardziej nam gmatwa – jęknął Wiktor.

– Bo zabito ją albo dlatego, że wiedziała coś o śmierci Ernestyny, w co wątpię, bo raczej by coś napomknęła, albo dla tego samego, co Ernestynę. Nie?

Czy Zośka coś by napomknęła o morderstwie? Justyna mogła nie mieć racji, ludzie czasami są skryci, a najbardziej skryci są, jeżeli na tej skrytości można zarobić. Oczywiście szantażowanie mordercy jest koszmarną głupotą, ale nie każdy jest tego świadomy, a takie kobiety jak Zośka są przekonane o swoim sprycie i o przebiegłości tak bardzo, że nawet się nie zabezpieczają, ale żeby kogoś szantażować, trzeba wiedzieć, że ten ktoś ma czym zapłacić. To też Zośka naprawdę mogła coś wiedzieć o sprawie Ernestyny i wcale nikomu o tym nie mówić, ale była jeszcze inna kwestia. Morderca. To on mógł sądzić, że ona go zobaczyła i rozpoznała, podczas gdy ona w tym czasie patrzyła w zupełnie inną stronę, ale paranoja to paranoja.

– Czy ty sądzisz, że to jest ostatni trup, czy ktoś jeszcze ostanie zamordowany?

– A żeby ci język kołkiem stanął – warknął Wiktor, przerażony perspektywą hekatomb.

\*\*\*

Kolacja nie kolacja, zebrała wszystkich, nawet weselników, na tyłach hotelu, gdzie urządzono wielkie ognisko z kielbaskami. Nie było specjalnie łatwo, bo weselnicy chyba zapodali sobie jakieś weselne kombinacje płynów i prochów, skoro co chwila któryś chciał przez to ognisko skakać, co było niewykonalne (i zdecydowanie szkodliwe dla zdrowia), więc trzeba było ich ostro pilnować.

Ogień strzelał wysoko, kielbaski się piekły, z boku stały stoły z dostawkami, czyli musztardą, chlebem, sałatkami i taką ilością kielbasy, żeby nie zabrakło dla nikogo. Był też grzaniec.

Z głośników przenośnego sprzętu sęczyły się świąteczno-zimowe melodie, czasami przeplatane kołędami.

Była to średnio świąteczna kombinacja imprezowa, ale po pierwsze święta się skończyły, po drugie Winicjusz czuł się w obowiązku zadośćuczynić gościom za niedogodności, po trzecie Karolina czuła się w obowiązku iść i odciążyć mamusię, bo choć chciała, żeby ta się przekonała, jak to jest z piątką maluchów, to jednak nie życzyła jej źle, to znaczy, życzyła, ale nie aż tak.

Pragnęła, żeby mamusia jednak przeżyła. Jak inaczej będzie jej potem zygać w oczy zwycięstwem?

Przygotowała wszystko na hotelową imprezę i pobiegła do domu, zostawiając męża przy ognisku, bo gdyby go ze sobą zabrała, to po powrocie do domu jeszcze nim musiałyby się zająć, a dzieci i teściowa w tym momencie wydały jej się wystarczającym wyzwaniem.

Nagle coś zahuczało. Tak jakby zerwał się potężny wiatr, ogień buchnął w górę i na boki, opalił trzech weselników, którzy nie zdążyli odskoczyć, zrobiło się czerwono.

– Jezus Maria! – krzyknęła prateściowa Winicjusza i zadławiła się kielbaską. Jej córka skoczyła do niej, aby ją reanimować, ale tylko ją przewróciła i przyduśiła.

– Hahahahahaha! – wrzasnęło coś obłąkańczym śmiechem, czerwona mgła zakotłowała się wokół ognia i zawyla jak potępieniec.

– Wyłączcie to gówno – jęknęła Rita. – Znowu jakieś spięcie się zrobiło. Dajcie jakieś disco polo, a nie te pieprzone last christmasy! Mam dość tych świąt.

W ogóle święta to debilny pomysł.

– Hahahahahaha! – zawyla raz jeszcze, tym razem już bez wspomagania kołęd i last christmasów. Wielka, blada i zakrwawiona twarz pokazała się przy ognisku, wybałuszyła oczy i z pyknięciem znikła.

Wrzask, który się rozległ wokół ogniska, poderwał do okien wszystkich znajdujących się w najbliższej okolicy. Jeden z włamywaczy, który właśnie ewakuował się, wraz z łupem, przez okno stojącego kilkanaście metrów dalej domu, dostał zawału oraz kilku złamań, ale kto bierze sobie na plecy szafkę pod telewizor wraz z telewizorem i wynosi ją przez okno, sam sobie jest winien.

– Co tu się dzieje?! – jęknęła Oliwia, która właśnie wyszła z krzaków, bo nie chciało jej się iść do łazienki.

Zakrwawiona twarz znów się pojawiła, zachichotała i zniknęła.

Mówi się, że chichot to raczej wesoły śmiech albo zabawny, ewentualnie złośliwy. Żaden chichot nie powinien mrozić krwi w żyłach, ale temu się udało. Bardzo przypominał śmiech szalonego naukowca czy obłąkanego mordery.

Kto wie, czy nie pośmiertny.

I co ciekawe, wrzask potrafi przstraszyć, ale śmiech przeraża, czasami śmiertelnie, jakby był objawem albo efektem czegoś o wiele straszniejszego niż zbrodnia.

Lena stała i patrzyła na wszystko z przerażeniem w oczach.

– Nie, no, niemożliwe – powiedziała do siebie i postanowiła natychmiast się oddalić, kuśtykając z zapalem w kierunku hotelu, co nie pozostało bez reakcji niektórych zebranych.

– Idzie pani już spać? – zapytała Justyna bez podtekstu, ale Lena zatupała tylko laską i burknęła, że nie.

– Muszę jeszcze wpaść do siostry. – Westchnęła. – Cały dzień u niej nie byłam, może się martwi, a naprawdę tego bym nie chciała.

– A ona mieszka tu, w Borkach? – zainteresowała się Justyna, nawet sama nie była pewna dlaczego. Chciała podtrzymać rozmowę jedynie z grzeczności. Niestety, grzeczność nie zawsze popłaca.

– A co panią obchodzi, gdzie ona mieszka?! Co? Wara wam od mojej rodziny! Moja siostra to moja sprawa! – warknęła Lena i w tym momencie Justyna się bardzo zdziwiła, bo ta reakcja była zupełnie nieadekwatna, dziewczyna właściwie zapytała o siostrę tylko tak, dla podtrzymania konwersacji, tak tylko, żeby o cokolwiek zapytać.

Chciała być grzeczna, ale jakoś albo jej to nie wyszło, albo się nie opłaciło.

Rozmowie przysłuchiwał się Wiktor.

Jemu też coś nie pasowało.

\*\*\*

– Mamusia? – zawołała Karolina, wchodząc do domu. Było zdecydowanie zbyt cicho.

Nikt jej nie odpowiedział.

Weszła do kuchni i choć był spory bałagan, to akurat tego się spodziewała.

Przeszła dalej, do salonu, a właściwie do pokoju dziennego, bo trudno to było nazwać salonem.

Dzieci spały na rozłożonej wersalce. Wszystkie pięcioro było przyklejonych taśmą klejącą, mocną, szarą taśmą, do tejże wersalki.

Na podłodze spała teściowa.

Pod głową miała kilka zasranych pieluch. Chyba zmorzył ją sen. Znienacka otworzyła oczy.

Nie wyglądała najlepiej.

– No tak. – Karolina westchnęła. – Rozumiem, że mamusia nie dała sobie rady? – powiedziała zasmuconym głosem, bo obawiała się najgorszego, czyli konieczności powrotu do domowego kieratu.

– Jak to nie dałam? Jak to ja miałabym sobie nie dać rady? Ja? Ślęczaczka z dziada pradziada?! Nie obrażaj mnie, kochanie! A poza tym to są aniołki nie dzieci! Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak na nie narzekasz. Ty może sobie z nimi nie radzisz, ale ty to ty! Ja jestem o wiele skuteczniejsza.

– A te taśmy?

– Zabawa! Dzieci muszą się bawić – odparła, zadając kłam sobie samej, ale była teściową, a teściowe nigdy przenigdy nie przyznają racji synowej, nigdy przenigdy nie przyznają się do błędu, nawet jeżeli miałyby to kosztować je życie.

Poza tym ta gówniara, która ukradła jej ukochanego synusia i na dodatek wyciągnęła go w te nadmorskie rejony świata z dala od ukochanego Śląska, nie mogła wygrać, nie z nią! Nigdy!

\*\*\*

– Słuchaj, co ona z tą siostrą tak dziwnie? – zapytał Wiktor, zaniepokojony. – Powinna powiedzieć, dokąd jedzie, morderca grasuje, kto wie, jaka będzie kolejna ofiara, a ona jedzie i nie powie dokąd? Jakaś tajemnica?

– Dotąd jeździła i nie było problemu. – Justyna westchnęła. – Zupełnie nie wiem, co ją ugryzło.

– Jedziemy za nią? – zaproponował Alojzy, z niepokojem patrząc na telefon, w którym spodziewał się zobaczyć wiadomość tekstową od żony, ewentualnie matki, jakąś alarmistyczną w stylu „wracaj natychmiast”, a on naprawdę nie chciał.

Wolał już morderców.

– Dobra, to do radiowozu i jedziemy – rozkazał, choć Justyna zignorowała ten jego władczy, policyjny ton.

– No jak to do radiowozu, przecież się domyśli! – Wzruszyła ramionami.

– Dobra, wezmę swój prywatny, ale wy jedźcie radiowozem – rozkazał dwóm policjantom – na wszelki wypadek, bo ja nie jestem pewien, jak to się nam uda.

– Lepiej wziąć taksówkę – oświadczyła Justyna i miała rację, ale taksówki na pewno nie było na postoju, nie o tej porze, nie w tym okresie tak ponuro międzyświątecznym i jednak nie w tym małym, zapyziałym miasteczku na prawach wiochy, jedyną w tym momencie dostępną taksówkę złapała (co widzieli z daleka) Lena i tyle.

Wsiadli więc do samochodu Wiktora. Musieli jechać za nią, ale tak, żeby to nie było za bardzo widoczne.

Za nimi trochę w oddali jechał radiowóz.

Była to taka kawalkada, że prawdę powiedziawszy, każdy musiał ją zauważyć. Nawet ślepiec, ale Lena chyba jakoś nic nie skojarzyła.

\*\*\*

Po kilku minutach jazdy za wyraźnie widocznym kogutem taksówki zobaczyli, jak ta się zatrzymuje. Oni też się zatrzymali i czekali, aż Lena z taksówki wysiądzie, w tym momencie Wiktor rozkazał Alojzemu i jego podwładnemu, żeby wyskoczyli z radiowozu i szybko pobiegli w kierunku śledzonej kobiety, ale tak, żeby nie było ich widać.

– Cmentarz?

– Wygląda na bramę cmentarną.

– Czy ta jej siostra mieszka na cmentarzu?

– Nie, na pewno idzie do drugiego przejścia, bo po drugiej stronie jest zwykła ulica, taka wiesz, z domami.



– Skąd wiesz, że tu jest drugie wejście? – zdziwiła się Justyna.

– Zawsze jest, ale wiem, bo...

Justyna nagle zamarła.

– Wiesz co? A może to ty jesteś mordercą? – wydukała drżącym głosem. Atmosfera napięcia trochę jej się udzieliła.

– I mówisz mi to tutaj, teraz, ciemną nocą? Wiesz, że gdybym był mordercą, twoje szanse na przetrwanie byłyby równe zeru?

– No nie pomyślałam. Że...

– Paliłaś to świństwo, które kupiłaś za kościołem, i to efekt?

– Nie, nie paliłam, to raczej atmosfera.

– To idźmy.

\* \* \*

Alojzy i jego podwładny podkradli się do bramy i zobaczyli, jak staruszka, dziarsko postukując laską w śniegu, schodzi w dół głównej alei cmentarza. Minęła kilka bocznych alejek, przeszła na prawo i ruszyła w bok, gdzie nie mogło być żadnego przejścia, z czego zdawali sobie sprawę policjanci, którzy też sądzili, że ta kobieta chce przejść przez cmentarz i wyjść z drugiej strony tylko dlatego, że zauważyła jadący za nią samochód, a może nawet oba samochody. Niby osoba w jej wieku nie powinna tak bardzo się stresować tak sensacyjnymi sprawami jak pościgi policyjne, ale mogła być morderczynią albo jakąś morderczynią kryć.

Tyle że gdyby tak, to nie poszłaby w tę stronę, z tej strony nie dość, że przejścia nie było, to po drugiej stronie nie było żadnego osiedla ani żadnych terenów zamieszkałych.

Ciemność była paskudna, szczególnie w bocznej alejce, bo owszem, cmentarz był oświetlony, ale tylko centralnie, a jego dalsze części tonęły w mroku.

Był otwarty ze względu na święta, bo wielu ludzi tu przyjeżdżało w tym okresie i chcieli odwiedzić groby zmarłych, w innych okresach był o tej porze już zamknięty.

Policjantom udało się podejść na tyle blisko, że słyszeli, jak Lena postukuje, posapuje i pomrukuje, ale nie było to dziwne, nie ma niczego równie cichego jak nocny cmentarz zimą, a kiedy jest cicho, słychać wszystko o wiele wyraźniej.

Nie od parady ukuło się powiedzenie „cmentarna cisza”, a śnieg dokładał do niej swoje trzy grosze, bo nawet nic nie szeleściło.

– Jak mogłaś mi to zrobić – burczała Lena, tupając niepewnie, ale z mocą i samozaparciem – i skąd ty się tam w ogóle wzięłaś? Jesteś nienormalna! Zawsze byłaś nienormalna, ale żeby tak u ludzi? Na ognisku... Nie, no, powinnaś się wstydzić, Joanno!

Jej monolog czasami się urywał, ale po jakimś czasie znów powracał, a policjanci za osłoną nagrobków doskonale dawali sobie radę.

Zresztą to nie był jeden z tych nowoczesnych cmentarzy, gdzie nie ma nic poza grobami, to był prawdziwy cmentarny park albo nawet las. Pełno tu było wysokich drzew, małych drzewek, cyprysów i tui, iglaków przygrobnych, ale i wielkich dębów, które dokładały swoje do mroczności i ciemności cmentarza.

– Zawsze byłaś suką, ale żeby po tylu latach? Jak mogłaś! Jak mogłaś?! Wstyd rodzinie przyniosłaś i jeszcze ci mało?

– Co to za Joanna? – szepnął posterunkowy do Alojzego.

– No nie wiem, siostra? Chyba siostra, ona do tej siostry przyjeżdża, może się umówiły?

– No ale gdzie ona jest?

– Chyba w grobie. Tu są same groby. Jakaś bezdomna? W wiadomościach podawali, że czasami ludzie tak robią.

– Koczują tam?

– Nie, no może po prostu się tu z nią umówiła, ta siostra jest morderczynią? I ona jej najświeższe plotki przynosi.

– Kto tam gada?! – wrzasnęła Lena głośno, odwróciła się i zaczęła rozglądać w doskonałej ciemności, waląc laską po okolicznych grobach, jakby była niewidoma i tą laską usiłowała coś zobaczyć.

Zamilkli.

Przez chwilę panowała głucha cisza. Nie wiadomo, jaka może być inna, ale ta na pewno była właśnie głucha.

Zamarli też całkiem, ale ich niepewne poruszenia, odgłos tarcia rękawem o rękaw czy o krzew jakiegoś przygrobnego iglaka, zaniepokoiły Lenę.

– To ty, Joanna? Mów natychmiast, to ty?

– Kurwa ja, a kto inny? – jęknął cichutko wkurzony Alojzy. Może nie powinien był.

Lena odwróciła się gwałtownie i zaczęła na oślep walić laską.

– A ty suko! A ty suko! – wrzeszczała, sapała i miotła się dookoła.

Kilka pierwszych ciosów spadło na groby, ale kilka dopadło też Alojzego oraz posterunkowego. Jak tylko Lena wycofała pod laską coś żywego – wiadomo: inaczej tłucze się w kamiennego anioła, inaczej w policjanta w puchowej kurtce – zaczęła tłuc jak oszalała z zapamiętaniem godnym lepszej sprawy.

– Pani przestanie, bo ją pani zabije! – wrzasnął w końcu Puchacz. – To znaczy jego – dorzucił wyjaśniająco i zamilkł. Przez moment się zastanawiał, co zrobić, ale ciosy spadały nadal.

– To znaczy ją – zmienił zdanie po chwili, sądząc, że jednak Lenie będzie bardziej szkoda siostry niż obcego policjanta.

– Kogo, do cholery?

– No Joannę!

– Ja miałabym zabić Joannę? – Lena pufnęła wściekle.

– No, wyraźnie pani bardzo się stara!

– A gdzie tam! Jak miałabym zabić Joannę? Przecież ona nie żyje!\*

\*\*\*

Wiktor poszedł przodem. Posądzenie Justyny trochę go ruszyło, nie ze względu na sam pomysł, bo przecież takie rzeczy jak policjanci mordercy się zdarzają nie tylko w filmach, ale i w życiu niestety. Bardziej ruszyła go głupota dziewczyny, która wyjawiała swoje podejrzenia w takim miejscu.

Instynktu samozachowawczego było jej najwyraźniej zupełnie brak.

Justyna podreptała za nim, myśląc mniej więcej o tym samym. Ona chciała, żeby wziął ją w ramiona i powiedział coś w stylu romantycznego księcia „ależ ja tak cię kocham, jak możesz”, no ale przepadło.

Nie była zakochana, ale romantyczna romansowość czasami ją dopadała.

Weszli na cmentarz.

Przez chwilę stali w świetle centralnych latarni, nie wiedząc, dokąd iść.

W końcu z daleka usłyszeli stuki oraz kilka jęków.

Ośmielony tym Wiktor, który zrozumiał, że podchody właśnie się skończyły jakąś awanturą, zadzwonił do Alojzego. W odpowiedzi zobaczył jak ten ostatni wymachuje w jego kierunku latarką telefonu.

\*\*\*

– No dobrze, że pan jest. Napadła na nas – oświadczył Alojzy, trzymając w ręku laskę Leny. Ją samą trzymał Puchacz i mimo jej słabej, wątej postury nie było mu łatwo, bo wyrzywała się wściekle.

– Co pani tu robi, pani Leno? – zapytał Wiktor oficjalnym tonem.

– A pan? – prychnęła. – Śledziliście mnie! – dodała obrażonym głosem.

– Bo nie chciała pani powiedzieć, gdzie mieszka siostra. Gdyby pani powiedziała, nikt by nawet nie wpadł na taki pomysł. Sama jest pani sobie winna.

– A co, miałam powiedzieć, że na cmentarzu?

– No właśnie. O co chodzi? Jak mieszka na tym cmentarzu? – zainteresował się policjant.

– Nie żyje! A mieszka czy nie mieszka to tylko kwestia interpretacji. O. – Wskazała na nagrobek za sobą.

– Joanna Kenler – przeczytał Wiktor. – Kenler?

Nazwisko bardzo w tym momencie wydało mu się istotne w tej dziwacznej układance.

– Czyli to o nią chodziło, ktoś źle zapisał i wyszło mu, że kelner? – Justyna prawie się ucieszyła. – Chodzi o to, że to ona spadła z tego dachu?

– Została zamordowana! – sprostowała Lena mocnym głosem.

– I to pani była tym świadkiem?

– Nie, mnie tu w ogóle nie było. Dowiedziałam się po roku chyba od jej śmierci.

– To skąd pani wie, że została zamordowana?

– Bo wiem.

– I przyjechała pani ją pomścić?

– A pan to chyba się szaleju najadł. Jak pomścić? Po co? Dlaczego? Nie!

– No a jeżeli naprawdę została zamordowana, to wie pani choć w jaki sposób i dlaczego?

– W jaki sposób? Ktoś zrzucił ją z dachu. To akurat wiedzą wszyscy.

– Tylko że ten dach nie jest aż tak wysoko, żeby można się było spodziewać natychmiastowego zgonu, gdyby ktoś chciał ją zabić z premedytacją, powinien chyba wybrać coś lepszego? Wyższy budynek?

Lena wzruszyła ramionami.

– A dlaczego? Tego nie wiem. Wszystko zostało zamiecione pod dywan, taki całkiem spory, policyjny.

Wszyscy zamilkli i nikt tak naprawdę nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Znaleźli wreszcie osobę, która spadła z dachu, ale... Co ciekawe, nie ruszyło to sprawy do przodu w żaden sposób. Nie było żadnego olśnienia. Żadną z nich nie doszło do nagłych, szalonych, ale za to prawdziwych albo choć prawdopodobnych wniosków. Liczyli na to, łudzili się, a jednak, jak się okazało, kobieta z dachu, która nie była kelnerem, ale nim w pewnym sensie pomyłkowo była, nie miała znaczenia.

To naprawdę ich zabolalo.

– To co pani tu robi? – Justyna wróciła do przepytывania Leny, choć już bez entuzjazmu.

Wyszli z cmentarza wszyscy razem.

– Ale teraz, dziś czy w ogóle?

– A to ma jakieś znaczenie?

– Może ma, może nie ma. – Lena, która chyba chciała coś powiedzieć, jakoś się nagle zacięła. – To co, grobów odwieść nie można?

– A policjantów można bić?

– Nie biłam go.

– Biła pani, sam czułem – wyjaśnił Alojzy, skrzywiony i posiniaczony, choć siniaki miały mu wyjść dopiero za dzień czy dwa.

– Bo jakiś debil powiedział, że jest Joanną! O. Myślałam, że to ona!

Wszyscy popatrzyli na Lenę z niedowierzaniem.

– Wiedziała pani, że ona nie żyje? Wiedziała pani. To o co chodziło? Dlaczego w takim razie... Dlaczego pani myślała, że to ona, i dlaczego pani chciała ją zabić?

– Oj tam zabić. Nie zaraz zabić. Chciałam jej złoić skórę. Pan nie wie, jak to było, ona się puszczała! Potem zaszła w ciążę, potem urodziła dzieciaka! A potem okazało się, że spadła z dachu.

– Ona mieszkała w tym hotelu? Pracowała w tej ich rybiarni?

– Mieszkała mieszkała, ale pracowała w zieleni miejskiej. Lubiała rośliny. Hotel sobie załatwiła za klomb.

– Za jaki klomb? Za jaki klomb? Tam przecież nie ma...

– Jasne, że nie ma! To było trzydzieści lat temu! Obiecała, że po znajomości wydebi rośliny i zrobi klomb przed hotelem.

– Ale dlaczego... Chodzi mi o to, dlaczego pani tak na nią pomstuje?

– A ten przypadek? Jaki wstyd dla rodziny?! Pan sobie nawet nie wyobraża, teraz to dzieci się rodzą jak chcą, z prawej strony łóżka, z lewej, a może nawet i pod łóżkiem, ale wtedy to było nie do pomyślenia! A nie dość, że się puszczała, to jeszcze to dziecko było nieślubne, a nawet nie wiadomo z kim.

– A ono gdzie jest?

– Nie wiem. Pewnie zabrali je do jakiegoś domu dziecka.

– Nie interesowała się tym pani?

– Nie za bardzo, bo jakbym zaczęła, toby mi jeszcze dzieciaka wpakowali na opiekę!

Justyna patrzyła na Lenę z dużym rozbawieniem, znała oczywiście krwawe opowieści o czasach, kiedy ciąża była straszliwym wstydem i czasami prowadziła do samobójstwa, ale nie znała osób, które by hołdowały takim zasadom.

– I mam uwierzyć, że prawie trzydzieści lat po śmierci chciała ją pani otłuc? I że uwierzyła pani w to, że ona się zmateriałizowała?

– W to akurat nie musiałam wierzyć. Ja to widziałam!

Kiedy wrócili do hotelu, mieli mętlik w głowie.

– Widziała tę Joannę?

– Wszyscy ją widzieliśmy, to ten dziwny stwór, który pojawił się przy ognisku. Duch?

– No niby duch, ale ja za bardzo w duchy nie wierzę. Widziałeś Indianina w jadalni? Wtedy, co się ten facet zapalił? No to wiesz, oni, ci Duchacze, mają taki projektor i ten projektor rzuca takie obrazy, nie wiem dokładnie, jak działa, ale mają takie coś, może to o to chodzi, a babka po prostu wiesz... Pomyliła się? No bo po tylu latach to mogła pomylić siostrę albo któryś obraz był podobny? Zresztą jak ją rozpoznała? Przed śmiercią nie widziała jej przez rok, a to było ponad trzydzieści lat temu.

– Możliwe – mruknął Wiktor, zagłębiając się w swoich myślach – ale nadal nic nie rozumiem.

– Wygląda na to, że Ernestyna zabiła tę Joannę.

– No właśnie, tak to wygląda, ale za co ją zabiła?

– Jeżeli w ogóle istnieje jakieś „za coś”, nie zapominaj, jakie tu było środowisko, ludzie chłali, bili się, kotłowali, to nie było miejsce na planowaną zbrodnię. Wiesz, chyba muszę coś sprawdzić. Tylko że papierów nie ma.

Wyszedł od Justyny i ruszył do biura poławiaczy duchów.

– Robert, a nie było nic z autopsji? Nic może z podejrzeń, może jakieś z przesłuchań?

Robert pokręcił głową.

– Wszystko im zalało, jakaś rura pękła – wzruszył ramionami – ale mówił, że i tak niewiele było, bo nie za bardzo się zajmowali sprawą. Nawet nikt się dziwił, bo takich spraw było całe mnóstwo.

– Bo zastanawiałem się, czy spadła i się zabiła.

– A co? Przecież nie poleciała! – Justyna, która przyszła za nim do biura, skrzywiła się złośliwie.

– Nie, myślałem o innej możliwości, na przykład że została zabita gdzieś indziej, a rzucona tylko dla zachowania pozorów. Ten świadek by nam się przydał, co podobno tam był, ale uciekł.

– A to nie ta Lena? – Maks aż wyciągnął szyję, zaciekawiony. – Ja stawiałem na nią.

– Ty lepiej pokaż ten główniany projektor, zamiast stawiać na to czy tamto. Ten zwariowany duch przy ognisku to twoja robota? – warknął Wiktor z niezadowolaniem.

– A gdzie tam, coś ty. Niczego przy tym nie robiłem, są te same filtry, co były. Niczego też nie dokładałem, zresztą to nie moja bajka, już dziewczyny lepiej sobie z tym radzą.

Rzeczywiście w takich zespołach zawsze była jakaś specjalizacja, ale w żadnym nie było specjalisty od przekrętów, bo przecież takie projektory stanowiły chwyt poniżej pasa. Niedostępne, drogie, sprowadzane za ciężką kasę z Chin były tylko dla wybranych.

– Ale gdybyście chcieli coś dołożyć, zmienić? Dałoby się? – zapytała Justyna.

– Pewnie, że tak. – Robert się roześmiał. – To tylko kwestia przygotowania materiału.

– A dziewczyny by umiały?

Maks wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? Całkiem możliwe, że tak, ale nie sądzę, żeby im się chciało. Po jaką cholerę miałyby to robić?

– Żeby kogoś przestraszyć?

– Kiedy my nagrywamy wyłącznie siebie, nigdy nawet nie pokazujemy gapiów czy ludzi w tle, nie miałyby to sensu. Z naszego punktu widzenia to, co jest w maszynie, powinno wystarczyć.

– Nie chcecie chyba powiedzieć, że tu jest jakiś prawdziwy duch? – Do biura wkroczyły obie dziewczyny, jeszcze pachnące ogniskiem i przypalonymi kiełbaskami, ale już też owiane zapachem grzańca, bo kubki parującego specyfiku miały ze sobą.

Nuciły pod nosem jakieś świąteczne melodie, które zawsze się do człowieka tak przyczepią, że nawet nie zdaje sobie sprawy, że je nuci.

– Mnie by to nie przeszkadzało – Robert wzruszył ramionami – ale duch duchem, ciekawe, kto był tym świadkiem.

– No w sumie to nawet nie jest powiedziane, że ten świadek żyje czy coś, bo chyba go nie znaleźli.

– To czemu ja myślałem, że to Lena? – zdziwił się Alojzy, który też przyszedł do biura i od jakiegoś czasu przysłuchiwał się rozmowie.

– Bo założyliśmy, że to ma coś wspólnego, ale może nie mieć. Najłatwiejsza wersja jest taka, że ktoś pojawił się tu pomóc tę Joannę, ale to musiałaby być ta siostra, a ona nie za bardzo wygląda na kogoś, kto chce się mścić... Druga wersja to mógłby być szantaż i tu możemy, albo moglibyśmy, spodziewać się tego świadka.

– Dlaczego akurat teraz?

– Przypadek? Przyjechał, zobaczył, zaczął szantażować.

– Nie wydaje wam się to nierozsądne? Przecież po co w takim razie zabijałby Ernestynę, czyli tego, kogo szantażował? Nie zabija się kury znoszącej złote jaja – prychnęła Justyna.

– Pod warunkiem, że kura chce je znosić.

– Widzieliście zwłoki? Naprawdę ona nie wyglądała na kogoś, kto by się bronił. To nie mogło być to. Prędzej już właśnie zemsta. Bo śmierć Zośki mogła być całkowicie przypadkowa.

– Całkowicie?

– To znaczy mogła być konsekwencją tego pierwszego zabójstwa, ktoś ją zobaczył, ona coś zobaczyła.

– Czyli Ernestyna trzydzieści lat temu zabija Joannę, a ktoś czeka potem tyle lat, żeby zabić ją?

– Może nie czeka, przypadkowo się dowiadyuje i tyle. Wiecie, ale wszystko jednak prowadzi do Leny.

– Aż za bardzo! – Wiktor się roześmiał. – Tylko ona właściwie miała podstawy do tego typu zemsty, ale raczej nie wygląda na osobę bardzo uduchowioną. Poza tym była tu wiele razy, dlaczego teraz?

– Ej, wy! Słuchajcie, a dziecko?

\*\*\*

Lena siedziała jeszcze przy ognisku, a właściwie stała. Była zmarznięta i głodna, zbyt głodna, żeby po cmentarnej wyprawie nie wrócić na ognisko choć na chwilę.

Atak na policjanta chyba jej odpuszczono, a w każdym razie miała taką nadzieję, zresztą to by nawet dla policjanta była trauma – zeznawać przed sądem, że pobiła go starowinka.

Ognisko, co prawda, dogorywało, ale weselnicy i tak dojadali przypalone kielbaski, przypalony chleb, resztki musztardy, właściwie wszystko. Kazali sobie nawet przynieść kilka ziemniaków i garnek kapusty wigilijnej, tej z fasolą, który ustawili pośrodku ognia, który, chcąc nie chcąc, już trochę przygasł. I tak wszystko by zjedli, bo czuli straszliwy głód.

Ich głód wiązał się oczywiście z pewną ilością używek, które zakupili za kościołem, ale też i z tym, że po prostu jak się nie ma nic do roboty, to człowiekowi się chce jeść.

– Całkiem to miłe miejsce na ognisko – stwierdził jeden ze starszych weselników, chcąc zagadnąć kobiety, a było ich tam kilka. Właściwie przez chwilę siedziały tam Kaśka i Oliwia, potem jednak poszły do biura, ale była też prateściowa Winicjusza, jego teściowa oraz żona, tylko jego samego nie było, ale zapalone światło na drugim piętrze w jednym z ostatnich pokoi świadczyło o tym, że siedzi sobie w swojej zapleśniałej męskiej jaskini.

– Może być, choć powiem szczerze: mam w dupie ten hotel i całe to gównno, które się z nim wiąże – wybuchła Marianna.

– Mamo, przestań! – Rita zaczęła uspokajać swoją rodzicielkę, chyba tylko dlatego, że to po prostu paskudnie wyglądało, żeby któryś z domniemanych być może, ale jednak właścicieli tak się zachowywał.

Więści o odkryciu siostry Leny dotarły oczywiście do wszystkich, nie dlatego, że plotki krążyły jak chciały, bo krążyły, ale tym razem nikt nie miał nic przeciwko temu ich krążeniu.

Wiktor sądził, że może to coś zmienić, kogoś zaskoczyć, a może sprawić, że ktoś się choć odrobinę odkryje.

Nagle wszyscy usłyszeli krzyk.

A właściwie nie zaczęło się od wrzasku, ale od migotania, wszystkie światelka na hotelu, celowo czy nie, zaczęły migotać w zastraszającym tempie, i to nie wszystkie naraz, co wyglądało nawet ładnie, choć natychmiast powodowało oczopląs, tyle że wszyscy byli przekonani, że to jest celowa iluminacja mająca uświetnić ognisko.

To drżenie światła i jego niekontrolowane rozbłyski przebił właśnie krzyk.

Straszliwy, wręcz przerażający.

Wszyscy zerwali się od ognia i pobiegli w kierunku wrzasku, nawet ludzie z biura, bo w pewnym momencie wydało im się, że trzeba będzie wzywać karetkę do kogoś, kto wpadł w ognisko i dosłownie się piecze.

\*\*\*

– Kochanie, kochanie. – Winicjusz siedział na tapczanie i pozwalał się obłapiać swojej pięknej kochance, zwiewnej, leciutkiej i młodziutkiej kobiecie, która nigdy, przenigdy nie będzie taka jak Rita.

Mężczyźni już tak mają, im się wydaje, że kobiety tyją im na złość, że celowo dostają zmarszczek, że gdyby choć trochę się postarały, to wciąż miałyby o te dwadzieścia lat mniej.

Siebie zazwyczaj nie widzą, ale męskość podpowiada im, że warci są o wiele więcej niż ta przestarzała już dziesięcioletnia (jeżeli chodzi o czas trwania małżeństwa) żona ze zmarszczkami i nadwagą, o łupieżu nie wspominając.

I żeby choć zostawiały ten pieprzony łupież na swoich, a nie na jego ciuchach!

– Misiuuuu – kochanka wygięła się lubieżnie, tak bardzo, że nawet chyba zaryzykowała życie, wyginając kręgosłup w esa-floresa, (bo miała tylko jeden kręgosłup, więc nie w esy-floresy na szczęście) i zarzucając niemal swoją prawą pierś na ramię (swoje – piersi miała dwie, ale zarzuciła jedną) – zrobisz coś dla mnie? No Misiu, powiedz, powiedz, że tak, Misiuuuu!

– Ależ oczywiście, kochanie, wszystko! Dla ciebie zrobię wszystko! – zapewnił ją zmysłowym, ochryplym głosem, choć chryпки było w nim więcej.

Mało kto wie, co się dzieje w głowie takiego nieco podstarzałego, bo sześćdziesięcioletniego nastolatka, kiedy jest w zasięgu takich wdzięków. Wszyscy uważają, że mózg zamienia mu się w gąbkę, ale niektórzy twierdzą jednak, że gąbki to żywe, inteligentne stworzenia, a więc to jest raczej majonez.

– Zabijesz ją? – powiedziała, zwijając rąbek bluzki na palcu tak, żeby było widać, co pod nią ma. A właściwie czego pod nią nie ma.

– Ale kogo? – zdziwił się Winicjusz. – Chodzi ci o muchę? Przecież nie ma teraz much...

– Chodzi mi o żonę! Zabij jąaaaa! – wrzasnęła kobieta, a potem wszystko zaczęło migotać, jakby jej głos wprowił w jakieś niebezpieczne dygotanie instalację elektryczną.

\* \* \*

Przy ognisku najpierw wszyscy zamarli, potem ruszyli w kierunku krzyku, to znaczy podbiegli pod hotel, tam gdzie widać było okno z zapalonym światłem, które też migało.

Niby rozsądniej byłoby pobiec do hotelu i stamtąd dostać się po schodach do pokoju, z którego dochodził wrzask, ale rozsądek to nie jest coś takiego, co pojawia się na zawołanie, zwłaszcza kiedy wszystkich ogarnia panika.

Biegli hurmem, potykając się na grudach śniegu. Z biura na dole biegli też trzej policjanci, dziewczyny, oraz Robert i Maks.

– Gdzie jest Łukasz? – zapytała zdyszczanym głosem Justyna.

– Pewnie śpi, ciućmok jeden. – Maks znał dobrze swojego byłego kolegę, który przeszedł do konkurencji, i raczej chyba go nie cenił. W pędzie zderzyli się z dwoma tujami i bałwanem, ale dobiegli pod wrzeszczące okno.

A właściwie balkon, ale też bardziej okno balkonowe z parapetem.

Balkony, to był tu horror. Musiały być i równocześnie nie mogły zostać dobudowane. Nie dało się. Koszt byłby zbyt duży, ale o ile jeszcze piętnaście, dwadzieścia lat temu pokój z balkonem to była opcja, czyli coś mniej więcej luksusowego, a pokoje bez balkonów to była norma, teraz to już nie działało. Niestety, czasy się zmieniają, i to na niekorzyść. Pokój z telewizorem, balkonem i łazienką to już nie luksus, tylko norma, nikt nie wynajmie innego, tak więc Winicjusz balkony musiał mieć.

Na szczęście minimalne wymiary balkonu nie są usankcjonowane normami prawnymi, a wygoda turystów dla Winicjusza miała sens tylko do momentu uregulowania zapłaty za pokój, toteż zrobił balkony parapetowe, choć trochę je podrasował fotograficznie. Okno balkonowe było normalnej szerokości, ale powierzchnia balkonu była powierzchnią zwykłego parapetu okiennego.

I teraz właśnie na tym parapecie balkonowym, albo odwrotnie, balkonie parapetowym stał Winicjusz i wrzeszczał.

Był nagi.

Z daleka niewiele było widać, czego wszyscy żalowali, bo nawet się nie zasłaniał, tylko kurczowo trzymał się barierki. Jego spory bład brzuch drżał niepokojąco przy każdym wrzasku.

– Co on, do mendy cholery, tam wyprawia?! – jęknęła Rita.

Jej matka popatrzyła, złapała się za usta, aż ją hepnęło, i pokręciła z niesmakiem głową.

– Boże kochany i ty z nim sypiasz? – syknęła Marianna, patrząc ze zgrozą na swoją córkę.

– Nie, mamusiu, już nie!

– Dzięki Bogu, bo mnie na sam jego widok robi się niedobrze – dodała babcia, jakby ona sama nie była stara i pomarszczona.

– A wiecie co? – westchnęła po chwili Kaśka. – To mogło być tak samo wtedy, jak ta kobieta, która spadła z dachu. Wtedy, co opowiadali.

– No mogło, ale to było z drugiej strony – oświadczyła Oliwia – no i ona nie była facetem i z dachu spadła, a nie z balkonu. I co on robi?! Dłaczego on włazi na barierkę?! I do tego taki goły?

– Co wy gadacie?! Przecież to było tutaj, o z tyłu, tak jak to okno właśnie. Zresztą nawet chyba to samo! Też był grudzień, Wigilia chyba była, nie, chyba dzień przed...

I w tym momencie wszystkie oczy zwróciły się w stronę Maryli.

– To była pani? – zapytał Wiktor.

– No, to byłam ja. W pewnym sensie, bo nie całkiem. Wracalam wtedy z pracy. Z rybiarni, tyłem szlam. Wygodniej było.

– I co pani widziała?

– A co pan teraz widzi?

Na tym polega problem. Ludzie myślą, że skoro był świadek, to ten świadek wie wszystko, potrafi podać nawet numer buta mordercy, ale to złudne. Choć trzeba przyznać, że morderca, bardzo nastawiony w tym momencie na dostrzeganie zagrożeń, świadka potrafi doskonale zapamiętać.

Popatrzyli i zobaczyli nagie, blade, wielkie cielsko, które usiłuje przed kimś uciec, Winicjusz chciał stanąć na barierce i dostać się na dach. Za nim wszystko wyło, dzwoniło, wrzeszczało i migotało.

– Niech pan się trzyma! Lecę do pana! – wrzasnął Wiktor i wrócił do hotelu wraz z dwoma pozostałymi policjantami. Liczył, że pokój Winicjusza będzie otwarty, a jeżeli nie, to jakoś da się wyważyć drzwi, bo wspinaczka właściciela, cokolwiek miała na celu, nie miała szans na powodzenie.

I wyraźnie ktoś jeszcze tam był.

– To znowu ona – jęknęła Lena.

– Kto?

– Moja siostra! Wiem, jak jest. Ona zawsze kochała się w Winicjuszu!

– Co?! – wrzasnęła Rita.

– No co? Przecież to było sto lat temu.

– Nie o to mi chodzi! Chodzi mi o to, że ona nie żyje?!

– No i co z tego? – Lena wzruszyła ramionami. – Zawsze była puszczałska, to zupełnie nie rozumiem, dlaczego po śmierci miałyby przestać.

\*\*\*

– Ale zaraz, zaraz? Jak to nie całkiem? – rzucił Winicjusz, nagle przypomniawszy sobie niedawną rozmowę.

\*\*\*

Nocna narada, a właściwie przesłuchanie Maryli było nieuniknione, ale odbyło się dopiero po zerwaniu, dosłownie zerwaniu Winicjusza z barierki i odczepieniu go od zrębu dachu, na który wspiąć się nie mógł, choć bardzo chciał.

– No chciała, żebym... ko... ko... ko... kogoś... – Nie był w stanie się wysłowić. Trząśł się cały.

– Ko? Co ko?

– Kogoś zabił – wyjaśnił.

– Ale jaka ona?

– Moja... hmmm moja wybranka. Ta kobieta, ona...

– Gdzie ona jest? – zapytał Robert, bo i jego włączono do akcji, jako że odrywanie Winicjusza od barierki wymagało męskiej siły i samozaparcia.

– Nie wiem, Boże, nie wiem i nie chcę wiedzieć! Ona miała zęby!

Ogólnie posiadanie zębów, nawet przez kobiety, nie jest niczym strasznym, a może wręcz bywa korzystne, ale tym razem jakoś ten fakt Winicjusza nie cieszył.

– No i co z tego? Większość ludzi ma, śmiem nawet sądzić, że to zaleta.

– O nie, te zęby były jak sztylety...

– A ty się pewnie znów czegoś napaliłeś albo nażarłeś – skwitowała Rita.

– Nie, moje ukochanie! – jęknął mężczyzna, patrząc na żonę takim wzrokiem, jakby była tortem mięsnym ze steków z musztardą nasączonym whisky.

– A ty co taki słodki do urzygu? – zdziwiła się żona, nieprzyzwyczajona do takich spojrzeń.

– Niech mi pan powie, kim ona była.

– Ale...

– No chodzi mi o tę wybrankę, przecież to było dość dziwne, ta wspinaczka, dodam, że naga i jeszcze to podżeganie do zabójstwa?

– Nie wiem. Młoda, ładna, czasami wpadała do mnie, ale tak to nie wiem.

– Za to ja wiem! – burknęła Rita. – To były majaczenia nawalonego zielskiem knura. Tym była! O!

Wiktor popatrzył na Roberta, ale ten tylko wzruszył ramionami. Żaden nie był pewien, co i jak się tutaj stało.

Kiedy już odtransportowali żywego i nieuszkodzonego Winicjusza w rodzinne pielesze, przyszedł czas na przesłuchanie.

– Nie chciałam się w to mieszać – wyjaśniła Maryla, licząc, że to wystarczy.

– Nie tak szybko, pani matka podobno tu mieszkała?

– Tak, mieszkała tu, w tym hotelu, ja jakiś czas też w sumie, ale nie wtedy. Wtedy to ja miałam już dwadzieścia lat i pracowałam w rybiarni. Mieszkaliśmy niedaleko, rodzice mieszkanie w bloku dostali, teraz siostra tam mieszka.

– No dobra, ale coś więcej?

– Wracalam wtedy do domu, ale to wie pan, to była głośna sprawa, ta kobieta...

– Tylko dlaczego nie powiedziała pani, że pani ją znała?

– Nie znałam, a właściwie wszyscy ją znali, ona naprawdę się puszczała. Wiem, że chciała się za Winicjusza wydać, ale on nie bardzo był chętny. Choć była prześliczna.

– No to dlaczego nie chciał?

– Bo ona się specjalizowała w marynarzach. Z kilkoma się wodziła, nawet z jakimiś lewymi typami miała do czynienia. Z przestępcami, gangsterami w ogóle!

– Ale zaraz, zaraz? Powiedziała pani, że to była pani, ale nie całkiem? – rzucił Winicjusz, nagle przypomniawszy sobie niedawną rozmowę.

– Bo tam była jeszcze Alberta.

– I to ona mordowała?

– Nie, ona była na dole, więc chyba nie, na górze była inna kobieta, teraz myślę, że to mogła być Ernestyna.

– A Zośka?

– Nie wiem. Nie widziałam.

– I nie wie pani, co Alberta wtedy robiła tam na dole?

– Oczywiście, że wiem. Trzymała dziecko.

– Czyje dziecko?

– Tej tamtej... I one wrzeszczały, oddaj to suko, oddaj to suko, bo dzieciaka żywcem zakopujemy! No i potem coś się stało. Ja odeszłam. Nie miałam ochoty na to patrzeć.

– Ale co miała oddać? – zapytała Justyna z oczami wielkimi jak spodki.

– Nie wiem...

– Wie pani... Wiem, że pani wie!

– Nie wiem, ale podejrzewam, że mogło chodzić o dolary. Wtedy były bardzo cenne, a ona z tymi marynarzami to takie rzeczy, że mogła mieć.

– Czyli ktoś ją szantażował?

– No i chyba ona wtedy spadła. Niechący chyba...

– A dziecko?

– Krążyły słuchy, że poszło do domu dziecka.

– Ile miałyby teraz lat?

– Nie wiem, ale koło trzydziestki. Trochę ponad.

– Mogło się dowiedzieć i przyjechać zabić Ernestynę?

– Mogło, ale to trochę bzdura. Po co?

– Kto jeszcze mógł coś wiedzieć?

– Nie wiem, ale kilka osób na pewno, bo jak był ten zjazd i kible się zapchały, to dużo się rozmawiało pod łazienką, wiadomo, jeden jedyny kibelek za kuchnią, nawet tych dwóch chłopaków tam chodziło. I te dziewczuchy, a stamtąd wszystko było słyhać, no i Ernestyna cały czas na czatach stała, każdy mógł ją rozpoznać, Albertę mniej, bo się nie pokazywała.

– A może to chodziło właśnie o pieniądze?

– Ale jeżeli chodziło o pieniądze i to dopiero teraz... To wszystko jest nie tak!



– W ogóle wszystko jest nie tak! Wszystko dokładnie! To przecież... Nie, to nie może chodzić o to, co się stało...  
– Ha, ha – Justyna się skrzywiła – czyli może chodzić o to, co się nie stało?! Jak ty to sobie wyobrażasz? – Roześmiała się złośliwie.  
– No właśnie tak! Masz rację! Chodzi o to, co się nie stało!  
– A co, do cholery, się nie stało?! Nie wylądowali kosmici, tak?  
– Oj ty romantyczko jedna! – powiedział ze śmiechem Wiktor. – Nie znaleziono pieniędzy!  
– Mogły zostać wydane.  
– Nie za bardzo. Ktoś by to zauważył.  
– No to zgniły?  
– Fakt. Nie mogły zgnić. Czy ktoś tu nie chciał przypadkiem wysadzić tego dziwnego pomnika? I co tam było z tym woreczkiem w kanalizacji?

\* \* \*

Robert i Łukasz przynieśli sprzęt i robili pomiary pod pokojem Winićjusza, to znaczy pod tym na drugim piętrze, gdzie usiłowała go przelecieć jakaś zjawą, jak sobie to wyobrazili, bo do prywatnych apartamentów nikt im wejść nie dał, zresztą nie chcieli. Duchy między wanną a umywalką się nie pałętają, a już na pewno nie grzebią w garach. Z jednej strony łóżka hotelowe je nęcą, a zwykle domowe jakoś mniej, chyba chodzi o natężenie zwyczajności.

Łukasz nawet chciał znaleźć na Allegro odpowiedni miernik, do mierzenia natężenia zwyczajności, ale mu się nie udało i problem zwyczajności musiał zostać pominięty w badaniach.

Wiktor i Justyna poszli się ubrać i ruszyli na zewnątrz obejrzeć pomnik. Nie było w nim nic fascynującego, wyglądał jak zwalone na kupę kilka palet niepotrzebnych kamiennych klocków, których nie było gdzie składować i wcale niewykłuczone, że tak właśnie było, a gdyby nie plakietka z nazwą, to naprawdę trudno byłoby uznać to za pomnik.

– Muszę jeszcze coś sprawdzić – stwierdził Wiktor – ale pewne rzeczy zaczynają mi się układać w głowie.  
– Na przykład jakie?  
– Że być może to wcale nie Zośka miała być celem, tylko Alberta?  
Justyna pokręciła głową z niedowierzaniem.  
– A ja mam inny pomysł: jeżeli wtedy Alberta tam była z jakimś dzieckiem, to może ona też była winna? Może brała udział w tamtym morderstwie? Może to ona chciała zabić Ernestynę?  
– Bo?  
– Bo pomyśl, ona spadła z okna czy z dachu?  
– Teraz to już mam mętlik w głowie. Chyba z dachu... A może...  
– Czyli Ernestyna chciała się czegoś dowiedzieć? Tak? I zakładamy, że się nie dowiedziała?  
– No tak właściwie należałoby założyć.  
– A jeżeli się dowiedziała? To Alberta mogła mieć do niej pretensję i chcieć swojej działki. – Justyna była pewna swego.  
– Po tylu latach? Nie, nawet dolary tracą na wartości. Czasami nawet bardzo.  
– A jeżeli to właśnie Alberta zabiła Ernestynę? I Zośkę? Mogła, miała możliwość, jest możliwe, że miała motyw, była na miejscu. – Justyna trzymała się swojego.  
– I co jej z tego przyszło?  
– A cholera ją wie? Może wydusiła z Ernestyny jakąś wiedzę na temat pieniędzy? Albo Ernestyna ją szantażowała?  
– No weź, bez sensu! Raczej odwrotnie!  
– Tak? To zupełnie nie wiem, po co ktoś miałby ją zabijać! – krzyknęła dziewczyna.  
– I właśnie o to chodzi, nie podoba mi się to. Coś przeoczyliśmy, coś ważnego. Muszę jutro coś sprawdzić.  
– Zakładałam, że pomnik?  
– No właśnie – odpowiedział Wiktor z nieprzeniknioną miną – ale też Lenę. Czy nie uważasz, że to dziwne? Ta kobieta przyjeżdża tu od lat do siostry, a ani razu się nie wygadała, że siostra jest na cmentarzu. I na dodatek ta dziwna awantura z Winićjuszem.  
– To akurat moim zdaniem przekręt.  
– Jaki znowu przekręt?  
– Taki, że Duchacze włączyli swoją pieprzoną maszynę do robienia ludziom wody z mózgu, a facet się upalił i napalił, i odjechał.

Z hotelu wyszło kilka osób, dość pobieżnie ubranych, bo po ognisku jeszcze się nie rozebrali całkowicie, ale już pozucili czapki i szaliki, a kurtki mieli porozpinane.

– Nie masz racji – oświadczył Maks. – To nie są nasze projekcje, coś tam naprawdę się pojawiło, wszelkie mierniki pokazują, że jest tam jakiś duch, a to przy ognisku też nie wyglądało na projekcję, są zimne punkty, jest nawet jakiś cień na zdjęciu, ale tego to nie uda nam się jakby uprawomocnić, bo zaraz każdy powie, że fotoszopka. No i wiesz, co jak co, ale projektory nie potrafią robić takich sztuczek ze światłami, no i nie wydadzą dźwięków.

– Niemożliwe! Przeście mnie straszyc! – jęknęła prateściowa Winicjusza. – Ja nie mam siły na takie rzeczy!

– Kiedy my nikogo nie straszymy, to tylko stwierdzenie faktu, ktoś tu jest.

– No ogólnie, wszyscy tu jesteśmy. – Maryla parsknęła śmiechem.

– Myślałem o kimś niematerialnym – wyjaśnił Maks. – To po prostu jakaś duchowa obecność.

To zrobiło na wszystkich wrażenie.

– Ja pierdołę, ja pierdołę, ja... Szlag mnie zaraz trafi! – wrzasnęła staruszka i padła zemdlnona, ale po chwili leżenia jakoś chyba jej się ten stan nie spodobał, bo wstała, wcale nie z trudem, i z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki.

– Mamo, co ty wyprawiasz? – jęknęła Marianna i pobiegła za matką. Wkrótce potem za nią ruszyła Rita.

Wszystkie trzy teraz po sprawie z Winicjuszem trzymały się razem, bo jednak hotelarz hotelarzem, mąż jest, jaki jest, trudno, ale wariat to coś o wiele gorszego.

– Nie uciekaj! On na pewno im zapłaci! – krzyknęła Rita za babcią.

W tym momencie Justyna palnęła się w czoło.

– Słuchaj, to może być prawda. Może Winicjusz jakiś układ ma z Duchaczami?

– A z wami nie może mieć?

– No może, ale my nie mamy aż takiego sprzętu.

– Ale o co chodzi z tym układem?

– No bo jemu może chodzić o to, żeby albo kogoś wystraszyć, albo przyciągnąć, duchy po to są, prawda? Wystrasz rodziny, przyciągnie turystów i pieniądze sypną się jak trzeba.

– Tylko że te durne duchy do niczego nie pasują! – krzyknął Wiktor, załamany. Dotychczas miał do czynienia ze sprawami o wiele mniej dziwacznymi. Ktoś kogoś dźgał, ktoś komuś coś obcinał, urywał, kradł albo zawłaszczal i było jako tako, wszyscy ci, co to robili, mieli ciała, co do dusz, to trudno się wypowiadać na ten temat, ale podobno mieli, tyle że te dusze były w środku, w nich, a nie w hotelu. Każda rzecz do czegoś pasowała, nóż do rany, ślady opon do samochodu, oberwana głowa do reszty ciała, a tu nic się nie zgadzało.

– I co ma do tego jakaś pieprzona kanalizacja? – dodał po chwili. – Rury mnie zupełnie nie interesują.

– A kto wie, czy nie powinny? – zapytała Justyna. – Może to gdzieś tam ktoś coś schował? Ha! Czy wiesz, że Waldus jest hydraulikiem?

– Ja nawet nie wiem, o jakiego Waldusia chodzi. O ile pamiętam, żaden tu się nie kręci. To ciec?

– Nie, to mąż Ernestyny!

– A co ma mąż...

– No bo zobacz, może ona to tam upchnęła? Przyjechały baby, zatkało się, trzeba było wyciągać, ktoś coś lapnął i wyszło, że są jakieś skarby po zamordowanej?

– Rury? Niemożliwe! Ty masz rację! Rury! – zawołał Wiktor i pobiegł do siebie do pokoju. – Muszę coś sprawdzić.

Teraz Justyna była zaszokowana, bo owszem, pomysł wydał jej się niezły i nawet logiczny, ale nie aż tak, żeby wywołać w Wiktorze aż taką zmianę.

– Ale przestań, teraz pewnie już nic tam nie ma!

– Jest, jest, z pewnością jest, gówno – podsumowała ze śmiechem Oliwia.

– O, to to na pewno – potwierdziła Kaśka.

Wiktor wrócił nawet zadowolony.

– I co? Dowiedziałeś się czegoś?

– Nie, jeszcze nie mam odpowiedzi, ale wygląda na to, że Ernestyna miała we krwi spore stężenie ziola i wódki. A to znaczy, że po wydaniu wigilii wcale nie poszła do domu, tylko wróciła do hotelu i poszła sobie zapalić. Mogła to zrobić akurat w tamtym pokoju.

– No i co? – Justyna chciała więcej wiedzy.

– Może zasnęła? – Wiktor wzruszył ramionami, co ostatnio zdarzało mu się niestety często.

– W tapczanie?

– No, nie... Chyba nie – mruknął. – Dobra, wytłumaczyłaś mi sprawę kibelkową, ale co z duchami?

Tego akurat wytłumaczyć za bardzo się nie dało. Nie chodziło o duchy jako takie, bo tymi Wiktor nawet nie mógł, nie tylko nie zamierzał, się zajmować, ale o to, co te duchy, o ile zostały w jakiś sposób wyprodukowane, mogły komuś dać.

– Pominąwszy panikę i jakieś drobne omdlenia, to tylko Winicjusz mógł skorzystać, a tak, czy ja wiem? My?

– W jakim sensie ja miałbym na tym skorzystać? – zdziwił się Wiktor. – Wesele szlag trafił, imprezować nie mogłem, co prawda krwi na ścianach brak, ale liczyłem na urlop.

– Nie o tobie myślałam, ale o nas, o łowcach duchów, w sensie, że zarabiamy i my, i Duchacze. To wielka rzadkość w tej dziedzinie nauki.

– Nauki? Nie rozśmieszaj mnie – warknął Maks. – To nie jest nauka, tylko sztuka! Wiem, wiem, wy z tego chcecie Nobla dostać, ale dla nas liczą się ścianki, a nie jakaś pieprzona nauka, tytuł naukowy jeść nie daje, w każdym razie nie tak porządnie jak my potrzebujemy!

Nierzadko zdarza się, że jedna i ta sama dziedzina jest odbierana na dwa całkiem odmienne sposoby. Dla jednych jest sprawą poważną, dla innych rozrywkową. I na ogół dochodowa jest jedynie dla tych drugich.

– Jak często wam się to zdarza?

– Że nas ktoś wynajmie? Nigdy, pierwszy raz udało się załatwić coś takiego, choć początkowo nie byłam zachwycona, powiem uczciwie, że nie żałuję.

Wiktor osobiście się z tego wyznania bardzo ucieszył, choć też trochę go zmartwił fakt, że Justyna jakoś tak za bardzo nie przejęła się tymi morderstwami.

\*\*\*

Rano wszyscy wstali nieco zmęczeni po wczorajszym. Karolina od rana kotłowała się w kuchni i śniadanie zapowiadało się nadzwyczaj dobrze.

Wczorajszy wieczór i noc w domu z teściową dały jej w kość nawet bardzo, ale było i tak lepiej niż kiedykolwiek, bo teściowa trochę spuściła z tonu. Albo zrozumiała, jakie ciężkie życie ma jej synowa, albo była zbyt zmęczona na awantury.

Cokolwiek to było (a najpewniej jednak było to to drugie), to i tak Karolina była zadowolona.

Wiktor zniknął i tylko jego tymczasowi podwładni wiedzieli, gdzie jest.

– Wyjechał do miasta coś sprawdzić – oświadczył Alojzy. – Powiedział tylko, że mamy pilnować tej Leny i nic nikomu nie mówić.

– To po co mi powiedzieliście? – zainteresowała się Justyna.

– No bo pani kazał, ale tylko pani. Ma wrócić wieczorem, ale nie wie dokładnie kiedy.

Powrót Wiktora nie był jej za bardzo potrzebny, wieści za to pożądała bardzo.

– To znaczy jak mamy tej Leny pilnować? – zapytała, czując, że i ona do tego pilnowania ma się przyczynić.

– No zwyczajnie, tak jak zawsze, patrzeć, gdzie idzie, co robi, z kim rozmawia.

– To znaczy, mamy ją śledzić? – Justyna nie była policjantką, więc pewne rzeczy nie były dla niej całkiem proste.

– Nie, śledzić nie, tylko pilnować.

– To znaczy jako potencjalną ofiarę czy morderczynię?

– Nie mówił, ale to chyba wszystko jedno...

Jako ofiara Lena była łatwa do zabicia i tym samym trudna do uratowania, a więc do upilnowania. Chodziła wolno, była mrukliwa i skryta, pilnowanie jej było skomplikowane, jako morderczyni wcale nie była lepsza, a co za tym idzie, mogła wymordować pół hotelu, zanim ktokolwiek by się zorientował.

Wszyscy chodzili dość sennie i niemrawo, teraz właściwie to czekali już tylko na sylwestra, bo był w cenie, no i na policję, która ewentualnie pozwoliłaby im z niego zrezygnować. Niby ciekawość zawsze zwycięża i może nikt by nie wyjechał, bojąc się, że ominą go ciekawe wydarzenia, jakich w swoim zwyczajnym życiu nie mógł się spodziewać, ale istnieje ogromna przepaść emocjonalna między nie chcieć a nie móc.

Obiad minął bez żadnych stresujących sytuacji poza tą jedną, że Karolina podała śląską ciapkapustę, która wywołała zachwyty Alojzego i przerażenie całej reszty.

Żółtobura, kwaśna breja w kolorze brudnej ścierki do podłóg nie wzbudziła entuzjazmu, ale że kucharka podała do tego schabowe wielkości koła młyńskiego, wszyscy jej tę breję wybaczyli. Winicjusz chodził za Ritą jak pies rasy mops, tak samo wybałuszał oczy i sapał.

Chyba się bał.

Nie było pewnie czego, ale możliwe, że duchów. Nagle wszystko zaczęło do niego jakoś bardziej intensywnie docierać. Oczywiście życzył śmierci Ricie, to by było ze wszech miar najlepsze, zniknąłby paskudny toból w postaci teściowej i zasuszona mumia w postaci prateściowej, grymaśna żona z wciąż nowymi żądaniami finansowymi i całkowitym brakiem seksu (i sensu) oraz niestety nawet przyciągania, ale wolał, żeby załatwił to los własnymi, a nie jego rękami.

No i te dwa zabójstwa wcale go nie ucieszyły, aż takim psychopatą nie był, ale zamiana Ernestyny na Karolinę i pozbycie się wszechwiedzącej Zośki raczej go zadowoliły.

No fakt, morderca grasował i mógł zechcieć zabić jeszcze kogoś, ale Winicjusz czuł, że jest to ktoś na tyle rozsądny, że policjantów nie ruszy i jego też ominie, a cała reszta naprawdę go nie interesowała.

Nie chciał niczego psuć, bo istniała też możliwość, że ten morderca będzie wysłannikiem losu i na ofiarę wybierze Ritę.

Cóż, pomarzyć dobra rzecz.

– Słuchaj.

Justyna odebrała telefon jeszcze przy stole, za co spotkała ją „oczna” dezaprobata wszystkich dookoła, ale ponieważ dzwonił Wiktor, którego numer już od kilku dni miała zapisany, nie zamierzała się certolić.

– No słucham, słucham – odpowiedziała szeptem. Był dość słyszalny, bo w tym momencie nagle wszyscy przestali jeść, mlaskać i siorbać, żeby lepiej usłyszeć, z kim i o czym rozmawia.

– To dziecko tej Joanny Kenler to był chłopiec czy dziewczynka i kiedy dokładnie się urodziło?

Odpowiedź na to pytanie znać mogła chyba Lena, choć też nie było to pewne. Jakoś dotąd nikomu nie przyszło do głowy, żeby się tym zainteresować.

– Pani Leno? – zwróciła się do siedzącej niedaleko kobiety i dopiero wtedy zauważyła jej całkowity brak.

– Gdzie jest pani Lena?

– Nie wiem, wyszła chyba do łazienki – mruknął posterunkowy Puchacz, bo Alojzy, jego przełożony, był tak zajęty konsumpcją, że nie zwracał na nic uwagi.

– Co się tam dzieje?

– Nic, pani Lena poszła do łazienki – wyjaśniła Justyna, wcale nie taka pewna, ale nie chciała się przyznać, że wszyscy dali dupy. – Zaraz za nią pójde, jak się czegoś dowiem, wyślę ci SMS-a.

Miała zapytać innych o pleć tamtego dziecka, ale się powstrzymała.

Nie chciała w ogóle o nim wspominać, wydawało jej się to jakieś niebezpieczne.

\*\*\*

Lena, nieświadoma chyba tego, że jest pilnowana albo choć powinna być pilnowana, poszła do siebie, ubrała się i niezauważona przez nikogo wyszła z hotelu, choć gdyby się starała wyjść chyłkiem i po cichu, każdy pewnie by ją zauważył, a tak wyszła, nie będąc widziana przez nikogo.

No prawie.

Zauważyła ją Justyna z łazienki, gdzie właśnie jej szukała, sądząc, że kobieta nie poszła do własnej, ale do tej, która była dostępna na parterze dla wszystkich gości.

Stamtąd ją dostrzegła i nie zastanawiając się, pobiegła za nią ledwie ubrana.

Postanowiła śledzić kobietę.

Prawie ją zresztą dopadła na postojach taksówek, ale jak zwykle jedna jedyna w tym momencie taksówka załatwiła sprawę na tyle, że nie było czym za nią pojechać.

Justyna chciała wrócić do hotelu i zastanawiała się, co zrobić dalej, kiedy jakaś inna taksówka podjechała na postój. Nie było szans śledzić poprzedniej, ale Justyna pomyślała, że może Lena pojechała na cmentarz.

Tylko że o ile to było możliwe, to jednak nie było całkowicie pewne.

A jednak szczęście jej dopisało, bo kiedy jechali w kierunku, w którym, jak sądziła, udała się Lena, Justyna zobaczyła kobietę wysiadającą ni mniej, ni więcej, tylko pod bazarem.

W tym momencie bazar jako bazar był już nieczynny, ale otwarty niedaleko chiński market kuśił oświetlonymi oknami witryn.

Justyna też wysiadła, ku niezadowoleniu taksówkarza, bo kurs mu się zrobił za krótki, zapłaciła i ruszyła za Leną, nie za bardzo dosłownie, ale tak, żeby kobieta jej nie zauważyła, co ułatwiało jej laska, bo postukiwanie sprawiało, że łatwo ją było odnaleźć pośród pólek i obserwować zza odblaskowych bluzek, szablonek pluszaków Huggy Wuggy i wszystkich tych dziwnych rzeczy, których było tam pełno. Justyna z przerażeniem zauważyła, że są tu nie

tylko sztuczne pośladki, penisomajtki, ale i sztuczne waginy, o sztucznych biustach nie wspominając, niektóre nawet grały jakieś melodyjki.

Biusty, melodyjki... Po naciśnięciu na sutek.

*Hardcore.*

Lena wzięła koszyk i poszła do działu z gospodarstwem domowym, pełnego wszystkich tych dziwnych rzeczy, których nikt nigdy nie potrzebuje, choć każdy chyba kupuje. W końcu maszynka krojąca jajko na twardo w urocze spiralne kluski jest ciekawa, nawet jeżeli nie działa.

Lena kupiła tasak i dwa wielkie noże, jeden z piłką, który wyglądał jak nóż do chleba, drugi chyba rzeźnicki.

Justyna oczywiście nie wiedziała, po co ta kobieta kupiła akurat te rzeczy, ale nie sądziła, że to jest coś na prezent albo do zabrania do domu.

Zadzwoiła do Wiktora, nie chcąc wzbudzić zainteresowania Leny, która właśnie zdejmowała plastikowe zabezpieczenia z noży i tasaka, tak żeby były gotowe do użycia, i wyszeptała do aparatu:

– Słuchaj, o dzieciaku nic nie wiem, ale ona kupiła dwa noże i tasak.

– Dobra, pilnuj jej, ja powinienem być za jakieś pół godziny – powiedział chyba nie za bardzo przejęty tym morderczym arsenałem, za to ludzie którzy stali koło Justyny, przejęli się bardzo, bo jeżeli w jednej rozmowie pada słowo dzieciak oraz nóż i tasak, to wyobraźnia, a właściwie zbiorowe medium, jakim się stała wyobraźnia po wynalezieniu Facebooka, zaczyna tworzyć naprawdę odjechane rzeczy.

„Uwaga, starsza kobieta – pisząca jednak wykasowała słowo starsza, bo skłaniało do współczucia, zostało więc – uwaga, kobieta z nożem i tasakiem zabija dzieci, pilnujcie maluchów”. Do postu została dołączona fotka ze sklepu z tym niewątpliwie kuchennym żelastwem i zdjęciem Leny, ale z zasłoniętą twarzą, bo nikt nie chciał przecież mieć kłopotów sądowych, każdy chciał tylko spełnić obywatelski obowiązek, ostrzec ludzi i zasiać panikę.

W tym samym czasie na FB pojawiło się kilka podobnych postów, bo kilka osób będących w sklepie wpadło na ten sam pomysł. Ludzie teraz nie tyle szukają okazji do zaistnienia, ile sami je tworzą. Jeżeli nie ma się smykałki do czegoś takiego, nie ma szans na wielką karierę, bo powtarzać wielkich nie można, nie dlatego że zakaz, ale pewne rzeczy są niepowtarzalne, choć inne znowu wchodzą w modę tak bardzo, że aż wszystkich denerwują, dziewczyna sprzedająca własne pierdy? Badania USG online? Wypróżnienie na oczach widzów... Co prawda to ostatnie to jednak reklama czopków, ale ktoś na to wpadł i na tym zarobił, a tu okazja pchała się w ręce sama.

Domniemana morderczyni, coś, co można by nazwać górnolotnie narodzinami kolejnej smakowitej legendy miejskiej, takiej swojskiej, miejskiej „czarnej wołgi”, poszło w świat, nie każdy dodał lokalizację. Udostępnień były setki, potem tysiące.

Lena, nie spodziewając się swojej roli społecznej, wyszła ze sklepu, stanęła przed nim i rozejrzała się po ciemnych już ulicach miasteczka. Albo miała zamiar się przespacerować, albo zapomniała telefonu, w każdym razie ruszyła w stronę cmentarza, co Justyny nie zaskoczyło, a resztę bardzo. Porzucili swoje zakupy, jakieś wałki do ciasta z motywem renifera, zielone peruki i inne dziwne przedmioty, które zamierzali kupić, i ruszyli za Leną, robiąc jej zdjęcie.

Lena z oddali nie była odpowiednim obiektem do fotek, mała, kulawa i stara wywoływała jednak trochę współczucia, a nie o to przecież chodziło, no i nie wymachiwała nożem, to jednak zostało załatwione przez jednego z młodszych ludzi z tłumu, który na szybko nóż do zdjęcia jej dodał.

Była to dość ciekawa procesja. Najpierw powolutku szła Lena, wcale się chyba nie spiesząc i nie stresując, za nią Justyna, przeskakując od załomu do załomu i od drzewa do drzewa, byle się ukryć, za nimi zbity tłumek, który zachowywał się całkowicie bezsensownie: to gnał za nimi, to przystawał i się rozpraszał, to znów gęstniał i pęczył.

Brama cmentarza, oczywiście otwarta, dała wszystkim doskonałe alibi, bo nagle wszyscy zaczęli udawać, że właśnie odwiedzają groby zmarłych, choć w rękach mieli tylko telefony zamiast kwiatów i świeczek.

Lena skręciła w jedną z alejek i oczywiście udała się na grób siostry.

Uklękała przy grobie, z trudem, co prawda, ale uklękała, wyjęła tasak oraz noże i powoli, z dość sporym samozaparciem zaczęła nimi po kolei przesuwać po grobowcu.

– Aaaaaa! – wrzasnęli (ale po cichu) wszyscy obserwujący to z dala i z bliska, po cmentarzu poniosło się dość niepewne echo tego okrzyku, które można było wziąć za jęk z zaświatów.

– Co pani wyprawia za tym nagrobkiem, pani Justyno? – W końcu, nie podnosząc głowy znad tego, co robiła, odezwała się Lena.

Justynę zamurowało.

– Ja to ja, ale pani?

– No co? Aż taka dobra z tego łapania duchów nie jesteś, prawda? – Lena odpowiedziała pytaniem na pytanie wcale nie speszona.

– A co to ma do rzeczy?

– To ma do rzeczy, że ona tam naprawdę jest. – Lena skinęła głową w stronę dość odległego w tej chwili hotelu.

– Znaczący kto? – Justyna mimo pewnych skłonności do mistycyzmu stąpała twardo po ziemi.

– Joanna, moja siostra. Ona ich wszystkich morduje. To musiała być ona. Dziś zamorduje pewnie kogoś jeszcze. Trzeba ją powstrzymać, a tylko takim nożem, naostrzonym na jej własnym grobie, będę mogła ją unieszkodliwić.

– Ale skąd pani wie, że dziś?

– Czuję to w kościach...

– A czuje pani, kto to będzie? – Justyna wykrzywiła się zgryźliwie, ale ona też czuła, że coś może się zdarzyć.

Jęki ostrzonych narzędzi mroziły krew w żyłach, po naostrzeniu noża rzeźnickiego i tasaka Lena zabrała się do tego do chleba, ale nieoczekiwanie pękł.

– Aaa – jęknęli wszyscy dookoła, przyglądając się jej manewrom. Jęk znów rozległ się z różnych stron i zakamarków cmentarza, zagłuszony strachem i cichy jak westchnienie strachu.

– Paskudny, chiński szajs – stwierdziła Justyna dość głupio. – Tam nie sprzedają porządnych rzeczy.

– To nie wina chińskiego szajsu, to Joanna! Ona złamała ten nóż, nie słyszysz, jak jęczy?

Justyna, która zdawała sobie sprawę z obecności tłumy gapiów, zrewidowała pewne poglądy.

Lena, przecież to ona, chce kogoś zamordować. Jezu, muszę zawiadomić Wiktora! – pomyślała, po czym zadzwoniła do Alojzego, żeby dyskretnie podjechał pod cmentarz jakimś prywatnym samochodem, może nawet pożyczonym od Roberta, żeby odwieźć je obie do hotelu i pozbyć się gapiów, bo tłum rósł, wzywany coraz to nowymi rewelacjami.

Odgłosy wydawane przez telefony w czasie pstrykania zdjęć rozbrzmiewały dosłownie zewsząd.

Na FB pojawiły się posty o ostrzeniu żelastwa, które zbierały tsunami serduszek i udostępnień. W końcu kobieta szykowała się do mordowania.

– Jasne, załatwię to! – obiecał Alojzy.

– Idzie pani? – zapytała Justyna, pomagając staruszce wstać. Wyszły przed bramę, właśnie w chwili kiedy zajeżdżał pod nią radiowóz na sygnale i światłach.

– Szybko i dyskretnie – stwierdził posterunkowy Puchacz.

Justyna o mało go nie zabiła.

Znów poszło kilka postów na Instagrama o aresztowaniu i powątpiewania co do tego, dokąd kobieta zostanie odwieziona.

– Wracajmy do Astorii, kolację dają – powiedział dość głośno policjant, odwrócił się, zlustrował Lenę – i niech pani wyjmie zza paska to cholerne żelastwo, bo jak podskoczę na jakimś wyboju, to sobie pani macię amputuje czy co tam pani ma!

Tłum pod cmentarzem posępnie spojrzął za odjeżdżającym radiowozem i ruszył za nim biegiem. Na dźwięk i na światła, oraz na to, co powiedział kierujący nim posterunkowy.

– Wiozą ją tam! Nawet jej nie rozbroili!

– Musi być niebezpieczna!

Tłumowi oczywiście brakowało widel i pochodni, ale reszta się jakby zgadzała. Mieszkańcy miasteczka szli pokonać potwora, którego sami stworzyli.

\*\*\*

Wiktor już na nich czekał w jadalni.

Noc zapadła już wieczorem, a jeżeli to stwierdzenie jest dla kogoś nielogiczne, powinien wyrzeć za okno. Było ciemno. Padał śnieg, taka brzydka śniegowa kruszonka, która nie była w najmniejszym stopniu romantyczna, lecz tylko mokra i zimna.

Ludzie kończyli kolację i sennie rozglądali się dookoła.

– Mamy to! – wrzasnęła Oliwia, która wpadła z Kaśką i sprzętem do jadalni; nie wiadomo, czy były już po kolacji, czy jeszcze nie jadły, ale widać było, że są podekscytowane. – Patrzenie!

Przerzucili coś na telefon ze swojego sprzętu i pokazały zainteresowanym, to znaczy tym, którzy mieli coś wspólnego z duchami, reszta też była zainteresowana, ale nikt nie był w stanie się dopchać, bo ekranik był maleńki.

Na filmie szalała jakaś zjawia.

– To lejkwaty! – oświadczyła Oliwia.

– Czyli? – zdziwił się ktoś z obecnych.

– To wir, lejek to ktoś ukochany albo były mieszkaniec, pojawia się jako wirująca spirala światła! – wyjaśniła Oliwia pewnym, nawet profesjonalnym głosem, nikt nie widział, że czyta to, co znalazła w Internecie.

– Czyli dokładnie kto to jest?

– To Joanna – oświadczyła Lena – to znaczy twarz, reszta jakby grubsza i wije się, ale nie wiadomo, jak tam z tym jest po śmierci, to znaczy z odchudzaniem, tyciem i tak dalej.

– No przecież nie utyla po śmierci? – zapytała zdziwiona tematem Kaśka.

– Mogła, nigdy nic nie wiadomo. – Lena była pewna swego.

– O szlag! – jęknęła Kaśka. – Myślałam, że po tamtej stronie odchudzanie nie będzie konieczne.

– Muszę ją zlikwidować – stwierdziła Lena, łapiąc się za pasek, za którym nadal miała swoją broń. – Joanno, gdzie jesteś! Pokaż się, ty wredna suko!

Te słowa wszystkich jakoś zaszokowały. Większość optowała za stwierdzeniem, że o zmarłych albo dobrze, albo wcale, a do zmarłych po prostu nie wypada tak się odzywać.

– Pani Leno, da pani spokój, to jakiś wyglup – stwierdził Wiktor.

– Jak pani nie wstyd – mruknął Maks – przecież to pani siostra!

– A tobie co do tego, gówniarzu?! – Lena stawała się coraz bardziej waleczna, żeby nie powiedzieć wojownicza. Takie staruszki bywają nieobliczalne, bo nie mierzą sił na zamiary, a to potrafi być niebezpieczne.

Justyna odciągnęła Wiktora na bok, ale niewiele jej powiedział.

– Nie dokopałem się do tego, czego potrzebowałem, wiem tylko, że ktoś może próbować kogoś zabić.

– Lena czy Lenę?

– Obie możliwości są prawdopodobne. Albo Alberta Lenę ze strachu przed zemstą, albo Lena Albertę z zemsty.

– No a Joanna?

– Słuchaj, nie wierzę w duchy, w każdym razie nie w takie. Tu coś jest nie tak. Z jednej strony ta kobieta twierdzi i pokazuje, że siostry nienawidzi, a jednak przyjeżdżała tu kilka razy w roku? Latała na grób? Udawała, że siostra żyje? Nic nie wspomniała o tym, co się wydarzyło? Nie uważasz, że to nienormalne?

I to było nienormalne, nawet bardzo.

– I teraz – ciągnął Wiktor – jakby nigdy nic wyzywa ją od suk?

To też nie pasowało. Lena była kobietą w takim wieku, że raczej powinna hołdować pewnym zasadom. Owszem, była upierdliwa, ale z tą siostrą to jakoś dziwnie wyszło.

– Słuchaj, a jak Lena ma na nazwisko?

– A nie wiem, jakoś tak odzwierzęco. Kozioł czy Koziołek chyba.

– Po mężu?

– Nie, chyba wspominała, że jest panną.

– Czyli siostra była Kenler po mężu?

Justyna roześmiała się nawet szczerze.

– Teraz to tak nie działa, kiedyś owszem, było to dość proste, ale teraz można być z jednej rodziny i nie nosić tego samego nazwiska, można być po mężu i nazwiska nie zmienić albo nawet zmienić sobie tylko dla własnej przyjemności.

– Wiesz, że ty masz rację? – Wiktor aż podskoczył. – Jasne, że masz rację! Można być z tej samej rodziny i mieć inne nazwisko albo odwrotnie.

– Czyli być z tej samej i mieć to samo? To raczej żaden cud.

– Nawet nie wiesz, jaki to cud! Chodźmy na zewnątrz, ci ludzie pod hotelem zaczynają mi grać na nerwach.

Ludzie pod hotelem jak prawdziwy spontaniczny tłum, o którym pisał kiedyś Terry Pratchett, zaczęli się organizować. Wprawdzie nadal nie mieli wیدهł i pochodni, ale rozpalili przytасzczone skądś koksowniki i grzali się przy nich, popijając.

Nie rozpalali ognisk, bo ogniska są radosne, a oni chcieli być mrocznym tłumem.

Koksowniki, śnieg i wódka dodawały tłumowi nie tylko mroczności, ale i odwagi.

– Co zrobiliście z morderczynią? – rzucił w Wiktora jeden z bardziej zaopatrzonych w płynną odwagę tłumowiczów. Trudno ich jakoś było nazwać, bo tłum to tłum, więc jak? Uczestnik tłumy? Bez sensu.

– Z jaką morderczynią?

– Tą, co porwała dzieciaka i go rozczłonkowała.

– A potem zjadła – dodał drugi.

Plotka powędrowała dookoła miasteczka, obrosła szczegółami i teraz Lena jawiła się wszystkim jako morderczyni kanibalka, która jest z jakiegoś powodu hołubiona przez policję.

– Ona te dzieci to tak na krew porywa? Tak jak dla tych angielskich arystokratów i oni się nią żywią i młodnieją, tak?

– Nie znam żadnych arystokratów – odburknął Wiktor, nie będąc pewien, co powinien mówić, a czego nie. Tego typu tłumy nie kierują się logiką, a on nie chciał rozruchów.

– No bo ona to pewnie dla kogoś stąd, może burmistrza?

– To ten wasz burmistrz pije krew? – zdziwiła się Justyna.

– O pani! – odpowiedziała jedna z bardziej pijanych tłumowiczek. – Jak nic pije! On jest weganinem, to mu witaminy są potrzebne! Dla odmłodnienia.

Dyskusja z takimi tezami mija się z celem, trzeba wierzyć, że po wytrzeźwieniu choć częściowo zanikną, a jeżeli nawet nie, to skryją się za zasłoną wstydu.

– Dawać ją! – wrzasnął ktoś z tyłu.

– Dobra, idę po nią – oświadczył Wiktor, kierując się w stronę hotelu.

– Tylko broń jej zabierzcie.

– No bo przecież ona może nas zaatakować.

– Jest niebezpieczna!

– Krwawa!

– Ona nas wymorduje! – zawołał ktoś i natychmiast zaczął uciekać.

Jest to rodzaj bohaterstwa, które cechuje takie tłumy. Szybko znika.

Kiedy Wiktor doszedł do drzwi hotelu, na podjeździe zrobiło się pusto, z daleka widać jeszcze było trzy czy cztery osoby ciągnące koksowniki na sankach, ale tak nastał idealny spokój.

– Chodź, napijemy się grzańca, z tyłu zrobili ognisko! – zawołał Wiktor i zamiast wejść do hotelu, okrążył go z prawej strony, idąc pomiędzy koszmarnym pomnikiem a nie mniej paskudnym budynkiem.

– A wiesz, że tu był kiedyś klomb? – Justyna wskazała na pomnik. – Jakiś idiota potem postawił tu to paskudztwo.

– Takie były czasy.

– No wiem, ale wolałabym chyba klomb.

– Tylko że wiesz, klomb trzeba ogarniać, plewić, ozdabiać, to znaczy, że to po prostu kosztuje, a ta szkarada może stać i stać.

– No właśnie. To mnie coraz bardziej ciekawi i ta Lena, hmmm? Jak jej tam było?

– Koziołek. Nazwisko jak nazwisko – roześmiała się Justyna

– Nie całkiem – odpowiedział Wiktor, grzebiąc w telefonie. – Kociołek! Ona nazywa się Kociołek.

– Co to zmienia?

– Wierz mi, że wszystko!

\*\*\*

Ognisko było zdecydowanie niemrawe. Z jednej strony siedział Maks z dziewczynami od Duchaczy, z drugiej Łukasz i Robert. Weselnicy zdążyli wytrzeźwieć, ale byli tak skacowani, że tylko pili, nie odzywając się, Lena siedziała ze swoim sprzętem, a Maryla Kotowicz i jakimś cudem obecna na ognisku Alberta, co trochę dziwiło, poszeptywały coś między sobą.

Policjanci, to znaczy wszyscy trzej plus Justyna, siedzieli też oddzielnie i tylko obserwowali, co się dzieje. Wiktor popijał grzańca, ale jakoś mu w kubku nie ubywało, co sprawiło, że Justyna zaczęła mu się przyglądać. Wyraźnie udawał, że pije.

Spodziewali się najgorszego.

I nadeszło.

To znaczy nie stało się nic, nuda tak wszystkich zmordowała, a nuda jest przecież najgorsza, że chcąc nie chcąc, rozeszli się do swoich pokoi.



Jeszcze tylko na chwilę ognisko odwiedził korowód właścicieli. Winicjusz, słaby, drżący i blady jak ściana w towarzystwie żony i jej rodziny podeszli do ogniska, postali chwilę i ruszyli z powrotem.

– To co z tym duchem?

– To znaczy?

– Dacie nam certyfikację? – zapytał z wahaniem właściciel hotelu.

– My damy! – oświadczył Maks pewnym głosem. – Mamy wszystko sfilmowane, choć nie było tego dużo, ale na certyfikację wystarczy. Będzie miał pan tu tłumy gości.

– I tego się obawiam – jęknął Wiktor.

– Czego?

– Za dwa dni sylwester. Moglibyście na razie nie wpuszczać tego do sieci? Obawiam się...

– Już wpuściliśmy! – zawołał Maks. – Bałem się zakazu, to nie czekałem. Bo u was to zawsze tak. Nie teraz, nie jutro, może kiedyś, wolałem załatwić to, zanim ktoś mi czegoś zechce zabronić. Poza tym chciałem być pierwszy, bo jak DrDuch walnie swoją certyfikację, to zaraz nasza zniknie.

– A da? – zapytał Wiktor.

– Nie, nie da. – Robert się roześmiał. – Co wy, to jakaś żalosna mistyfikacja, nie popieramy takich zachowań. Nie, zaraz by się wszyscy zaczęli zabijać o gówniane duchy z pieprzonych projektorów, wstydziłibyście się! – wypalił pod adresem Maksa.

– Nie są z projektora. Na sto procent. Nie był w ogóle włączany!

– To skąd się wzięły?

– To Joanna! – wrzasnęła Lena. – To ona!

\*\*\*

Tak się składa, że w pewnych sytuacjach sprawy wymykają się spod kontroli. Nie żeby było to wbrew woli zainteresowanych, bywa też całkowicie zgodnie z ich wolą, choć jakby nie wtedy kiedy trzeba. Wiktor odprowadził Justynę do jej pokoju. Był to ten z odniesieniem do słodkiej lolity. Usiadł na chwilę na jej łóżku, a potem, jakoś tak po pół godzinie oboje się zorientowali, że nie siedzą, ale leżą, że są nadzy i dość poważnie zdyszani. I pewnie by się nawet wtedy nie zorientowali, gdyby nie trzęsienie ziemi.

– Czujesz to? – zapytał Wiktor zdziwionym głosem.

– Czuję i wiesz, jeszcze nigdy z nikim tego nie czułam! – odpowiedziała, zaróżowiona i mocno wzruszona możliwością, że spotkała kogoś, z kim może uprawiać tak niezwykły seks. To naprawdę rzadkość i najczęściej zdarza się w powieściach.

– Ja też nie.

To było i dziwne, i piękne zarazem.

Choć nieco bardziej dziwne niż piękne. Wszystko drżało, okna jęczały, meble nieco podrygiwały.

– Ale żeby aż tak? – zdziwiła się Justyna, bo mimo pewnej dozy romantyzmu wyuczonego na powieściach była też realistką.

– Cholera jasna! – wrzasnął Wiktor, który jakoś szybciej doszedł do siebie po tym niezwykłym, choć dość krótkim seksie.

– No co ci się nie podoba?

– Podoba mi się wszystko, ale hotel się trzęsie!

Trząsł się. Justyna, która brała to za seksualne efekty specjalne, trochę się obruszyła.

– No, nie słyszałaś, że jak jest dobrze, to ziemia się trzęsie?

– Ziemia, ziemia, dziewczyno, ale nie hotel! I nigdzie nie mówili, że meble powinny podrygiwać.

Podrygiwały.

– Szybko!

Ubrał się ledwie ledwie i wyskoczył na korytarz. Nie wiadomo, czy inni uprawiali w tym momencie równie niezwykły seks co oni, ale też to poczuli. Justyna była zawiedziona, widząc na korytarzu wszystkich, włącznie z babcią staruszką.

Dodatkowym kłopotem był brak światła, który został zauważony dopiero po chwili.

Ludzie kotłowali się na parterze w pobliżu wyjścia. Wszyscy zeszli ze swoich pięter po omacku.

A na zewnątrz słychać było coś. Trudno było powiedzieć, co to, ale z pewnością buczało.

Poza tym buczeniem nie było słycać nic konkretnego, no może poza jękami.

– A!... A!... – krzyczał ktoś urywanym chrapliwym głosem.

– To Maryla! – zawołała Kaśka. – O Boże, to brzmi tak, jakby kogoś biła! Może ona kogoś zarzyna? Słyszycie?!

– Niemożliwe... Ale to jej głos! Pani Marylo! Pani Kotowicz! Gdzie pani jest?!

– Tutaj – odpowiedziała stojąca obok nich kobieta.

– To nie pani tak krzyczy? – zapytała zdziwiona Kaśka, jakby odpowiedź na to pytanie była w jakikolwiek sposób logiczna.

– A gdzie jest pani Lena? Pani Alberta? Gdzie one są?

– Aaaaa! – wrzasnęło coś zachrypłym głosem.

Część ludzi rzuciła się po ciemku do góry, skąd, jak się wydawało, dochodził głos, część chciała na zewnątrz, skąd dochodziło buczenie.

Wszyscy zaczęli się kotłować tak, że część ludzi została zdeptana.

– Gdzie są ci debile? – jęknął Wiktor. – Mieli pilnować Leny. Jak ktoś ją zabije, to ja zabiję ich!

– Ta Lena? Jest uzbrojona.

– To jeszcze gorzej, może niechcący kogoś zamordować!

– I to też będzie ich wina?

– A jak myślisz? – odpowiedział, wściekły na swoich podwładnych.

Na górze nie zobaczyli nic, zresztą po ciemku było to niemożliwe, nagle na zewnątrz ujrzeli światła latarek. Znow wszyscy się rzucili do drzwi, znow się podeptali.

Kiedy wybiegli, wszędzie na podjeździe było pełno gruzu i krwi.

Krew była widoczna w świetle księżycy i latarek telefonicznych, ale bardziej jako czarna niż czerwona.

Ktoś leżał, ktoś inny stał i tłukł leżącego.

Z oddali słycać było buczenie.

W niedalekiej odległości, zaraz koło hotelu, ale zasłonięta pomnikiem, stała koparka i usiłowała coś z tym pomnikiem zrobić.

– Cholera jasna, znow się zaklinowała – rzucił ktoś z daleka. – Przecież szlag mnie zaraz trafi. Trzeba się stąd wynosić! Dawaj, dawaj!

– O Boże, to Lena! Ona morduje Bertę! – krzyknęła Justyna.

– Gdzie tam, jej tu nie ma, jest tam. – Wiktor wskazał za siebie. – To nie jest Lena, no coś ty!

– Ale ten nóż...

W świetle księżycy noże lśniły pięknym światłem, ale wszystkie jednakowym. Trudno je po blasku rozpoznać.

– Ten ostrzony na nagrobku siostry?

– Właśnie!

– No i tu się mylisz!

– To nie ten nóż?

– Ten, ale nie był ostrzony na nagrobku siostry.

– Szefie, mamy go – zameldował Alojzy, trochę zdyszany i zdecydowanie upapwany krwią. – Chciał załatwić tę Albertę.

– Chciał? On?

Justyna była szaszokowana, ale nadal nie widziała, kogo policjanci, i to w dużej liczbie, bo nagle się okazało, że jest ich kilku, trzymają przy ziemi.

Ktoś poszedł za pomnik i po chwili buczenie ustało, a w zamian za to rozległy się wrzaski.

Były wyraźnie kobiece, choć i męskie.

– Niech pani przestanie! Natychmiast – krzyczał ktoś zdecydowanym głosem.

– Lena? Znowu ona? Czy ona się, do cholery, rozdwoiła? – zapytała Justyna, nie wiedząc w tym całym bałaganie, kto gdzie jest, a kogo nigdzie nie ma.

– Właściwie możesz mieć rację.

W tym momencie dwóch policjantów podniosło z ziemi Albertę.

– Ty gnoju – jęczała – ty gnoju...

– Ona tak do policjanta?

– A gdzie tam, do mordercy.

– Ale mówiłeś, że to Lena.

– A ty uważałaś, że się rozdziwiła. I zobacz.

Przed nimi, podniesiony z ziemi i skuty kajdankami, stał Robert.

– Nie, zaraz, to niemożliwe, to nie on – mruknęła Justyna. – Nie, przecież... Przecież nam pomagał? Świadomość, że kolega, kumpel, współpracownik jest mordercą, boli i nie jest miłym odkryciem.

– No właśnie i trochę przedobrzył.

– Jak można przedobrzyć w pomaganiu? – Justyna nadal nie dowierzała.

– Pamiętasz, jak pojechałem do powiatu? Otóż przy okazji sprawdziłem dwie rzeczy. Po pierwsze kim był ojciec dziecka zamordowanej, a po drugie pękające rury. No i jak się okazało, rury nigdzie, w żadnym archiwum nie pękły i nie zalały żadnych dokumentów, a ponadto zdigitalizowano wszystko całe lata temu. Czyli to, co powiedział, że dokumenty zostały zalane, było kłamstwem, a jeżeli jedno jest kłamstwem, to i reszta też może.

– A co z tym ojcem? – zapytała dziewczyna, choć temat wydawał jej się nieważny, ale ton wypowiedzi Wiktora sugerował coś innego.

– Ojcem dziecka był Antoni Kociołek.

– Czy to coś zmienia?

– Oczywiście, i to bardzo wiele. – Roześmiał się.

– Ale kto to jest?

– Był.

– No więc?

– To był tutejszy gangster, zginął w strzelaninie. I to nie był byle jaki gangster, ale ktoś, kto zajmował się naprawdę wielkim przemytem.

Justyna znów wróciła do sprawy Roberta.

– Ja teraz to już zupełnie nic nie rozumiem – stwierdziła, jakby prawo do rozumienia było jej prawem najwyższym. – Przecież to jest Robert! Nie pojmujesz? Nasz Robert, on nigdy nikogo by nie skrzywdził!

– Właśnie – odparł Robert z krzywą miną. – Chciałem jej pomóc, tej babie, bo ktoś w nią walił jak w kaczy kuper. Podbiegłem, ale oczywiście to była moja wina, teraz to ja jestem mordercą? Oszaaleliście? To nie ja...

– A kto?

– Nie wiem, skąd mogę wiedzieć? Usłyszałem te dziwne dźwięki i wybiegłem.

– To na pewno on – oświadczył Alojzy. – Jest cały umazany krwią, poza tym sam widziałem, jak usiłował ją zabić.

– Też mi dowód, wasze słowo przeciwko mojemu – burknął zatrzymany.

Wiktor uśmiechnął się trochę niepewnie.

– A wszystko zaczęło się od zapchanego kibla.

– I zjazdu prostytutek?

– Właśnie.

Justyna aż jęknęła. Jakim cudem morderstwo, to, które zostało popełnione teraz, miałoby coś wspólnego z zapchaną kanalizacją sprzed miesiąca? Jakim cudem te prostytutki? Co miały do tego? I czy w ogóle miały, one jako one czy zjazd? I Robert. Dlaczego on i co miałby mieć z tym wspólnego?

– Opowiem wam o pewnym facecie, nazywał się Antoni Kociołek i był przemytnikiem – zaczął Wiktor.

– No tak, ta strzelanina sprzed lat. – Rita wzruszyła ramionami. Słyszałam.

– No, ja też. – Prateściowa chyba powinna była słyszeć najwięcej, ze względu na swój wiek i to, że tu mieszkała i pracowała. – Podobno przemycał różne cenne rzeczy. I miał dziewczuchę, ona potem urodziła dzieciaka. Tak? Córkę?

– Niejedną – wpadł jej w słowo Wiktor.

– Miał dwie córki? – Prateściowa sapnęła z przejęciem.

– Nie, miał dwie baby, co najmniej dwie baby. Jedna urodziła mu dziecko, ale nie córkę. No ale potem on został zastrzelony.

– Jak nie córkę, to wielkiego wyboru nie ma – prychnął Maks.

– Po co pan to nam mówi? – Maryla westchnęła. – Słyszało się to i owo, ale żeby zaraz wierzyć? Podobno przemycał złoto, dolary, takie, konserwy rybne. Znaczą telewizory. Nie wiem, jak to robił, ale świetnie sobie radził. Chyba od ruskich.

– Tuż przed śmiercią zostawił coś jednej ze swoich dziewczyn. Joannie. Mówiono, że skarb. Jednej, nie obu. Joanna po jego śmierci nie chciała się tym skarbem podzielić, więc Ernestyna zrzuciła ją z dachu, ale nie zdołała odzyskać, co to było ani gdzie jest. Znalazła tylko woreczek. I od tego woreczka wszystko się zaczęło.

Tu Wiktor roześmiał się złośliwie.

– Zapchała się kanalizacja – stwierdziła Justyna, przypominając sobie rozmowę z kobietami pod sklepem. – Długo tam tkwił. – Westchnęła. – Po tylu latach powinien zgnić już dawno.

– Wcale nie musiał. Nie tkwił tam od lat. Ernestyna zabrała go z pokoju Joanny wiele lat wcześniej. Ale spuściła go w toalecie, dopiero kiedy był ten zjazd prostytutek.

Wszyscy trochę się zdziwili.

– Bo?

– Bo rozpoznała Lenę. Przestraszyła się jej.

Niby wszystko było logiczne, a jednak nie za bardzo.

– Dopiero wtedy ją rozpoznała? Jakim cudem, przecież Lena przyjeżdżała tu latami?

– Ludzie się zmieniają. Zresztą nie widywały się często, a Ernestyna nie wchodziła w kontakty z gośćmi, ale wtedy była też jakiś próba wysadzenia pomnika. Coś ją po prostu naprowadziło.

– Czyli zobaczyła siostrę Joanny i bała się zemsty? Dlatego utopiła woreczek? Nielogiczne.

– Zgadza się. Zemsta nie ma tu nic do rzeczy. Gdyby chodziło o Joannę, to byłoby bez sensu, ale nie chodziło o nią. Lena nie jest siostrą Joanny. Jest siostrą Kociolka. Od miesięcy przyjeżdżała i przekopywała klomby na cmentarzu. Wiedziała, co robił jej brat.

– Telewizorów szukała w klombach?

– Nie, czegoś innego. W każdym razie szukała, ale jak się kanalizacja zapchała, wszyscy chodzili do kibelka za kuchnię. Ernestyna pilnowała tam porządku. I wtedy dopiero Lena ją rozpoznała. I nadal nie chodziło o zemstę czy Joannę, ale o to, co jej brat Joannie zostawił, a czego nikt nie odnalazł. No i oczywiście rozmowy pod kibelkiem załatwiły resztę.

– A co do tego ma Robert?

– Pamiętasz, jak pojechałem coś sprawdzić? Znalazłem pewien akt urodzenia, a potem wszystko inne. Dziecko zostało znalezione w domu małego dziecka i adoptowane przez Lenę. Wymyślili to tak: Lena zaczęła robić napisy w pokojach, a Robert podpowiedział Winicjuszowi pomysł na wynajęcie łowców duchów.

To było proste, pojawiają się napisy zrobione przez Lenę, Robert nakręca u Winicjusza strach, a potem proponuje przyjazd. To daje mu szansę szukania. Nie zamierzał nikogo mordować.

– Niestety – burknął Robert – Winicjusz przedobrzył. Duchaczy też wziął. Zresztą inni też szukali. – A te dwa inne trupy?

– Jakie znowu dwa inne?

– Łódkę wynajęli i się potopili, myśleli, że gdzieś w wodzie schował.

– Telewizory w wodzie? Zresztą pieniądze też nie bardzo. – Maryla wzruszyła ramionami.

– Rubiny.

– No wiem, te starocie były wtedy na topie, kolorowe i w ogóle, były jeszcze szmaragdy, ametysty. Wiem, ale po cholere tego szukać?

– Nie, nie wiesz. Rubiny tak, ale nie telewizory. Rubiny...

– To skąd telewizory?

– Z plotek. Proste. Wtedy ludzie trochę inaczej wyobrażali sobie bogactwo.

– Rozumiem.

– Tyle że Robert myślał, że Ernestyna wszystko ukradła. Umówił się z nią zaraz po waszym przyjeździe. Całą noc spała w tym pokoju upalona jak bąk, a rano sortowała łup do wyniesienia. Miała iść do domu. Nie spodziewała się ataku. Obiecała mu podział, ale kiedy się pojawił, wyśmiała go. Powiedziała, że nic nie ma. Nie uwierzył, zabił ją odrobinę za wcześniej i zbyt pochopnie, nic mu to nie dało, ale postanowił szukać. Dlatego przyszedł tam następnego nocy i wywalił się na brukselce.

– O przepraszam. Mowy nie ma, to akurat nie byłam ja – warknął Robert.

– To przynajmniej się do zabicia Ernestyny, ale nie do buszowania nocą w brukselce? – Justyna była zaszokowana, była też przekonana, że Roberta zna, a jednak już to jedno stwierdzenie pokazywało, że nie zna go zupełnie.

– Była głupią suką. Te pieniądze należały się mnie. Były mojego ojca i dał je mojej matce! Nie miała do nich prawa.

Wyglądało na to, że Lena, ta niemila staruszka, była cwana i zachłanna, wzięła dzieciaka z domu dziecka, bo był to dzieciak jej brata, a potem przez lata szukała skarbu, który ten brat dał jego matce.

– Jakie pieniądze?

– Jakie, nie wiem, ale wiem, że duże! Ojciec był miliarderem! Wiem, bo mama mi mówiła, to znaczy Lena, ale przecież to moja matka, adopcyjna, ale innej nie miałem! Miliarderem, rozumiecie? Obracał taką forszą, że mógłbym sobie kupić nie jednego harleya, ale sześć! A ta brukselka to nie ja – dodał, jakby to miało znaczenie.

No cóż, odniesienie do kredytu, który Robert wziął na ten motor, sprawiło, że Justyna aż drgnęła, musiał mieć bardzo kosztowne potrzeby.

– A Zośka?

– Oj, Zośka... Przypadek. Widziała mnie. Potem dopiero się zorientowałem, że mnie skojarzyła, bo długo mi się przyglądała. Musiałem. Takie jest życie, niestety. Patrzyła i patrzyła, no i musiałem coś z nią zrobić. Na szybko.

– A Lena?

– Co znowu Lena, ona była tu dla zmyłki, żebym mógł spokojnie szukać. To ona robiła napisy, jak tylko tu była, ale nie wszystkie.

– A te zjawy?

Robert westchnął i wzruszył ramionami.

– Częściowo.

– Co to znaczy?

– To znaczy, co znaczy! Niektóre tak, niektóre nie. Co ja wiem? Może Maks? Nic wam więcej nie powiem. Pieprzę was.

– Nie musisz nic mówić. Koparka mówi sama za siebie.

– Nie próbujcie nawet tego wykopywać! To należało do mojego brata! – zawyla Lena. – Wara wam!

Biedna mała staruszka wyglądała w kajdankach jak dzika bestia, obok niej na ziemi leżał tasak, ten nagrobny. Miotła się, kłęła, pluła, a nawet usiłowała kopać, ale że trudno się trzyma laskę w rękach skutych za plecami, nie miała możliwości manewru.

– Było z przestępstwa, nie wiem, jak z dziedziczeniem, ale w sumie to i tak by nie było wasze – odpowiedział Wiktor na ich żądania.

– Świnie! – warknęła Lena. – A czyje, do cholery? No, czyje?

W tym momencie znów zaczęły migotać wszystkie światła. Nawet te, których nie było. Nad zebranymi pojawiła się czerwona i nieco makabryczna zorza. Z piętra usłyszeli wrzask Winicjusza, znów przed kimś uciekał. Znów hotel wyglądał jak choinka w agonii, na dodatek leżąca, bo jego kształt przypominał właśnie padłą choinkę, albo jak kosmiczny radiowóz, czerwona luna też wyła, ale jakoś makabryczniej.

– Ratuunkuuu – wołał Winicjusz – ona chce mnie zeżreć!

– No już ta jego żona to naprawdę przegina – mruknęła Oliwia.

– To nie ja – odburknęła Rita. – Gdzie ja bym takiego knura... O ja pierdołę! – jęknęła, widząc, że z czerwonej zorzy wylania się twarz.

– Syneczek! – wrzasnęła twarz grobowym głosem i zaczęła kotłować się dookoła.

– No, Robert, matka da ci w kość! – Lena się rozchichotała. – Ta Joanna głupia była za życia, to i po śmierci nie musi być mądrzejsza. Chodź tu, Joanno, mam coś dla ciebie! – Szarpnęła się, chcąc chwycić za nóż albo tasak, zapomniawszy, że ma na rękach kajdanki, bo skuto ją, kiedy zwleczono ją z koparki stojącej za pomnikiem.

– SyyyNeeeeCZeeeKKKK! – wrzasnęła postać głosem jakby ze spowolnionego nagrania i wszyscy rzucili się z piśkiem do ucieczki. Twarz nie dość, że była czerwona, to miała zęby jak Huggy Wuggy i nieprzyjemny wyraz twarzy.

Ominęła Roberta.

– Mmmamuuuussia? – jęknął Robert, bo w tym momencie jakoś zachwiały mu się naukowe podstawy wszechświata.

Ona jednak, albo raczej ono, bo trudno w sumie było określić płeć stwora, rzuciło się z sykiem w inną stronę.

– O co chodzi? – Justyna złapała się Wiktora jak ostatniej deski ratunku. – Co to jest? Co to znaczy?

– No nie wiem. Naprawdę, ty jesteś specjalistką od duchów? Powiedz, co to jest.

– Też nie wiem. Dla mnie to spore przegięcie.

Kilka osób zemdlło. Największe żniwo zjawy zebrała pośród leżących pokotem weselników, ale to nie dlatego, że się bali duchów, nie, mężczyźni tak nie mają, oni się bali, że to delirium, a to już zupełnie inna sprawa, tego wolno się bać. Zresztą to jest prawdziwe zagrożenie, a nie jakieś tam duchy.

Czerwony wir zatrzymał się przed Duchaczami.

– Ssssyneczek? – wrzasnął stwór. – Zabiję cię, przez ciebie Winicjusz mnie nie chciał! Baby z dzieckiem nie chciał. Zabiję cię, gnoju!!!

Maks złapał leżący u stóp Leny odebrany jej tasak i walnął na plask w ducha. Ten rytualnie naostrzony na grobie Joanny tasak chyba zadziałał.

Pufnęło i wszystko znikło.

– Ale że jak?

– To proste. Maks jest jej dzieckiem, nie Robert. Lena nieźle to wykombinowała, ale się spóźniła albo źle ją poinformowano. Była przekonana, że Robert jest dzieckiem jej brata.

– Maks? Wiedział o tym?

– Nie wiem, Maks, wiedziałeś? – zapytał policjant, bo dane to dane, dokumenty to co innego, ale tego, co kto ma w głowie, policjanci nie mogą być pewni.

– Trochę tak, ale mimo wszystko mi to zwisało. Matka puszczalska i ojciec przestępca? Przydadzą się, jak już będę celebrytą i będę pisał autobiografię, ale teraz raczej nie pomagają.

– No, a to, co to było? – Justyna kiwnęła głową w stronę nieistniejącego już ducha.

– Oj tam, oj tam – mruknął Maks. – To nie był prawdziwy duch! – Wzruszył ramionami. – To nie mógł być prawdziwy duch. No i to wszystko jest nielogiczne.

– Ale skarby są prawdziwe? – zapyta go Oliwia ze sporym zainteresowaniem.

– No nie wiem, podobno tak – stwierdziła Rita – ale one należą teraz do nas. Są na naszym terenie. Nie wolno ich nikomu tknąć! Prawda, Winicjusz?

Ale skarby czasami robią wszystkim wodę z mózgu, kuku i koło pióra.

\*\*\*

Święta też potrafią z ludźmi robić dziwne rzeczy, tym razem awantura pod hotelem nie przeszła bez echa, wszyscy przez cały czas śledzili doniesienia na FB i chcieli być częścią wydarzeń, bo wydarzenia niepostrzeżenie i nieubłagane zmieniają się w historię, a ta w opowieść, a ludzie teraz żądają opowieści ze sobą w roli głównej, nawet jeżeli niewdzięcznej (każdy woli być mordercą albo choć zwłokami bardziej niż statystą), tak więc powoli zbierali się na okolicznych placzkach i szli w kierunku hotelu, który był centrum wydarzeń. Nie wiedzieli, co powie policja, więc szli z pijaną nadzieją na ustach i ta nadzieja tuż przed podjazdem wybuchła równie pijaną kolędą.

„Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...” było w pewnym sensie adekwatne.

Rozchodził się, i to bardzo, a że wszyscy mylili słowa, nie wyszli poza ten wers, przekonani, że kolędników, nawet pijanych, policja nie pogoni.

Żądni sensacji stali i śpiewali do upadłego. Dosłownie, jeszcze rano ich zbierano.

\*\*\*

Pewne rzeczy jakoś się układają.

Najdziwniej ułożą się losy Karoliny i Alojzego, ale to dopiero za kilka miesięcy, kiedy jakimś cudem odnajdą zapasowe i bardzo ciężkie buciki swojego dziecka ukryte w szafie przez teściową, która uważała, że dziecko nie powinno bawić się butami, bo te są brudne.

Takie dziecięce zabawy to nic złego.

A kamyki w nich odnalezione były nawet ładne, tylko nie było wiadomo było, co z nimi zrobić.

Naprawdę. Oczywiście zorientowali się, co to za kamyki, ale na wszystko było za późno. I na oddanie, i na przyznanie się do ich posiadania. Postanowili więc po prostu kupić sobie dom.

Co też nie było najlepszym pomysłem.

\*\*\*

Duchy zniknęły, co nie zmieniło faktu, że Winicjusz reklamował swój hotel jako „największe polskie centrum nawiedzeń”.

To mu przyniosło sporo pieniędzy i kłopotu, ale to dopiero po kilku miesiącach.

\*\*\*

Justyna nie wyszła za Wiktora.

Nie żeby nie chciała, nawet bardzo chciała, ale w sylwestra wszystkie terminy były zajęte, więc musieli poczekać.

\*\*\*

Maks oszalał.

Niby nie wierzył, ale wierzył. To takie na dwoje babka wróżyła i za dwoje babka szukała.

Zajął się poszukiwaniem należnych mu skarbów (był przekonany, że są jego) i zupełnie mu się to nie opłaciło.

Ponieważ zabroniono mu niszczenia pomnika, szukał wszędzie dookoła, licząc na jakiś cud.

Wraz z Oliwią spędzali w hotelu wszystkie wolne chwile, bo jemu odbiło, a ona miała nadzieję, że zostanie żoną milionera. Zresztą należało jej się, sypiała z nim, jeszcze zanim to się stało modne.

Bo teraz sypianie z Maksem było rodzajem przywileju, dobrze się zapowiadał.

Robił filmiki, opowiadał o duchach, pokazywał się na ściankach. Oraz szukał.

– Patrz, co znalazłem! – zawołał do pomagającej mu zdecydowanie chętnie Oliwii, kiedy przeszukiwali park masywny obok hotelu. – Widzisz? To jest ten grzyb. Nazywa się „palce nieboszczyka”. – Wskazał wylażącą z ziemi dość ciekawą anomalię grzybną, bo jednak takie grzyby są rzadkością.

To było fascynujące.

Przed nimi rzeczywiście widać było czarne, kiełbaskowate wypustki, które wystawały z ziemi na nie więcej niż pięć, dziesięć centymetrów.

– No, fajne – stwierdziła dziewczyna, przyglądając się znaleźnikowi. Oliwia się znała na grzybach, jej ojciec zamęczał ją wyprawami wiosną, latem i jesienią, więc coś niecoś na ich temat wiedziała – ale w zimie? W zimie? One rosną na spróchniałych pniakach.

– Taka fajna ciekawostka, będzie świetna na Instagrama – ucieszył się Maks.

– No nie wiem – mruknęła Oliwia, obchodząc grzyb dookoła – nie wiem. Nie jestem pewna...

Maks się wściekł, jak każdy odkrywca, któremu ktoś psuje zabawę.

– Zawsze, kurwa, coś wymyślisz, a to źle, tamto niedobrze. Wyluzuj! Czego znowu nie jesteś pewna? – zapytał z westchnieniem zmęczonego odkrywcy.

– Nie jestem pewna, czy grzyby powinny mieć paznokcie – odparła Oliwia.

KONIEC

